



**RUTH PRAWER  
JHABVALA**



**W UPALE I KURZU**

Wkrótce po tym, jak Olivia uciekła z nababem, Beth Crawford powróciła z Simli. Był wrzesień 1923 roku. Beth musiała zaraz jechać do Bombaju, odebrać ze statku swoją siostrę, Tessie, która miała bawić w Indiach w okresie chłodnej pory. Na okoliczność jej pobytu Crawfordowie zaaranżowali mnóstwo wizyt towarzyskich i eskapad, lecz Tessie większość czasu spędziła w Satipurze ze względu na Douglasa. Bardzo się starała być dla niego jak najlepszą towarzyszką zabaw: ilekroć dysponował wolnym czasem, jeździli razem konno, grali w krokieta i tenisa. Nie zdarzało się to jednak często, ponieważ Douglas ani na moment nie zwolnił tempa pracy: energicznie wypełniał obowiązki w dystrykcie, nigdy nie tracąc zimnej krwi i opanowania, czym zasłużył sobie na szacunek zarówno brytyjskich zwierzchników, jak i podległych mu Hindusów. Był zawsze prawy i sprawiedliwy.

Tessie pozostała w Indiach przez cały okres chłodnej pory, a następnie na kolejny sezon, i dopiero potem odpłynęła do domu. Rok później Douglas otrzymał długi urlop, pozwalający na wyjazd do kraju, i spotkał się z nią w Anglii. Gdy jego rozwód nabrał mocy prawnej, oboje byli już zdecydowani się pobrać. Po ślubie Tessie wyjechała z mężem do Indii i podobnie jak jej siostra, Beth, wiodła tam szczęśliwe, spełnione życie. Z biegiem lat została moją babką - ale wówczas, oczywiście, wszyscy już ponownie mieszkali w Anglii.

Zupełnie nie przypominam sobie Douglasa - zmarł, kiedy miałam trzy lata - za to doskonale pamiętam babkę Tessie i cioteczną babkę Beth.

Były pogodnymi kobietami o rzeczowym i nowoczesnym spojrzeniu na życie. Mimo to - tak przynajmniej utrzymywali moi rodzice - przez lata nie dawały się namówić na rozmowę o Olivii, jakby budziła mroczne i przerażające wspomnienia. Tymczasem pokolenie moich rodziców nie podzielało podobnych sentymentów; wręcz przeciwnie - bardzo chcieli się dowiedzieć wszystkiego o pierwszej żonie dziadka, która dała nogę z indyjskim księciem. Obie panie pozostały jednak nieugięte aż do czasu, gdy owdowiały i znacznie się posunęły w latach; dopiero wtedy zaczęły się zapuszczać na uprzednio zakazany teren.

Wówczas też ponownie spotkały się z Harrym - z którym wcześniej jedynie wymieniali ze sobą bożonarodzeniowe kartki. Po śmierci Douglasa Harry złożył im wizytę. Rozmawiali długo o Olivii, a Harry opowiadał również o jej siostrze, Marcii, którą poznał wkrótce po powrocie z Indii. Utrzymywali stały kontakt do ostatnich dni jej życia (wedle słów Harry'ego, Marcia zapłała się na śmierć). Pozostawiła mu całą korespondencję od Olivii, a on przekazał wszystko starszym paniom. To u nich pierwszy raz zobaczyłam te listy, a teraz mam je ze sobą w Indiach.

Szcześliwie przez pierwsze miesiące pobytu na subkontynencie prowadziłam dziennik, w którym notowałam swoje wrażenia. Zapewne nie zdołałabym ich odtworzyć w oryginalnym kształcie bez tych zapisków. Obecnie wyglądałyby zupełnie inaczej, ponieważ nie jestem już tą samą osobą co wtedy. Indie zawsze odmieniają ludzi, i ja nie należę do wyjątków. Ta opowieść nie ma jednak przedstawiać mojej historii, lecz życie Olivii, tak jak zdołałam je zrekonstruować.

Oto pierwsze wpisy w dzienniku:

*2 lutego.*

Dzisiaj przyleciałam do Bombaju. Nic się nie pokrywa z moimi wcześniejszymi wyobrażeniami. W myślach oczywiście zawsze przybywałam na pokładzie statku; nie zdawałam sobie sprawy, jak podróż samolotem odmienia perspektywę. Muszę zapomnieć o przestudiowanych memuarach i listach, o sztychach, na które się napatrzyłam. Wszystko wygląda zupełnie inaczej. Potrzebuję snu.

Obudziłam się w środku nocy. Po omacku zaczęłam szukać zegarka, który położyłam na walizce wsuniętej pod łóżko. Zniknął! O nie! Nie pierwszego dnia! Głos z sąsiedniego posłania:

- Proszę, moja droga, twój zegarek. W przyszłości powinna się pani wykazywać większą roztropnością.

Wpół do pierwszej. Spałam cztery godziny. Naturalnie wciąż funkcjonuję według czasu Greenwich. W Anglii dochodzi siódma wieczorem. Jestem kompletnie rozbudzona i siadam na łóżku. Znajduję się w żeńskim dormitorium hostelu Towarzystwa Misjonarek. W sali stoi siedem żelaznych, sprężynowych łóżek - cztery po jednej, trzy po drugiej stronie. Wszystkie są zajęte, a każda z kobiet zdaje się pogrążona w głębokim śnie. Za to na zewnątrz miasto wciąż tętni niespokojnym życiem. Skądś nawet dobiega muzyka. Przez okna pozbawione zasłon wpada światło ulicznych latarni i napędza salę widmową poświata, która sprawia, że śpiące kobiety wyglądają jak martwe, beużyteczne ciała.

Tylko moja sąsiadka - strażniczka zegarka - także czuwa i wykazuje dużą ochotę do rozmowy.

- Zapewne dopiero co pani przyjechała i stąd ten brak rozwagi. Proszę się nie przejmować, szybko się pani nauczy... jak każdy... Na początku musi pani uważać, co je i pije: woda tylko gotowana, potrawy z ulicznych straganów zdecydowanie zakazane. Po pewnym czasie

uodporni się pani. Ja teraz mogłabym zjeść wszystko. Rzecz w tym, że nienawidzę ich jedzenia, nie tknęłabym go za żadne skarby. Może się pani stołować tutaj, u misjonarek. Panna Tietz osobiście dogląda kuchni - podają smaczne duszone mięsa, a niekiedy pieczeń i sos angielski do deseru. Zawsze się tu zatrzymuję, kiedy przyjeżdżam do Bombaju. Znamy się z panną Tietz od dwudziestu lat. Jest Szwajcarką, przybyła do Indii ze Stowarzyszeniem Chrześcijańek, ale od dziesięciu lat kieruje tym hostelem. Misjonarki mają szczęście, że u nich pracuje.

Pewnie za sprawą widmowej poświęty moja sąsiadka wygląda jak zjawą; na dodatek ma na sobie białą nocną koszulę, która ją spowija od stóp do głów. Siwe włosy ściągnęła na bok i splotła w luźny warkocz. Jest cała kredowobiała, mglisto-zwiewna właśnie niczym... duch. Dowiaduję się, że mieszka w Indiach od trzydziestu lat i jeżeli tak zdecyduje Bóg, pozostanie tu do śmierci. Gdyby Pan jednak zechciał wcześniej wezwać ją z powrotem do Anglii, pójdzie za Jego głosem. Bo od trzydziestu lat kieruje się jedynie wolą bożą. Kiedy mi to oznajmia, jej głos nabiera niezłomności osoby o wysoce rozwiniętym poczuciu obowiązku.

- Zorganizowałyśmy kaplicę w Kafarabadzie. To miasto szybko się rozrasta za sprawą mnożących się tkalni, jednak cnota nie rozkwita tam równie bujnie, to jedno mogę pani powiedzieć. Trzydzieści lat temu wierzyłam, że jest jeszcze nadzieja; teraz już jej nie widzę. Gdziekolwiek spojrzeć - ta sama nędza moralna. Wyższe płace oznaczają więcej egoizmu, pokątnie pędzonego alkoholu, biletów do kina. Swego czasu kobiety nosiły proste, skromne *dhoti*, a teraz chcą błyszczeć strojem. O ich wnętrzu zaś nie ma nawet co wspominać. Czego jednak oczekiwać od tych nieszczęśników, skoro ludzie naszej rasy tak nisko się stoczyli. Widziała pani to miejsce naprzeciwno? Proszę tylko spojrzeć.

Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Jasno jak w dzień - nie tylko z powodu białego światła jarzeniowych latarni, ale i naftowych pochodni rozświetlających każdy stragan i kramik. Wokół tłumy ludzi; niektórzy śpią - jest tak ciepło, że leżą wyciągnięci wprost na ziemi, bez żadnego posłania. Niedaleko stoi grupa kalekich dzieci (jeden z chłopców porusza się na szczątkowych kikutach nóg). Za dnia żebrzą, teraz natomiast wydają się beztroskie, wręcz wesole. Część przechodniów objada się daniami kupionymi u straganiarzy, inni przeszukują rynsztoki w poszukiwaniu resztek.

Moja sąsiadka kieruje mnie do innego okna, wychodzącego na Hotel A. Jeszcze przed przyjazdem do Indii przestrzegano mnie przed owym miejscem. Usłyszałam, że bez względu na to, jak bardzo ponury i obskurny wyda mi się hostel misjonarek, w żadnym razie nie powinnam się przenieść do A.

- Widzisz, moja droga?

Widok miałam dobry. Tutaj ulica także była jasno rozświetlona, a na chodniku przed hotelem kłębił się tłum. Tyle że nie Hindusów, lecz Europejczyków. Wyglądali żałośnie.

- Po ośmioro, dziewięcioro w jednym pokoju - ciągnęła moja sąsiadka. - Część z nich nie stać nawet na tak nędzne lokum, więc sypiają na ulicy. Żebrzą pomiędzy sobą, okradają się nawzajem. Niektórzy są bardzo młodzi, to wciąż niemal dzieci; dla nich jest jeszcze cień nadziei, jeżeli z woli Boga wrócą do domu, nim będzie za późno. Ale kobiety i mężczyźni, którzy tkwią tutaj od lat, z każdym rokiem staczają się coraz niżej. Sama pani widzi, do jakiego stanu się doprowadzili. Prawie wszyscy chorują, wielu umiera. Kim są, skąd przyjechali? Pewnego dnia zobaczyłam coś przerażającego. Młody człowiek, góra trzydzieści lat, zapewne Niemiec lub Szwed, bardzo wysoki, o jasnych włosach i karnacji, siedł ubrany w łachmany, przez które przeświecała biała skóra.

Na ramieniu siedziała mu małpa i wybierała wszy z jego długich, skołtunionych włosów. Tak jest! Małpa wydłubywała z jego włosów wszy! Zajrzałam temu mężczyźnie w oczy i, proszę mi wierzyć, dostrzegłam duszę już doświadczoną piekielnych mąk. Och, ale w Indiach oglądałam wiele różnych okropności. Przeżyłam krwawe walki pomiędzy hinduistami i muzułmanami, byłam tu podczas epidemii ospy oraz kilku klęsk głodowych. Śmiało mogę powiedzieć, że widziałam wszystko, co można zobaczyć na tym padole łez. I wyciągnęłam z tego tylko jeden wniosek: w Indiach nie można przeżyć bez Jezusa Chrystusa. Jeżeli nie ma Go przy tobie w każdej chwili dnia i nocy, jeżeli nie modlisz się do Niego z całą żarliwością, wówczas czeka cię los tego młodego mężczyzny z małpą wybierającą wszy z włosów. Bo widzisz, moja droga, w tym kraju człowieczeństwo nie ma żadnego znaczenia - stwierdziła, tym samym pogardliwie odrzucając wszelkie wartości, które mógłby zaoferować światu buddyzm bądź hinduizm.

Siedziała wyprostowana na łóżku. Była chuda i blada, a jednak sprawiała wrażenie twardej i zahartowanej. Niezłomna zjawa. Spojrzałam raz jeszcze na postaci leżące w jaskrawym świetle latarni na ulicy przed Hotelem A. I pomyślałam, że ta kobieta miała rację: ci ludzie rzeczywiście wyglądali jak potępione dusze.

16 lutego.

Satipur. Uśmiechnęło się do mnie szczęście, bo od razu znalazłam pokój, który bardzo przypadł mi do gustu. Jest obszerny, przewiewny i pusty. Duże okno, przy którym siedzę, wychodzi na bazar. Moje lokum znajduje się nad sklepem z tkaninami i żeby do niego dotrzeć, muszę się wspiąć po ciemnych, stromych schodach. Pokój został mi odnajęty przez urzędnika państwowego, niejakiego Indera Lala, który gnieździ się wraz z matką, żoną i trójką dzieci w paru izdebkach po drugiej stronie podwórka na tyłach sklepu. Podwórko i sklep należą do kogoś innego. Każda przestrzeń jest tutaj po wielokroć dzielona na mniejsze klitki tandetnymi przepierzeniami. Jednak mój pokój jest przestronny i zapewnia mi poczucie prywatności. Z pozostałymi lokatorami domu dzielę jedynie łazienkę i ustęp, znajdujące się po przeciwnej stronie podwórza, oraz dziewczynkę odpowiedzialną za ich czystość.

Odnoszę wrażenie, że Inder Lal jest rozczarowany moim stylem życia. Kiedy wchodzi, na próżno się rozgląda za meblami. Przyjęłam miejscowy zwyczaj siadania na podłodze i na niej też rozwijam śpiwór do spania. Jedyne meblem, w jaki się zaopatrzyłam, jest małe biurczko wysokości standardowego podnóżka, na którym trzymam swoje papiery (listy Olivii, ten dziennik oraz słownik i podręcznik gramatyki hindi). Przy podobnych biurczkach siadają sklepikarze, żeby dokonać dziennych rachunków. Inder Lal tęsknie wodzi wzrokiem po pustych ścianach. Pewnie miał nadzieję ujrzeć jakieś obrazki i zdjęcia, ale po co mi one, skoro za oknem rozciąga się tak fascynujący widok. Nie chciałabym, żeby cokolwiek odrywało moją uwagę od bazarowej scenerii. Dlatego też nie powiesiłam zasłon.

Inder Lal jest bardzo taktowny, toteż nie pozwoliłby sobie na głośne wyrażenie rozczarowania. Powiedział jedynie: „Musi być pani tutaj niewygodnie”, i szybko spuścił oczy, jakby się bał, że jego uwaga wprawi mnie w zakłopotanie. Zachował się tak samo, kiedy po raz pierwszy zjechałam z bagażami. Nie wynajęłam tragarza, tylko zarzuciłam walizę wraz ze śpiworem na ramię i wniosłam sama po schodach. Inder wydał wówczas mimowolny okrzyk przerażenia, po czym natychmiast spuścił powieki, aby zaoszczędzić mi wstydu.

Z pewnością czułby się dużo lepiej, gdybym bardziej przypominała Oliwię. Ona była moim zupełnym przeciwieństwem. Gdy tylko się wprowadziła do mężowskiego bungalowu (domu zastępcy superintendenta), natychmiast zapchała go dywanami, obrazami i kwiatami. Napisała wówczas do Marcii: „Pomieszczenia nabierają cywilizowanego wyglądu”. A jakiś czas potem: „Pani Crawford (żona superintendenta - *burra memsahib*) przyszła dziś do naszego gniazdka na inspekcję. Chyba nie nabrała najlepszego mniemania ani o mnie, ani o gniazdku, ale jak zwykle



wykazała się nienagannym taktem! Oznajmiła, że wie, jak trudny bywa pierwszy rok pobytu w Indiach, i że gdyby w jakikolwiek sposób mogła mi pomóc, jest zawsze do dyspozycji. Podziękowałam z ostentacyjną skromnością. Prawdę powiedziawszy, najwięcej problemu sprawia mi jej obecność - poza tym moje życie jest aż nazbyt perfekcyjne! Gdybym tylko mogła jej to powiedzieć".

Miałam już okazję zobaczyć dom Douglasa i Olivii. I to za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności - okazało się, że biuro, w którym pracuje Inder Lal, znajduje się w dawnym kwartale brytyjskich rezydencji (od ponad stu lat znanym jako Dzielnica Rządowa). Departament Indera Lala - Handlu i Zaopatrzenia - mieści się w domu superintendenta (w 1923 roku był nim pan Crawford). W bungalowie należącym swego czasu do Douglasa i Olivii ulokowano natomiast Wydział Wodociągów, municypalny Departament Zdrowia oraz oddział poczty. Oba te budynki, jak niemal wszystkie inne, zostały podzielone na mnóstwo klitek spełniających wiele różnych funkcji. Tylko dom naczelnego lekarza pozostał w oryginalnym kształcie i służy za noclegownię dla turystów.

*20 lutego.*

Tego ranka złożyłam nieformalną wizytę kobietom Indera Lala - jego matce i żonie imieniem Ritu. Nie wiem, czy wpadłam w momencie wyjątkowego zamieszania, czy też zazwyczaj żyją w taki sposób - w każdym razie w domu panował nieopisany bałagan. Oczywiście, pokoiki są ciasne i nędzne, a dzieci małe, więc ciężko zachować porządek. Ritu szybko uprzątnęła z ławy zabawki i ubrania. Wolałabym usiąść na podłodze, razem z paniami domu, ale zrozumiałam, że muszę się dostosować do reguł, które uznały za stosowne przyjąć w mojej obecności. Teściowa wprawnym i dyskretnym posykiwaniem wydała synowej kilka szybkich poleceń - zapewne kazała przygotować dla mnie poczęstunek. Ritu wypadła z pokoju wyraźnie zadowolona, że została zwolniona z obowiązku dotrzymywania mi towarzystwa. Zostałyśmy więc sam na sam z teściową. Uśmiechałyśmy się przyjaźnie, starałam się nawiązać rozmowę w hindi (z marnym skutkiem - muszę się pilniej przyłożyć do nauki!), potem zaś podjęłyśmy próbę komunikacji na migi, jednak do niczego nie doszłyśmy. Przez cały czas matka Indera bacznie mnie lustrowała. To kobieta o bystrym, taksującym spojrzeniu. Wyobrażam sobie, ile dziewcząt przepatrzyła w poszukiwaniu odpowiedniej żony dla syna, nim zdecydowała się na Ritu. Całkiem instynktownie podliczała teraz moje punkty; niestety, domyślałam się, co otrzymała w wyniku.

Już przywykłam do tego taksującego wzroku Hindusów. Tak patrzą tutaj wszyscy i wszędzie - na ulicy, w autobusie, w pociągu. I robią to całkiem otwarcie - zarówno kobiety, jak i mężczyźni; nie próbują też kryć rozbawienia, jeżeli ktoś w ich oczach jest śmieszny. Przepuszczam, że my, Europejczycy, wyglądamy dla nich dziwacznie, a jeszcze dziwaczniejszy musi im się wydawać nasz sposób życia w tym kraju, gdy już nie próbujemy się separować, lecz jadamy tutejsze potrawy i nosimy miejscowe stroje - tańsze i przewiewniejsze od naszych.

Ja sama tuż po przyjeździe do Satipuru sprawiłam sobie indyjskie ubranie. Zbiegłam na dół do sklepiku z tkaninami, a potem przeszłam do sąsiedniego kramu, gdzie mały, chudy krawiec siedzi na jutowym worku przed wiekową maszyną do szycia. Wymierzył mnie na miejscu, na oczach całej ulicy, i tak bardzo się starał zachować stosowny dystans, że miara, którą zdjął, była ledwo przybliżona. W rezultacie mój strój jest bardzo luźny, za to świetnie spełnia swoją funkcję i jestem z niego szczerze zadowolona. Noszę teraz szerokie spodnie ściągane w pasie tasiemką - niczym pendzabska wieśniaczka - a do tego tunikę sięgającą kolan. Mam też parę indyjskich sandałów, które mogę swobodnie zrzucić ze stóp i zostawiać przed progiem, jak czynią wszyscy miejscowi. (To są męskie sandały, ponieważ wśród damskich nie było mojego rozmiaru). Chociaż chodzę ubrana jak Hinduska, wciąż gonią za mną dzieci; nic sobie z tego nie robię, bo jestem pewna, że szybko do mnie przywykną.

Często też na mój widok wykrzykują: *hijra*. Niestety, znam sens tego słowa. Poznałam je jeszcze przed przyjazdem do Indii dzięki listom Olivii. Nabab tak przezywał panią Crawford (cioteczna babka Beth, podobnie do mnie, była wysoka i płaska niczym deska). Oczywiście, Olivia nie miała pojęcia, co się kryje za owym przewiskiem, a kiedy zapytała o jego znaczenie, książę wybuchnął śmiechem, po czym powiedział: „Zaraz ci pokażę”. Klasnął w dłonie, wydał szybkie polecenie i po chwili pojawiła się trupa złożona z *hijra*, którym kazał zatańczyć i zaśpiewać przed Olivią w tradycyjny dla nich sposób.

Ja też miałam okazję zobaczyć tańczących i śpiewających *hijra*. Wydarzyło się to wtedy, gdy wracałam z Inderem Lalem z jego biura. Byliśmy już całkiem blisko domu i nagle z bocznej alejki dobiegł nas odgłos gry na bębenku. Inder Lal stwierdził natychmiast, że to nic wartego uwagi - „bardzo pospolita rozrywka dla prostych ludzi” - ale nie dawałam za wygraną, więc niechętnie dotrzymał mi towarzystwa. Ruszyliśmy wąską, wijącą się uliczką, przeszliśmy przez wysoko sklepioną bramę i kryty pasaż, który prowadził na wewnętrzny dziedziniec. Tam dawała popis trupa *hijra* - czyli eunuchów. Jeden grał na bębenku, pozostali śpiewali i tańczyli. Otaaczała ich grupka gapiów. *Hijra* wyglądali jak mężczyźni - mieli duże dłonie, płaską pierś, wy-



datne szczęki - ale byli ubrani w kobiece sari i przystrojeni tandetną biżuterią. Ich taniec stanowił również parodię kobiecych ruchów i najprawdopodobniej to właśnie tak bardzo bawiło widzów. Ale ja dostrzegłam w ich twarzach smutek. Mimo że się teatralnie uśmiechali i wykonywali sugestywne ruchy podkreślające słowa, które musiały być mocno dwuznaczne (bo każdy rechotał, a Inder

Lal nalegał, żebyśmy się oddalili), przywodzili mi na myśl znużonych wyrobników, którzy nieustannie myślą tylko o jednym - ile dostaną za swoją harówkę.

*24 lutego.*

Dzisiaj niedziela i Inder Lal uprzejmie zaproponował, że zabierze mnie do Khatm i pokaże pałac nababa. Czułam się nieswojo na myśl, że oderwę go od rodziny w ten jedyny w tygodniu dzień wolny od pracy. Okazało się jednak, że ani on, ani jego bliscy nie podzielają moich rozterek. Zastanawiam się niekiedy, czy jego żona nie ma dość nieustannego zamknięcia w dwóch mikroskopijnych pokoikach z teściową i trójką małych dzieci. Nigdy nie widzę, by gdzieś wychodziła - poza rzadkimi i krótkimi wypadami w towarzystwie teściowej na bazar po warzywa.

Jeszcze nie zdarzyło mi się jechać w Indiach autobusem, który nie byłby zapchany do granic możliwości - tak że nie tylko bagaże, ale i ludzie tłoczą się na dachu. Poza tym cały tabor jest bardzo przestarzały i wysłużony: wytrząsa z człowieka kości, trzeszczy poluzowanymi śrubami. Wszystkie autobusy są takie same, podobnie jak mijane krajobrazy. Gdy już się opuści granice miasta, aż do rogatek następnego nie ma nic poza pustynnym bezkresem, rozpalonym niebem oraz pyłem. W szczególności pyłem - boki autobusu są otwarte, ograniczone jedynie prętami, więc gorący wiatr swobodnie hula we wnętrzu, niosąc ze sobą piach, który się wciska do uszu oraz nosa i ostro zgrzyta w zębach.

Khatm okazało się ponurą dziurą. Satipur też nie należy do pięknych miast, ale przynajmniej się rozrasta według własnych potrzeb. Khatm natomiast kuli się w cieniu pałacu nababa. Jakby zostało wybudowane tylko po to, by służyć rodzinie książęcej i teraz, gdy jej zabrakło, nie ma pojęcia, co ze sobą począć. Uliczki są ciasne, zaniedbane i brudne. Wszędzie roi się od żebraków.

Pałac został wzniesiony na rozległym, porośniętym drzewami terenie, chronionym wysokim, perłowoszarym murem. W jego ogrodach znajdują się fontanny, sztuczne strumienie, obszerne altany oraz niewielki meczet kryty złotą kopułą. Usiedliśmy z Inderem Lalem pod rozło-

zystym drzewem i czekaliśmy, aż stróż odszuka klucz. Zapytałam Indera o rodzinę książęcą, ale nie wiedział o nich dużo więcej ode mnie. Po śmierci nababa w 1953 roku pałac odziedziczył jego siostrzeniec, Karim, który był wówczas jeszcze niemowlęciem. I nigdy tu nie mieszkał. Ma apartament w Londynie, gdzie zresztą spotkaliśmy się przed wyjazdem (ale o tym napiszę przy innej okazji). Rodzina od lat negocjuje z rządem Indii warunki sprzedaży pałacu, jednak do tej pory nie uzgodniono ceny, którą obie strony byłyby gotowe zaakceptować. Nie pojawili się też żadni inni kontrahenci - bo i któż chciałby w dzisiejszych czasach stać się posiadaczem takiego pałacu, na dodatek znajdującego się w Khatm?

Inder Lal niechętnie podjął rozmowę na temat nababa. Owszem, słyszał to i owo o jego deprawacji i rozwiąłości; dobiegły go również pogłoski o jakimś dawno przebrzmiałym skandalu. Kto jednak w obecnych czasach zawracałby sobie tym głowę? Wszyscy protagoniści umarli, a nawet jeżeli ktoś jeszcze pozostał przy życiu, nikogo to już nie obchodziło. Inder Lal natomiast aż się palił, żeby opowiedzieć mi o swoich własnych rozlicznych kłopotach. Kiedy zjawił się stróż z kluczem, mogłam wreszcie obejść hole, sale i galerie, o których tak wiele rozmyślałam i które próbowałam wykreować w swojej wyobraźni. Teraz są już zupełnie puste, bo pałac jest jedynie marmurową skorupą. Meble wyprzedano poprzez europejskie domy aukcyjne, a to, co gdzieś tam pozostało, przypomina wraki okrętów dryfujące w marmurowych wnętrzach - kilka połamanych wiktoriańskich sof i stare, zakurzone wachlarze *punkah* smętnie zwisające z sufitu.

Inder Lal szedł za mną krok w krok i opowiadał o atmosferze panującej w jego biurze. Atmosferze nabrzmiałej od intryg i zawiści. Inder Lal wolałby się trzymać od wszelkich kłopotów z daleka - chce się jedynie skupić na swoich obowiązkach - ale to niemożliwe, współpracownicy nie zostawią go w spokoju, każdy musi się opowiedzieć po jakiejś stronie. W rzeczy samej wiele zawiści i intryg kieruje się także przeciwko niemu osobiście, ponieważ naczelnik wydziału jest do niego przychylnie usposobiony. Z tego powodu żółć zalewa kolegów Indera Lala i zrobiliby wszystko, co tylko możliwe - taka już ich natura! - żeby go pograć.

Stanęliśmy na górnej galerii, z której rozciągał się widok na główną bawialnię. Stróż wyjaśnił, że to tutaj, za gęstymi kotarami, siadywały kobiety, by obserwować życie towarzyskie, toczące się na dole. Jedna z kotar wciąż jeszcze wisiała na swoim miejscu: ciężki brokat, zeszywniały od kurzu i starości. Zachwycona przepychem tkaniny przesunęłam po niej dłonią, ale miałam wrażenie, że dotykam martwej materii w stanie rozkładu. Inder Lal - który właśnie mi opowiadał o tym, jak umysł naczelnika zatruwają różne grupy interesów - także dotknął ręką

zasłone, po czym mruknał: „Gdzież się podziały te wspaniałe bogactwa?“, co natychmiast ochoczo podchwycił stróż. W tym punkcie obaj też zgodnie doszli do wniosku, że dosyć się już napatrzyłam. Wyszliśmy z powrotem do ogrodu - cienistego i zielonego, stanowiącego wdzięczny kontrast dla chłodnej bieli pałacu - i wówczas stróż zaczął natarczywie nagabywać o coś Indera Lala. Zapytałam o prywatny meczet nababa, ale Inder Lal oświadczył, że nie ma tam niczego interesującego, natomiast stróż bardzo chciałby mi pokazać małą hinduistyczną kapliczkę, którą wyszykował na własne potrzeby kultowe.

Nie wiem, co znajdowało się tutaj w przeszłości - może jakaś rupieciarnia? Miejsce to było tylko nieco większą dziurą w murze i żeby wejść do środka, musiałam zgiąć się wpół. Za nami do wnętrza wtłoczyło się jeszcze kilka innych osób. Stróż przekreślił elektryczną żarówkę i moim oczom ukazała się kapliczka. Główne bóstwo, Hanuman - w swoim małym aspekcie - zostało umieszczone w szklanej gablotce; w odrębnych, podobnych gablotkach stały dwa inne bóstwa. Wszystkie były wykonane ze stiuku, przybrane jedwabiem i perełkowymi naszyjnikami. Stróż spojrzął na mnie wyczekująco, więc naturalnie pochwaliałam wystrój i złożyłam w ofierze pięć rupii. Marzyłam już tylko, by jak najszybciej wyjść na świeże powietrze, bo panowała tam straszna duchota z powodu natłoku ludzkich ciał i braku wentylacji. Tymczasem Inder Lal postanowił oddać hołd trzem uśmiechniętym bożkom. Zamknął powieki i żarliwie poruszał ustami w modlitwie. Na odchodne dostałam kilka grudek cukru i kwiatowych płatków, których oczywiście nie powinnam wyrzucać, więc wciąż ścisłałam je w dłoni w drodze powrotnej do Satipuru. Gdy wydawało mi się, że Inder Lal nie patrzy w moją stronę, z należytym szacunkiem wyrzuciłam je z autobusu. Mimo to palce pozostały lepkie, przesycone zapachem słodczy i butwiejących kwiatów, który czuję jeszcze teraz, gdy piszę te słowa.

1923

Olivia po raz pierwszy zobaczyła nababa na przyjęciu, które wydał w swoim pałacu w Khatm. W owym czasie mieszkała w Satipurze już od kilku miesięcy i zaczynała ją ogarniać nuda. Jedyne ludźmi, z którymi ona i Douglas spotykali się towarzysko, byli Crawfordowie (superintendent wraz z żoną), Saundersowie (naczelnik lekarzy) oraz major i majorowa Minnies. I to tylko w niektóre wieczory oraz niedziele. Przez większość dnia Olivia siedziała sama w wielkim domu, z drzwiami i okiennicami zamkniętymi na głucho, żeby powstrzymać inwazję żaru i pyłu. Czytała, grywała na pianinie, ale czas i tak strasznie jej się dłużył. Douglas był oczywiście bardzo zajęty pracą w dystrykcie.

Na przyjęcie u nababa Douglas i Olivia pojechali z Crawfordami ich samochodem. Saundersowie również otrzymali zaproszenie, jednak nie mogli się udać do Khatm ze względu na zły stan zdrowia pani Saunders. Pałac od Satipuru dzieliło dwadzieścia pięć kilometrów. Douglas i Crawfordowie, którzy już bywali na przyjęciach u nababa, podchodzili ze stoickim spokojem tak do niewygód podróży, jak i czekającej ich kolacji. Natomiast Olivia była wyjątkowo podekscytowana. Miała na sobie kostium z kremowego lnu, a w neseserze - wieczorową suknię, satynowe pantofle oraz szkatułkę z biżuterią. I już się cieszyła na myśl, że wkrótce to wszystko na siebie włoży i pokaże się w pełnej krasie.

Podobnie jak większość indyjskich książąt, nabab często i ochoczo zapraszał do siebie Europejczyków. W odróżnieniu od innych władców znajdował się w tej niedogodnej sytuacji, że nie mógł zapewnić gościom nadzwyczajnych atrakcji - w jego państewku nie było żadnych interesujących ruin czy terenów łowieckich. Dysponował jedynie pustynną, jałową ziemią i zubożałymi wiościami. Za to pałac, wybudowany w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku, prezentował się nad wyraz okazale. Olivii aż się zaświeciły oczy, gdy została wprowadzona do jadalni i ujrzała przepyszne żyrandole, a pod nimi niezwykle długi stół zastawiony porcelaną z Sèvres, srebrami i kryształami, udekorowany kwiatami, świeżymi granatami, ananasami i złotymi miseczkami z owocami w cukrze. Wówczas poczuła, że po raz pierwszy od przyjazdu do Indii znalazła się w odpowiednim dla siebie miejscu.

O ile miejsce uznała za odpowiednie, o tyle już o gościach zupełnie nie mogła tego powiedzieć. Poza kwartetem z Satipuru przybyła jeszcze jedna brytyjska para - major i majorowa Minnies, mieszkający nieopodal Khatm; przy stole zasiadł również pulchny, łysiejący Anglik o imieniu Harry, który był kimś w rodzaju rezydenta w pałacu nababa. Państwo Minnies mentalnością bardzo przypominali Crawfordów. Major był agentem politycznym oddelegowanym z Londynu, by doradzać w ważnych sprawach nababowi oraz władcom przyległych księstw. Mieszkał w Indiach od ponad dwudziestu lat i wiedział o tym kraju wszystko, co należy wiedzieć; podobnie zresztą jak jego żona. I naturalnie Crawfordowie.

Ich wiedza opierała się na doświadczeniu kilku pokoleń przodków, wszyscy pochodzili bowiem z rodzin, których członkowie w takiej lub innej formie służyli w administracji w Indiach jeszcze na długo przed Rebelią<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Mowa o powstaniu sipajów przeciwko oficerom brytyjskim, które szybko przekształciło się w powstanie ogólnindyjskie i toczyło w latach 1857-1859 (wszystkie przypisy od tłumaczki).

Olivia spotkała już innych, podobnie zasiedziałych na subkontynencie Brytyjczyków i była śmiertelnie znudzona ich rozwlekłymi anegdotami na temat wydarzeń, do których doszło w Kabulu bądź Multanie. Nieustannie też zadawała sobie pytanie, jak można wieść tak niebywale ekscytujące życie - zarządzać całymi prowincjami, walczyć na granicach, doradzać władcom - i pozostać jednocześnie równie nieznośnymi nudziarzami. Powiodła wzrokiem wokół stołu: pani Crawford i majorowa Minnies w niemodnych, niegustownych sukniach bardziej przystających do pospolitego pubu w jakiejś angielskiej dziurze, gdzie zapewne wylądują na starość, niż do książęcego stołu; major Minnies i pan Crawford, z obrzmiałymi, czerwonymi twarzami, perorujący monotonnymi głosami w niezachwianym przekonaniu, że zebrani słuchają ich z zainteresowaniem, chociaż - co do tego Olivia nie miała wątpliwości - wszystko, co mieli do powiedzenia, było równie nudne jak oni sami. Jedynie Douglas wyróżniał się wśród nich. Zerknęła na męża spod oka. O tak, on pasował do tego miejsca. Jak zwykle siedział idealnie wyprostowany; miał na sobie nienagannie skrojony smoking. Wyglądał pięknie, a prosty nos i wysokie czoło przydawały mu szlachetności.

Nie tylko Olivia podziwiała Douglasa. Rezydent w pałacu nababa, siedzący obok Olivii Anglik imieniem Harry, pochylił się nieznacznie i wyszeptał:

- Podoba mi się pani małżonek.
- Doprawdy? - odparła. - To jest nas już dwoje.

Harry zachichotał w uniesioną z kolan serwetkę. Po czym wyszeptał zza białej tkaniny:

- Jakże różny od reszty naszych przyjaciół.

Spojrzał na Crawfordów, potem na Minniesów, w końcu znów skierował wzrok na Olivię i teatralnie przewrócił oczami, dając w ten sposób wyraz frustracji. Olivia wiedziała, że zachowuje się nielojalnie, nie była jednak w stanie powstrzymać uśmiechu. Czuła się pokrzepiona świadomością, że ktoś inny podziela jej odczucia, bo do tej pory nie spotkała jeszcze w Indiach takiej osoby. Nie mogła się uwolnić od podejrzenia, że nawet Douglasowi jej myślenie było



obce. Zerknęła ponownie na męża. Słuchał majora Minniesa z uwagą i niekłamanym szacunkiem.

Nabab, siedzący u szczytu stołu, także zdawał się słuchać swoich gości z uwagą i respektem. Wręcz wychylił się do przodu, jakby nie chciał uronić ani słowa opowieści. Kiedy major zaczął raczyć towarzystwo zabawną dykteryjką o diabolicznie przemyślnym hinduskim lichwiarzu z Patny, który próbował przechytrzyć majora przed wielu laty, gdy ten był jeszcze nieopierzonym nowicjuszem - nabab, w uznaniu dla poczucia humoru Minniesa, odchylił się na krześle i zabębnił palcami po stole; przerwał swój wybuch śmiechu tylko na moment, zachęcając gości, żeby poszli w jego ślady. Olivia jednak czuła, że ten śmiech jest udawany. Była tego niemal pewna. Zauważyła, że choć książę sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego powiastką majora, pilnie baczył na wszystko, co się wokół dzieje. Pierwszy zauważał pusty talerz czy kieliszek i natychmiast niemal niepostrzeżenie dyrygował służbą - zazwyczaj wystarczyło wymowne spojrzenie, niekiedy konieczne było dodatkowe słowo w urdu, wypowiedzane *sotto-voce*. Jednocześnie książę dyskretnie lustrował zebranych i zapewne już wyrobił sobie zdanie na temat każdego z gości. Olivia bardzo chciałaby poznać te opinie, ale podejrzewała, że nabab zachowa je dla siebie. Chyba że zdołałaby go poznać bliżej. Często jej się przyglądał - pozwalała na to, udając, że niczego nie dostrzega. Sprawiało jej to przyjemność - podobnie jak jego szczególne spojrzenie, gdy weszła do jadalni. Oczy nababa zapłonęły żywszym ogniem; natychmiast nad sobą zapanował, ona jednak dostrzegła ten niezwykle błysk i wówczas zaświtała jej myśl, że oto spotkała w Indiach pierwszą osobę, która okazuje jej zainteresowanie, do jakiego przywykła.

Po przyjęciu Olivia lepiej znosiła całodzienną samotność w czterech ścianach. Miała pewność, że nabab złoży jej wizytę, więc każdego rana ubierała się w którąś z pastelowych sukien z przewiewnego muślinu i czekała. Douglas zawsze zrywał się o brzasku, żeby przeprowadzić inspekcje w terenie, nim żar stanie się nie do zniesienia. Potem udawał się do sądu lub do swojego biura i był przez cały czas tak bardzo zajęty, że nigdy nie wracał do domu przed zmrokiem, a i wówczas zazwyczaj przynosił ze sobą różne papiery (jakże ciężkiej pracy wymagano od brytyjskich urzędników!).

Wstawał więc bardzo wcześnie i bardzo cicho, żeby nie obudzić żony. Zanim Olivia podniosła się z łóżka, służący zdążyli już wysprzątać dom, pozaciągać wszystkie story oraz pozamykać okiennice. Potem miała cały dzień do własnej dyspozycji. W Londynie uwielbiała te długie godziny tylko dla siebie - uważała się bowiem za osobę nad wyraz introspektywną. Tutaj

jednak zaczęła nienawidzić samotności, tego zamknięcia w zacienionym domu, gdzie cichym echem niosło się plaskanie bosych nóg służby z szacunkiem czekającej na najbliższe polecenie.

Nabab przybył cztery dni po przyjęciu. Olivia akurat grała na pianinie jeden z utworów Chopina, gdy dobiegł ją warkot silnika samochodowego. Od razu zaczęła uderzać w klawisze ze zdwojoną energią. Służący zapowiedział gościa, a ledwo księżę wszedł do pokoju, odwróciła się ku niemu i szeroko rozwarła oczy.

- Cóż za cudowna niespodzianka! Nabab sahib!

Wstała i wyciągnęła obie dłonie na powitanie.

Zjechał z całym entourage (później się dowiedziała, że zawsze otacza go świta). Wśród przybyłych znajdował się ów Anglik, Harry, i kilku młodych Hindusów również mieszkających w pałacu. Szybko zadomowili się w bawialni Olivii i rozłożyli we wdzięcznych pozach na sofach i kobiercach. Harry oznajmił, że jest zauroczony jej salonem - zachwycony biało-czarnymi drzeworytami, japońskim parawanem, żółtymi obiciami mebli i abażurami w tym samym kolorze. Rzucił się na fotel, sapiąc niczym człowiek na skraju wyczerpania. Zachowywał się tak, jakby właśnie przewędrował pół pustyni i natknął się na ożywczą oazę. Nabab chyba równie dobrze czuł się w tym wnętrzu, bo wizyta przeciągnęła się na cały dzień.

A mimo to zdawało się, że trwała ledwie chwilę. Po wyjściu gości Olivia nie była w stanie sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Głównie brylował Harry, a nabab i Olivia zaśmiewali się z jego dykteryjek. Pozostali młodzi mężczyźni, którzy nie władali biegle angielskim, nie mogli uczestniczyć w konwersacji, za to usłużnie mieszały drinki według upodobań księcia. Nabab wymyślił koktajl składający się z ginu, wódki i cherry brandy, którym poczęstował Olivię (alkohol był dla niej za mocny). Przywiózł swoją własną wódkę, wyjaśniając, że to mało popularny trunek, więc niewiele osób ma ją w domu. Wziął w swoje wyłączne władanie jedną z sof: rozsiadł się na samym środku, szeroko rozłożył ramiona na oparciu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Wyglądał na całkowicie rozluźnionego, a jednocześnie w pełni panującego nad wszystkim i wszystkimi - co zresztą było obiektywnym i niezaprzeczalnym faktem. Nie tylko poczęstował Olivię swoim drinkiem, ale szybko wprowadził ją w doskonały nastrój. Wyraźnie bawiły go dowcipne opowiadki Harry'ego oraz cieszyła perspektywa dalszych rozrywek.

Tego wieczoru po powrocie do domu Douglas nie zastał żony znudzonej - jak zwykle - niemal do łez; była tak podekscytowana, że aż się zatrwożył, czy przypadkiem nie dostała gorączki. Przyłożył dłoń do jej czoła: już nie raz w życiu miał do czynienia z przypadkami tropikalnych infekcji. Olivia wybuchnęła śmiechem i opowiedziała mu o gościu. Douglasowi nie w

smak była ta nowina, ale widząc radość żony, ostatecznie doszedł do wniosku, że nie wydarzyło się nic zdrożnego. Olivia czuła się samotna, toteż miło ze strony nababa, że złożył jej wizytę.

Parę dni później nadeszło kolejne zaproszenie do pałacu. Do zaproszenia dołączono czarujący liścik: gdyby państwo Rivers uczynili nababowi ten zaszczyt i zechcieli uszczęśliwić go swoją wizytą, on naturalnie wyśle po nich samochód. Douglas nie był w stanie pojąć istoty sytuacji: stwierdził, że tradycyjnie Crawfordowie zabiorą ich swoim autem.

- Wielkie nieba! - rzuciła Olivia ze zniecierpliwieniem. - Chyba nie sądzisz, mój drogi, że ONI także zostali zaproszeni.

Douglas spojrział na żonę ze zdziwieniem. Ilekroć ogarniało go zdumienie, wybałuszał oczy i zaczynał się nieznacznie zacinać.

W jakiś czas potem, gdy się okazało, że Crawfordowie rzeczywiście nie otrzymali zaproszenia, popadł w konsternację. Uznał, że nie powinni jechać tylko we dwoje. Ale Olivia nalegała, zdeterminowana jak nigdy dotąd. Wytknęła mężowi, że nie cierpi w Satipurze na nadmiar rozrywek - „wierz mi, najdroższy” - więc nie chciała rezygnować z okazji do zabawy. Douglas zagryzł usta. W duchu przyznawał żonie rację, ale cała ta sytuacja stała się dla niego wysoce problematyczna. Uważał podobną wizytę za niestosowną i próbował to wytłumaczyć żonie, ona jednak nie przyjmowała żadnych argumentów. Nieustannie się sprzeczali. Olivia nawet wstała wcześniej rano, żeby na nowo podjąć dyskusję. Wyszła za mężem przed dom, gdzie czekał stajenny, trzymając za uzdę konia.

- Och, Douglasie, tak bardzo cię proszę - powiedziała, spoglądając płaczliwie, gdy siedział już w siodle.

Nie odpowiedział, ponieważ nie mógł jej niczego obiecać. Chociaż bardzo tego żałował. Olivia odwróciła się i nieszczęśliwa ruszyła w stronę domu; w swoim jedwabnym kimonie wyglądała wyjątkowo krucho. „Jesteś brutalem”, napominał się w myślach Douglas przez cały dzień. Mimo to po południu wysłał list do nababa, ze stosownym ubolewaniem odmawiając przyjęcia zaproszenia.

28 lutego.

Jeden z brytyjskich bungalowów stojących w Dzielnicy Rządowej nie został wzorem pozostałych budynków przeznaczony na siedzibę instytucji municypalnych, ale pełnił funkcję noclegowni dla turystów. Zatrudniono wiekowego stróża, by utrzymywał budynek w czystości i udostępniał go przyjezdnym. Staruszek jednak się nie kwapił do wypełniania powierzonych mu obowiązków. Nie lubił, jak ktokolwiek zawracał mu głowę i zakłócał błogi spokój. Kiedy więc zjawiał się jakiś podróżny, stróż żądał oficjalnego pozwolenia na pobyt w noclegowni; jeżeli takiego nie zobaczył, uznawał, że zrobił wszystko, co do niego należało, i człapał z powrotem do swojej lepianki, w której wiódł całkiem przyjemne życie.

Wczoraj przed bungalowem dla podróżnych natknęłam się na osobliwe trio. Stróż odmówił otwarcia drzwi, więc towarzystwo wraz z bagażami rozłożyło się na werandzie. Był tam młody człowiek ze swoją dziewczyną, oboje Brytyjczycy, oraz jeszcze jeden chłopak, również Anglik - mówiący z akcentem charakterystycznym dla Midlands - ten jednak zdecydowanie się odcinał od własnych korzeni. Oznajmił, że odrzucił wszelkie atrybuty swojej osobowości. Najwyraźniej odrzucił przy okazji tradycyjną odzież, ponieważ miał na sobie jedynie skąpy pomarańczowy ubiór zwyczajowo noszony przez hinduskich ascetów. Ogolił też głowę na łyso, zostawiając tylko na czubku typowy dla sadhu kosmyk. Mimo że zrezygnował z marności doczesnego świata, jego również zezłościła odmowa otwarcia noclegowni. Najbardziej jednak rozsierdzona była dziewczyna - i nie tylko na stróża, ale wszystkich Hindusów razem wziętych. Utrzymywała, że są brudasami i oszustami. Miała ładną, typowo angielską buzię i otwarte spojrzenie, lecz gdy wygłaszała swoje opinie na temat Indii, twarz jej się kurczyła i wykrzywiała w gniewnym grymasie. Pomyślałam wówczas, że jeżeli ta panna pozostanie tutaj dłużej, nabierze takiego wyglądu już na stałe.

- Dlaczego przyjechałaś do Indii? - zapytałam.

- Żeby osiągnąć duchowy spokój. - Zaśmiała się gorzko. - Ale jak do tej pory udało mi się jedynie nabawić dyzenterii.

- Bo na nic innego nie można liczyć w tym kraju - wtrącił jej chłopak.

Zaczęli na wyścigi wyliczać wszystkie nieszczęścia, które na nich spadły. W aśramie w Amritsarze ukradziono im zegarki; zostali oszukani przez człowieka spotkanego w pociągu do Kaszmiru, który obiecał im tani nocleg na barce mieszkalnej, po czym się ulotnił z zaliczką; w samym Kaszmirze dziewczyna nabawiła się dyzenterii wywołanej najprawdopodobniej przez

amebę; ponownie zostali ograbieni w Delhi, gdzie pewien hochsztapler obiecał im bardzo korzystny kurs wymiany funtów na rupie, po czym czmychnął z pieniędzmi przez tylne drzwi kawiarni, w której go poznali; w Fatehpur Sikri dziewczyna była seksualnie nagabywana przez grupę młodocianych Sikhów; w pociągu do Goa chłopak został obrobiony przez kieszonkowców; już na samym Goa wdał się w bójkę z oszalałym Duńczykiem uzbrojonym w brzytwę, a potem rozłożyła go nieznana choroba, być może żółtaczka (wówczas panowała epidemia żółtaczki); dziewczyna natomiast nabawiła się tasiemca.

Wyliczankę przerwało pojawienie się stróża, który wychynął ze swojej lepianki, gdzie - sądząc po zapachach - szykował smakowity posiłek. Oznajmił, że przebywanie na werandzie jest zakazane. Chłopak zaśmiał się złowieszczo, po czym powiedział:

- No to spróbuj nas stąd wykurzyć.

Chociaż choroba wyraźnie go wycieńczyła, wciąż był roslym, młodym człowiekiem, co musiało dać leciwemu stróżowi do myślenia, pogrążył się bowiem w głębokiej kontemplacji. W końcu stwierdził, że obozowanie na werandzie i czerpanie pitnej wody ze studni będzie kosztować przybyszów pięć rupii. W odpowiedzi Anglik wskazał na drzwi i rzucił tonem nieznośnym sprzeciwu:

- Otwieraj.

Wobec takiej reakcji stróż wycofał się rakiem do swojej lepianki, gdzie na nowo zajął się gotowaniem i najprawdopodobniej obmyśleniem kolejnego posunięcia.

Tymczasem młody Anglik wyznał, że on i jego dziewczyna zainteresowali się hinduizmem po wykładzie pewnego swamiego, który zjechał z wizytą do Londynu. Wykład dotyczył Wszechogarniającej Miłości. Mistrz, miękkim, pieszczącym ucho głosem, doskonale współgrającym z tematem prelekcji, oznajmił, że Wszechogarniająca Miłość jest oceanem miodowej słodyczy obmywającym całą ludzkość. Wodził przy tym po zebranych błogim spojrzeniem i uśmiechał się z nieziemską pogodą. Atmosfera panująca na sali była również niezwykle. Wokół unosił się zapach jaśminu, palonych kadzidełek i bananowych liści. Wykład swamiego odbywał się przy akompaniamencie fletu i cymbałków, na których przygrywało dwóch jego uczniów. Pozostali uczniowie siedzieli za swoim guru na podwyższeniu. W większości byli to ubrani w szafranowe szaty Europejczycy o twarzach emanujących duchową czystością, jakby doznali ekspiacji i wyrzekli się wszelkiego pożądania. Po zakończeniu wykładu śpiewali hinduskie hymny, sławiące również ocean miłości. Chłopak i jego dziewczyna wyszli z tego spotkania w tak podniosłych nastrojach, że przez dłuższy czas nie mogli wykrztusić z siebie słowa. A kiedy



już odzyskali mowę, zgodnie doszli do wniosku, że aby wzbogacić się duchowo - czego oboje gorąco pragnęli - muszą się niezwłocznie udać do Indii.

Młody asceta wyznał, że również przyjechał tutaj z pobudek duchowych. W jego wypadku pierwotną inspirację stanowiły hinduistyczne teksty i dotąd pobyt w Indiach go nie rozczarował. Uważał, że przesłanie owych tekstów było wciąż żywe i wyraźnie wyczuwalne - szczególnie w wielkich świątyniach na południu kraju. Mieszkał przy jednej z nich przez kilka miesięcy, podobnie jak hinduscy pielgrzymi. Oczyszczał ciało i medytował z taką gorliwością, że często otaczający go świat rozpływał się w niebycie. On również nabawił się dyzenterii i tasiemca, jednak całkowicie ignorował swoje przypadłości, żył bowiem w wyższym wymiarze duchowym. Z tejże przyczyny nie przejął się wcale, gdy z przyświątynnego kompleksu, w którym się zatrzymał, zniknęła większość jego doczesnych dóbr. Pewien guru zgodził się przeprowadzić go przez rytuał inicjacji - pozbawił wszelkich wyróżników osobowości oraz resztek tego, co jeszcze posiadał, łącznie z nazwiskiem. Chłopak zyskał w zamian nowe, hinduskie imię Chidananda (dwójka towarzyszy wołała na niego Chid). I od owego pamiętnego wydarzenia nie wolno mu było posiadać niczego poza rytualnymi paciorkami oraz żebraczą miseczką, w której miał gromadzić dzienną strawę ofiarowaną przez bogobożnych, miłosiernych bliźnich. Okazało się jednak, że w praktyce takie rozwiązanie nie sprawdza się najlepiej, chłopak często pisał więc do domu listy z prośbą o telegraficzne przekazy pieniężne. Na polecenie swojego guru wyruszył na pielgrzymkę przez całe Indie, której punktem docelowym miała być święta jaskinia w Amarnath. Wędrował więc już od wielu tygodni. Jego głównym problemem były szyderstwa goniących za nim ludzi; szczególnym utrapieniem zaś okazały się dzieci godzące w niego kamieniami bądź innymi pociskami, które akurat znalazły się pod ręką. No i na dodatek nie był w stanie sypiać na gołej ziemi pod rozłożystym drzewem, jak zalecał guru, szukał więc noclegu w tanich hotelikach, gdzie musiał się energicznie targować o przystępną cenę.

Po kilkunastu minutach powrócił stróż i uniósł w górę trzy palce, dając tym do zrozumienia, że cena za obozowanie na werandzie została opuszczona do trzech rupii. Młody Anglik ponownie wskazał na drzwi. Ale negocjacje zostały wreszcie zapoczątkowane i nie minęło wiele czasu, gdy stary przyniósł klucze. Ostatecznie weranda okazała się najprzyjemniejszą częścią bungalowu. Wnętrza były mroczne i zatechłe; w powietrzu unosił się jakiś trupi odór. I rzeczywiście, znaleźliśmy zdechłą wiewiórkę pośrodku sali, która ongiś pełniła zapewne funkcję jadalni (wciąż znajdowały się tu panele boazerii z lustrami i intarsją przedstawiającą Jerzego V). To ponury, przygnębiający dom i taki zapewne był również w latach swojej świetności. Z tylnej

werandy rozciągał się widok na chrześcijański cmentarz. Od razu zauważyłam wznoszącego się wysoko ponad inne mogiły marmurowego anioła, którego Saundersowie sprowadzili z Włoch, by stał nad grobem ich potomka. W tej samej chwili dotarło do mnie, że właśnie w tym domu mieszkał naczelnny lekarz, doktor Saunders. Gdy czytałam listy Olivii, nie zdawałam sobie sprawy, że pani Saunders mogła widzieć miejsce pochówku dziecka z własnej werandy.

Naturalnie w owym czasie anioł był nowy i nienaruszony - olśniewająco biały, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, trzymał w ramionach marmurowe niemowlę. Teraz pozostał z niego jedynie bezgłowy, bezskrzydły tors tulący dziecko pozbawione nosa i stopy. Wszystkie brytyjskie groby są w bardzo złym stanie - zduszone przez chwasty, odarte z każdej marmurowej płyty i elementów z brązu, jakie dało się odrąbać. Kiedy patrzy się na tak zarośnięte, zaniedbane mogiły, nabiera się przekonania, że leżący w nich zmarli rzeczywiście odeszli w niebyt. Natomiast groby chrześcijańskich Hindusów, znajdujące się na początku cmentarza i starannie dogłądane przez krewnych, zdają się poprzez kontrast wibrujące życiem i bardzo współczesne.

1923

Cmentarze zawsze silnie działały na wyobraźnię i emocje Olivii. W Anglii również lubiła po nich spacerować, czytać wykute epitafia, a nawet przysiądać na nagrobkach pod płaczącą wierzba i oddawać się refleksyjnym rozmyśleniom. Cmentarz w Satipurze pobudzał do wyjątkowo nostalgicznych wzruszeń. Chociaż w tym mieście brytyjski korpus urzędniczy zawsze był nieliczny, całkiem spora liczba Anglików zmarła tutaj w ciągu wielu lat; do Satipuru zwożono również ciała z innych dystryktów, w których nie było chrześcijańskich cmentarzy. Większość pochowanych stanowiły noworodki i małe dzieci, ale kilka mogił pochodziło z okresu Rebelii, kiedy to grupa szarmanckich brytyjskich oficerów zginęła w obronie swoich żon i dzieci. Najświeższym grobem był ten noworodka Saundersów, a włoski anioł - najnowszym, najbielszym postumentem.

Kiedy Olivia ujrzała ów nagrobek po raz pierwszy, doznała silnego emocjonalnego wstrząsu. Owego dnia po powrocie do domu Douglas ujrzał żonę leżącą w poprzek łóżka z twarzą wciśniętą w poduszkę. Nie pozwoliła służbie pootwierać okiennic, w pokoju panowała duchota, a sama Olivia była mokra od potu i łez.

- Och, Douglasie - wyjęczała. - Co by było, gdybyśmy mieli dziecko? I ono by umarło! - dorzuciła z przerażeniem.

Minęło wiele czasu, nim zdołał ją uspokoić. Tego wieczoru musiał zapomnieć o dokumentach i całą uwagę skupić na żonie. Pocieszał ją, jak umiał: najlepiej. Tłumaczył, że obecnie niemowlęta nie umierają już tak często jak kiedyś. On sam urodził się w Indiach, jego matka powiła tu jeszcze dwójkę innych dzieci i wszyscy chowali się zdrowo. To prawda, przed dziesiątkami lat wiele niemowląt umierało - jego prababka straciła pięcioro z dziewięciorga potomstwa. Ale to minione dzieje.

- A maleństwo pani Saunders?

- Coś podobnego mogło się wydarzyć wszędzie, najdroższa. W przypadku pani Saunders pojawiły się... komplikacje.

- Mnie czeka to samo. Będę miała komplikacje i umrę. Umrę ja i nasze dziecko. - Próbował protestować, ale Olivia nie dawała się przekonać. - Nie! Jeżeli zostaniemy w tym kraju, to nie przeżyję. Jestem tego pewna. Zobaczysz.

Dopiero kiedy spostrzegła wyraz twarzy męża, powściągnęła emocje. Spróbowała nawet się uśmiechnąć i pogłaskała go po policzku.

- Ale ty tak bardzo chcesz żyć w Indiach. Douglas z zapalem podjął temat.

- Problem w tym, że tutaj wszystko jest dla ciebie ciągle nowe. Reszcie z nas jest łatwiej, ponieważ wiemy, czego się spodziewać. W odróżnieniu od ciebie, moje biedactwo. - Ucałował Olivię, a ona położyła głowę na jego piersi. - Wiesz, niedawno rozmawiałem na ten temat z Beth Crawford. (Nie, najdroższa, nie powinnaś w taki sposób mówić o Beth, to do cna dobra kobieta). Jeszcze przed twoim przyjazdem przewidziała, że z początku będzie ci ciężko. Ale wiesz, co mi oznajmiła, kiedy już cię poznała? Stwierdziła, że ktoś tak inteligentny i wrażliwy jak ty - sama widzisz, że w pełni docenia twoje zalety, najdroższa - na pewno z czasem... świetnie się zaaklimatyzuje. Że ty - cóż, taka jest jej opinia - że szybko zaczniesz dzielić nasz stosunek do Indii. Olivio? Śpisz, kochanie?

Tak naprawdę wcale nie spała, ale przyjemnie było leżeć z głową na piersi Douglasa pod osłoną białej moskitiery. Zza brzoskwiniowego drzewa wypełził księżyc i jego blask wsączył się do sypialni przez otwarte okna. Gdy Douglas doszedł do wniosku, że Olivię zmorzył sen, przycisnął ją mocno do siebie i zdusił w sobie jęk - jakby niemal boleśnie przygniatał go ogrom szczęścia, wywołany widokiem żony zastygłej w jego ramionach, zalanej poświatą indyjskiego księżyca.

Nazajutrz Olivia wybrała się z wizytą do pani Saunders. Wzięła ze sobą kwiaty, owoce i serce przepełnione tkliwym współczuciem. O ile jednak uczucia Olivii do nieszczęsnej dokto-

rowej uległy zasadniczej zmianie, nie można było tego samego powiedzieć o obiekcie owych uczuć. Pani Saunders wciąż była tą samą nieatrakcyjną osobą spędzającą większość czasu w łóżku w ponurym, mrocznym domu. Olivia, zawsze wrażliwa na wygląd i atmosferę otoczenia, z trudem walczyła z obrzydzeniem. Nienawidziła brudu i zapuszczenia, a ten dom należał do wyjątkowo zapuszczonych i niechlujnych. Podobnie jak służba. Nikt się nie pofatygował, żeby wstawić piękne kwiaty od Olivii do wazonu - a może tutaj wcale nie było wazonów? W ogóle wewnątrz sprawiało wrażenie ascetycznego - znajdowało się tu zaledwie kilka brzydkich mebli, na dodatek pokrytych warstwą kurzu.

Olivia usiadła przy łóżku pani Saunders, która zaczęła ją raczyć opowieścią o swoich przypadłościach mających jakiś związek z macicą. Ów organ szwankował od czasu śmierci dziecka - w tym miejscu doktorowa po raz pierwszy i jedyny wspomniała o stracie potomka, a potem skoncentrowała się już w całości na zgubnym wpływie złego funkcjonowania macicy na ogólny stan swego zdrowia. Podczas gdy ciągnęła tę opowieść, Olivia doszła do niegodziwego wniosku, że Saundersowie nie byli... cóż, nikt nigdy nie powiedział tego głośno, ale oni naprawdę nie byli ludźmi na poziomie zazwyczaj spotykanym wśród brytyjskiej warstwy urzędniczej w Indiach. Olivia w żadnym razie nie uważała się za snobkę, miała jednak wysoce rozwinięty zmysł estetyczny. Natomiast szczegóły dolegliwości, opisywane przez panią Saunders, zdecydowanie wykraczały poza granice dobrego smaku. Ponadto akcent doktorowej - jak można było tego nie zauważyć, skoro miała językiem bez chwili wytchnienia? - zdradzał, że nie należała do osób wykształconych...

Jestem podła, podła, wyrzucała sobie Olivia w duchu, i w tej samej chwili doznała szoku, ponieważ doktorowa wrzasnęła na całe gardło. Olivia odwróciła się i zobaczyła, że do sypialni wszedł jeden z flejtuchowatych służących w brudnych butach na nogach. I właśnie ten fakt tak bardzo wyprowadził z równowagi panią domu - bo też trzeba przyznać, że wejście kogoś ze służby na pokoje w butach było oznaką wyjątkowego braku szacunku i Douglas nigdy przenigdy by na coś podobnego nie pozwolił. Jednak tym, co najbardziej zdumiało i przeraziło Olivie, była gwałtowność reakcji pani Saunders. Kobieta raptownie usiadła na łóżku i krzyczała niczym obłąkana. Do tego posłała pod adresem służącego grube przekleństwo. Zdjęty strachem Hindus natychmiast uciekł z pokoju. Doktorowa wyczerpana wybuchem opadła na poduszki, jednak nie zamilkła. Chciała wyrzucić z siebie gorycz, a może raczej usprawiedliwić swoje zachowanie; niewykluczone też, że odczuwała wstyd z powodu przekleństwa, które się jej wymknęło. W każdym razie oznajmiła, że wszyscy służący są diabłami wcielonymi i każdego

człowieka byliby w stanie doprowadzić do szaleństwa. Że ich postępowanie nie jest wynikiem głupoty - wręcz przeciwnie, umieli się wykazać wyjątkowym sprytem, jeżeli tak im było na rękę - ale przemyślną formą torturowania swoich państwa. Podała rozliczne przykłady złodziejstwa służących, ich pijaństwa i innych fatalnych nałogów. Opowiedziała Olivii o brudzie panującym w kwaterach służby - ale czego innego oczekiwać, skoro wszystko wokół było tutaj jednym wielkim dołem kloacznym - całe miasto, ulice, bazary, a czy Olivia kiedykolwiek zajrzała do jednej z tych pogańskich świątyń? Pani Saunders jęknęła głucho i zakryła twarz dłońmi. Olivia ujrzała łzy przeciekające przez palce kobiety, kapiące na gors nocnej koszuli, wstrząsany łkaniem.

- Błagałam go... - wyszlochała doktorowa - ...błagałam raz po raz... powtarzałam: „Wilie, uciekajmy stąd”.

Olivia wygładziła poduszkę. Teraz i ona płakała, zdjeta litością dla istoty tak głęboko nieszczęśliwej.

Jakże ożywcze po przeżyciach w domu Saundersów było towarzystwo pogodnej, energicznej Beth Crawford! Beth przyszła zaprosić Olivie na wspólny wyjazd do Khatm, by złożyć kurtuazyjną wizytę matce nababa. Olivia nie posiadała się z radości, gdy znów znalazła się w pałacu, chociaż tym razem wraz z panią Crawford zostały wprowadzone wprost do skrzydła przeznaczonego dla kobiet. Pomieszczenia tutaj były także eleganckie, tyle że bardziej indyjskie w stylu. Stały tu niskie otomany, na podłogach leżały wielkie poduchy obleczone w ciężkie, kosztowne tkaniny, na ścianach wisiało sporo małych lusterek w emaliowanych ramkach. Pośrodku komnaty ustawiono trzy europejskie krzesła, przeznaczone dla pani Crawford, Olivii oraz *begum* - czyli księżnej. Hinduskie damy dworu, w większości dosyć posunięte w latach, rozłożyły się na otomanach i poduchach. Kilka młodych dam, odzianych w półprzezroczyste jedwabie, serwowało sorbety oraz inne napoje i słodyczne sukcesywnie wnoszone na tacach przez służące.

Olivii nie pozostało nic innego, jak siedzieć w milczeniu na brzegu krzesła. Nie mogła uczestniczyć w rozmowie, ponieważ nie znała ani słowa w urdu (oficjalnym języku pałacu). *Begum* próbowała powiedzieć coś po angielsku, ale od razu wybuchnęła śmiechem, rozbawiona własną fatalną wymową. Była po pięćdziesiątce i mogłaby z powodzeniem uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie okazała brodawka pośrodku policzka. Trzymała w palcach długą cygarniczkę i paliła jednego papierosa za drugim. Zachowywała się w bardzo swobodny sposób i nawet nie próbowała ukryć, że na krześle jest jej niewygodnie. Bez przerwy się kręciła, podwi-



jął pod siebie raz jedną, to znów drugą nogę. Olivia, która uwielbiała się wylegiwać, też chętniej rozłożyłaby się na poduchach, ale zapewne byłoby to sprzeczne z etykietą.

Pani Crawford siedziała wyprężona jak struna. Na zsuniętych razem kolanach trzymała torebkę, a na niej złożone dłonie w białych rękawiczkach. Była dominującą postacią w tym gronie i to na niej spoczywała pełna odpowiedzialność za powodzenie wizyty. I Beth bynajmniej się nie uchylała od owej odpowiedzialności. Mówiła biegle w urdu - jeżeli nawet nie w pełni poprawnie, to z dużą pewnością siebie. Przyszła przygotowana; gdy tylko opadało zainteresowanie jednym tematem, gładko przechodziła do następnego, wcześniej starannie obmyślnego. *Begum* i damy rozłożone na poduchach zdawały się dobrze bawić: często wybuchały śmiechem i klaskały w dłonie. Każdy perfekcyjnie odgrywał swoją rolę, zarówno kobiety z pałacu, jak i pani Crawford - dowodząc tym samym, że już wielokrotnie brały udział w podobnym spektaklu. Jedynie Olivia, nowa w tym towarzystwie, nie mogła czynnie uczestniczyć w przedstawieniu; nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo i tak koncentrowała uwagę głównie na drzwiach, zastanawiając się, czy przypadkiem lada chwila nie stanie w nich nabab. Książę jednak się nie zjawiał.

W odpowiednim momencie pani Crawford wstała z krzesła, na co pałacowe damy zareagowały grzecznościowym okrzykiem zawodu. Następnie dorzuciły kilka dodatkowych kurtuazyjnych protestów, ale ostatecznie dały za wygraną i odprowadziły gości na odpowiednią odległość do drzwi. Olivia nachyliła się w stronę towarzyszki i zapytała szeptem:

- Czy nie powinnyśmy także złożyć wizyty nababowi?

- To zdecydowanie niewskazane - odparła pani Crawford i ruszyła przed siebie energicznym krokiem osoby przepełnionej poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Olivia wlokła się za nią noga za nogą, raz po raz strzelając oczami na boki, niby to w podziwie dla kompozycji kwiatowych, które rzeczywiście były wspaniałe.

Po wizycie w pałacu obie kobiety udały się do domu Minniesów, znajdującego się nieopodal Khatm. Majorowa Minnies akurat siedziała przy sztalugach, ale natychmiast poderwała się z miejsca i entuzjastycznie powitała gości. Niedbałym ruchem ręki odprawiła swojego modela - wiekowego wieśniaka, uosobienie cierpliwości - po czym zdjęła malarski fartuch i odrzuciła na bok frywolnym, dziewczęcym gestem. W towarzystwie przyjaciółki pani Crawford również nabrała filuterności i komicznie przewracała oczami, gdy relacjonowała przebieg wizyty u księżnej.

- Jesteś w tym doprawdy niezrównana, Beth - stwierdziła majorowa.

- Chyba rzeczywiście poszło nie najgorzej - radośnie odparła pani Crawford. - Czyż nie?  
- zwróciła się do Olivii, by ta nie czuła się wykluczona.

Mimo to Olivia tak właśnie się czuła - równie wyobcowana jak wcześniej w pałacu. Pani Crawford i majorowa pozostawały w zażyłej przyjaźni od niepamiętnych czasów. Obie mieszkały w Indiach od lat, nic nie było w stanie ich przygnębić, nieustannie tryskały dobrym humorem. Pewnie najchętniej rozsiadłyby się gdzieś wygodnie i porozmawiały od serca w cztery oczy, ale w zaistniałej sytuacji skupiły uwagę na Olivii. Zasypały ją dobrymi radami - jak zawieszać na drzwiach chłodzące maty z wetywerii, czy jak nauczyć ayę prania krepdeszynowych bluzek (których pod żadnym pozorem nie wolno oddawać w ręce *dhobi*<sup>1</sup>!). Olivia próbowała okazać zainteresowanie, ale tak naprawdę nic jej nie obchodziły praktyczne wskazówki i przy pierwszej nadarzającej się okazji zapytała o to, co autentycznie ją ciekawiło.

<sup>1</sup> Prac.

- Czy nabab nie jest żonaty?

Zapadło milczenie. Obie przyjaciółki nie wymieniły co prawda wymownych spojrzeń, ale Olivia odniosła wrażenie, że po prostu nie musiały, bo rozumiały się bez słów. W końcu odezwała się Beth Crawford.

- Owszem, ale jego żona już z nim nie mieszka. - Powiedziała to tonem osoby, która nie zamierza niczego owijać w bawełnę. - Szwankuje na zdrowiu - dodała. - Zaburzenia psychiczne.

- Och, Beth, mam dla ciebie wspaniałą nowinę! - niespodziewanie wykrzyknęła pani Minnies. - Otrzymałam wieści z Simli i wyobraź sobie, że w tym roku możemy także wynająć Wiciokrzewowy Dworek. To wspaniale, prawda?... A czy Olivia zaplanowała już swój pobyt w górach?

Zanim Olivia zdążyła otworzyć usta, odpowiedziała za nią pani Crawford:

- Douglas ostatnio wypytywał o nasze przygotowania.

- Cóż, w Wiciokrzewowym Dworku z pewnością znajdzie się miejsce dla Olivii. Szczególnie że Arthur najprawdopodobniej nie będzie mógł jechać ze względu na sytuację...

- Mary! O, nie...!

- Wciąż jeszcze łudzimy się nadzieją, ale sprawy nie przedstawiają się najlepiej. Tak czy inaczej, ja z pewnością się wybiorę. Jak dotąd nie namalowałam panoramy rozciągającej się z Prospect Hill i w tym roku już muszę to zrobić. Bez względu na ekscesy nababa.

- Nababa? - zainteresowała się Olivia.

Po kolejnej chwili milczenia majorowa zwróciła się do pani Crawford:

- Wypłynęły nowe fakty. Wygląda na to, że on rzeczywiście ma z nimi jakieś konszachty.

- Z bandytami? Mary, ależ to straszne! I to jeszcze w tym czasie.

- Nic na to nie poradzimy - odparła majorowa z wystudiowaną pogodą ducha. - Ostatecznie już do tego przywykliśmy. A w każdym razie powinniśmy przywyknąć. Trzy lata temu wszystko wyglądało podobnie. Nasz przyjaciel zazwyczaj coś szykuje akurat w chwili, gdy Arthur wybiera się na urlop. Zdaje się, że już weszło mu to w krew.

- Co się stało trzy lata temu? - spytała Olivia.

Znowu zapadła cisza. Ostatecznie na pytanie odpowiedziała Beth Crawford - uznając, acz niechętnie, że Olivia powinna znać pewne fakty:

- Wówczas wybuchła afera z rozpadem małżeństwa. - Westchnęła ciężko; sprawa była dla niej w oczywisty sposób niesmaczna. - Mary wie dużo więcej ode mnie na ten temat.

- Wcale nie tak dużo - zaprotestowała pani Minnies. - Tutaj zawsze trudno stwierdzić, o co w istocie chodzi... - Ona również nie miała ochoty na dalsze wyjaśnienia, lecz podobnie jak przedmówczyni uznała prawo Olivii do informacji. - Biedny Arthur musiał się w końcu zaangażować w tę awanturę, zresztą do spółki z pułkownikiem Morrisem, swoim odpowiednikiem w Cabobpurze, państewku należącym do rodziny Sandy. Sandy to żona nababa. Wszyscy tak na nią mówili, chociaż naprawdę ma na imię Zahira.

- Gdyby nie Arthur i pułkownik Morris - podjęła pani Crawford - sytuacja mogłaby przybrać bardzo nieprzyjemny obrót. Cabobpurowie byli wściekli na nababa.

- Ale dlaczego? - zachnęła się Olivia. - To znaczy... nabab z pewnością nie ponosi za nic winy... skoro jego żona... skoro ona zapadła na chorobę psychiczną...

Po czwartej już dłuższej pauzie Beth wyjaśniła:

- Jak zauważyła Mary, tutaj zawsze trudno stwierdzić, o co tak naprawdę chodzi. W każdym razie pojawiła się wówczas kwestia zwrotu posagu... to wszystko było w najwyższym stopniu nieznośne... Olivio - ton Beth nienaturalnie się ożywił - pojedziesz z nami do Simli, prawda?

Olivia, nieco spłoszona, zaczęła się bawić cienką bransoletką zdobiącą jej smukły nadgarstek.

- Wciąż dyskutujemy z Douglasem na ten temat.

- On ma nadzieję, że się z nami wybierzesz. - Pani Crawford przeniosła uważny wzrok na Olivię; otwartością oraz siłą spojrzenia bardzo teraz przypominała Douglasa.

- Nie chcę zostawiać męża - odparła Olivia. - Cztery miesiące... zdają się wiecznością - dorzuciła nieśmiało, ponownie obracając bransoletkę. - Jesteśmy razem od niedawna. - W zasadzie chciała użyć słowa „małżeństwo”, ale „razem” brzmiało jakoś lepiej.

Pozostałe kobiety wymieniły znaczące spojrzenia i parsknęły śmiechem.

- Musimy ci się wydawać starymi nudnymi kurami domowymi - skwitowała pani Crawford.

- Cóż, ale ta stara kura - wtrąciła pani Minnies - wpadnie w prawdziwy gniew, jeżeli Arthur będzie zmuszony tutaj pozostać...

- A co miałyby go zmusić do pozostania? - spytała Olivia.

- Potrzebujemy cię, Olivio - pospiesznie rzuciła Beth Crawford. - Bez ciebie pobyt w Simli będzie śmiertelnie nudny.

- W rzeczy samej - podchwyciła żart pani Minnies. - Gdybyśmy pojechały bez ciebie, któż chciałby śledzić nas wzrokiem podczas spacerów po Mall? Któż interesujący składałby nam wizyty w Wiciokrzewowym Dworku?

- Nikt. Tylko inne stare kury domowe.

Obie zachichotały jak pensjonarki. Olivia dobrze wiedziała, że tak naprawdę bez niej czułyby się w Simli dużo lepiej, bo wówczas mogłyby się swobodnie oddawać upodobaniom przystającym statecznym matronom. A mówiły to wszystko tylko dlatego, że chciały sprawić jej przyjemność.

- Czy pani Saunders także wybiera się w góry? - zapytała.

- Nie. Joan nigdy nie jeździ do Simli. Chociaż dobrze by jej zrobiło, gdyby wreszcie wyrwała się z domu... Tobie też wyszłoby to na zdrowie, Olivio - zawyrokowała pani Crawford i posłała jej kolejne spojrzenie w stylu Douglasa.

- Dlaczego jednak major Minnies nie może jechać? Skoro to jego urlop...

Tym razem majorowa i Beth Crawford puściły słowa Olivii mimo uszu. Wróciły do omawiania planów związanych z wyjazdem do Simli - zagłębiły się w rozważania, kogo ze słu-

zących zabrać ze sobą, a kogo pozostawić w domu, by doglądał biednych starych sahibów, którzy musieli pracować w pocie czoła na zalanej żarem równinie.

Ostatecznie Olivia zdobyła interesujące ją informacje z zupełnie innego źródła. Pewnego wyjątkowo przygnębiającego poranka - nie chciało jej się nawet grać na pianinie - przybył nieoczekiwany gość. Był to Harry, przywieziony przez szofera jednym z samochodów należących do nababa. Harry od progu stwierdził, że po prostu musi odetchnąć w oazie (bo takim mianem już na stałe ochrzcił dom Olivii). Olivia natomiast na jego widok doszła do wniosku, że ten człowiek - chociaż nieapetycznie pulchny i mało atrakcyjny jako mężczyzna - stał się dla niej swoistą oazą. Wizyta przeciągnęła się na cały dzień i rozmowa zeszła na wiele tematów, które od dłuższego czasu pobudzały ciekawość Olivii.

O żonie nababa Harry wyraził się w następujący sposób:

- Biedactwo. Nieszczęsna Sandy. Nie podołała wyzwaniu. Nie wytrzymała w zderzeniu z jego wielkością.

- Czyją? - Olivia ponownie napełniła kieliszki. Raczyli się słodkim sherry.

Harry posłał jej znaczące spojrzenie, po czym szybko spuścił powieki.

- Księżę odznacza się bardzo silną osobowością. Jest niebywale męski i władczy. Jeżeli czegoś pożąda, nic nie jest w stanie go powstrzymać. Nic i nikt. Został nababem w wieku piętnastu lat, gdy jego ojciec zmarł nagle na udar mózgu. Rządzi więc niemal od dziecka; wszystko i wszystkich umie nagiąć do swojej woli.

W ciężkim westchnieniu Harry'ego podziw mieszał się z cierpieniem.

- Cabobpurowie zdecydowanie się sprzeciwiali temu małżeństwu - podjął po chwili. - Naturalnie są o wiele potężniejszymi władcami; tak naprawdę on się nie liczy w ich gronie. No - si niewiele znaczący tytuł i wedle ich standardów nie jest krezusem.

- Wydaje się bardzo bogaty - wtrąciła Olivia.

- Po raz pierwszy zetknąłem się z nim w Londynie - ciągnął Harry. - Wraz ze swiłą zatrzymał się u Claridge'a. Zabrał do Europy wszystkich swoich ulubieńców, a do tego niezbędnych służących - takich jak na przykład Shafi, który zawsze miesza dla niego drinki. W tym samym hotelu zamieszkali również Cabobpurowie. Zajmowali całe poniższe piętro. Oni także przywieźli ze sobą pół dworu. Jednak po tygodniu przenieśli się do Paryża, ponieważ Sandy okazywała zbyt duże zainteresowanie nababem. Rzecz w tym, że od niego nie sposób uciec. Już następnego dnia zaaranżował wyjazd do Francji. Powiedział wówczas: „Musisz wyruszyć ze mną, Harry”. Polubił mnie od pierwszego wejrzenia.



- I pan pojechał?

Harry zacisnął powieki.

- Jak już wspomniałem, takiemu człowiekowi się nie odmawia... A gdy już o tym mowa, Olivio... znaczy się, pani Rivers... a może zaczęlibyśmy mówić sobie po imieniu? Mam wrażenie, że choć krótko się znamy, zdążyła już nas połączyć przyjaźń. Tak bywa, gdy spotkają się dwie pokrewne dusze, prawda?... A więc, Olivio, on bardzo chciałby wydać kolejne przyjęcie.

Olivia w milczeniu dołała do kieliszków sherry.

- Szczególnie mu zależy na twojej obecności. Naturalnie przyśle samochód.

- Douglas jest ostatnio wyjątkowo zajęty.

- On tak bardzo pragnie, żebyście się zjawili. Wprost niesamowicie... Wydawałoby się, że człowiek z jego pozycją ma miliony przyjaciół, tymczasem w rzeczywistości jest całkiem osamotniony.

- Przecież ma ciebie.

Olivia swego czasu zapytała Douglasa, jaka jest właściwie pozycja Harry'ego. Czy pełni jedną z oficjalnych funkcji, na przykład sekretarza? Douglas nie kwapił się z odpowiedzią, a gdy zaczęła nalegać, stwierdził, że na dworze zawsze znajdują się totumfaccy, uczepleni pańskiej klamki.

Podczas owej wizyty Harry uderzył w bardzo konfidencjonalne tony - jakby od dawna marzył o swobodnej wymianie zdań z kimś godnym zaufania.

- Robię wszystko, absolutnie wszystko, co w mojej mocy, żeby go uszczęśliwić. Bóg mi świadkiem, jak bardzo się staram. Nie tylko z tego powodu, że darzę księcia niekłamaną sympatią, ale przede wszystkim dlatego, że okazuje mi nadzwyczajną życzliwość. Nawet sobie nie wyobrażasz, Olivio, jaki jest wielkoduszny. Jeżeli ktoś nie chce przyjąć od niego prezentu, okrutnie go tym rani. Ale przecież nie można ciągle brać i brać. Człowiek czuje się wówczas... Tak czy inaczej, jestem w Indiach, ponieważ go lubię, nie dla żadnej innej przyczyny. On natomiast ciągle mi coś daje. Obdarowuje mnie przedmiotami - ton głosu i wyraz twarzy Harry'ego zdradzały wielki ból.

- Ale to oznacza, że nabab cię lubi.

- Kto wie? Jest nieodgadniony. W jednej chwili człowiek myśli: tak, widzę, że mu na mnie zależy - a w następnej zostaje potraktowany jak... jak przedmiot. Jestem przy nim od trzech lat. Możesz to sobie wyobrazić? Trzy lata w Khatm! Nie widziałem nawet Tadź Mahal. Nieustannie szykujemy się do podróży, planujemy zwiedzić... och, najprzeróżniejsze miejsca,

jednak w ostatniej chwili zawsze coś staje na przeszkodzie. Zazwyczaj za sprawą *begum*, która nie chce, żebyśmy się ruszali z domu... Wiesz, niekiedy odnoszę wrażenie, że księżna jest jedyną osobą, do której żywi ciepłe i szczere uczucia. Pragnie mieć ją zawsze przy sobie. Naturalnie, to jego matka... Ja nie widziałem swojej od trzech lat. Martwię się o nią, ponieważ nie miewa się najlepiej. Tkwi samotnie w skromnym mieszkanku w South Kensington. Oczywiście marzy o moim powrocie. Jednak ilekroć o tym wspominam, on śle mojej matce jakiś wspaniały prezent. Kiedyś dostał od niej list - podziękowała za dar, po czym napisała: „Najlepszym prezentem, jaki może mi Pan sprawić, będzie odesłanie Harry'ego do domu”. Bardzo się tym wzruszył.

- A mimo to nie pozwala ci wyjechać?

Harry posłał Olivii spojrzenie z ukosa. Zamilkł. Zagryzł wargi. W końcu powiedział urażonym tonem:

- Mam nadzieję, że nie uznałaś moich słów za skargę.

Nadeszło późne popołudnie, atmosfera zgęstniała. Olivia poczęstowała Harry'ego lunchem; zjadł bardzo niewiele. Cierpiał na nieustanne problemy trawienne. W pokoju panowały skwar i duchota, ale było jeszcze za wcześnie na otworzenie okiennic. Sherry stała się ciepła i lepka, wokół unosił się mdlący zapach kwiatów wypełniających wazony (Olivia nie mogła żyć bez kwiatów). Chciała, żeby Harry już poszedł. Chciała, by ten dzień wreszcie się skończył, żeby nadciągnęła noc i przyniosła ze sobą chłodny wiatr. Chciała zobaczyć Douglasa siedzącego przy biurku, pochylonego w surowej powadze nad swoimi nieśmiertelnymi dokumentami.

Douglas bardzo płynnie mówił w hindustani. Była to umiejętność niezbędna na jego stanowisku, wymagającym ciągłego kontaktu z Hindusami i rozwiązywania rozlicznych lokalnych problemów. Swoją pracę Douglas wykonywał w biurze, w sądzie lub w terenie, więc na co dzień Olivia nie miała żadnej styczności z jego petentami. Jednak od czasu do czasu - zazwyczaj z okazji jakichś świąt - miejscowi bogacze przychodzili do ich domu z wyrazami uszanowania. Siadywali wówczas na werandzie i tam też składali podarki dla sahiba, głównie kosze pełne owoców lub tace ze słodyczami i orzeszkami pistacjowymi. Wszyscy bogaci Hindusi wyglądali tak samo: byli brzuchaci, nosili nieskazitelnie białe stroje z muślinu, błyszczeli od olejków i biżuterii. Gdy Douglas wychodził na werandę, aby ich powitać, kłaniali się, wdzięczyli, sztucznie uśmiechali i zdawali tak oszołomieni zaszczytem, jaki im czynił, że z ledwością dukali słowa podziękowania.

Olivia wsłuchiwała się w rozmowy prowadzone na werandzie. Dominował głos męża - męski i stanowczy. Ilekroć Douglas coś mówił, wszyscy inni ograniczali się do pomruków potakiwania. Musiał też żartować, bo od czasu do czasu Olivie dobiegało unisono śmiechów. Ale przemawiał także surowym tonem i wówczas pomruki stawały się bardzo ciche, uniżone, aż w końcu rzucał dowcipną uwagę i napięcie znajdowało ujście w kolejnej salwie śmiechu. Można było odnieść wrażenie, że Douglas gra na jakimś niezwykłym instrumencie muzycznym i robi to z maestrią wirtuoza. Doskonale wiedział, jak rozłożyć akcenty, a także kiedy przejść do wielkiego finału. Wówczas z werandy dochodziły szurgot stóp oraz ostatnie chóralne wyrazy wdzięczności sprawiające wrażenie niebywale szczerych i płynących prosto z serca, ponieważ niektóre głosy wręcz załamywały się ze wzruszenia.

Douglas wszedł do domu radośnie uśmiechnięty. Podobne spotkania sprawiały mu przyjemność.

- Ależ z nich banda łotrów. - Potrząsnął głową w pobłażliwym rozbawieniu.

Olivia siedziała nad robótką. Ostatnio zainteresowała się haftem i na początek postanowiła wyszyć kwiatowy wzór na przyszłym obiciu podnóżka. Douglas usiadł w fotelu naprzeciwko żony.

- Jakbym nie wiedział, na czym polega ta zabawa.

- A na czym ona polega? - zainteresowała się Olivia.

- Stosują swoje wypróbowane sztuczki. Lubują się w podobnych gierkach. Wydaje im się, że są niezwykle przebiegli, a tak naprawdę są jak dzieci. - Uśmiechnął się i postukał fajką o angielską kratę kominkową z brązu.

- Doprawdy, najdroższy - zaprotestowała Olivia.

- Wybacz, kochana.

Sądził, że chodziło o fajkę. Był początkującym, niedoświadczonym palaczem i niechęć naprószył popiołem. Ale ona miała coś zupełnie innego na myśli.

- Wszyscy wyglądają na bardzo dorosłych. Wybuchnął śmiechem.

- Rzeczywiście. To bardzo mylące. Ale kiedy już się ich rozgryzie - a oni mają tego świadomość - takie spotkania stają się całkiem przyjemne. Byle nie dać sobie zamydląć oczu, to można się setnie ubawić.

Spojrzał na złocistą główkę żony, na jej białą szyję. Uwielbiał, gdy Oliwia siedziała tak naprzeciwko niego, pochłonięta robótką. Miała na sobie coś beżowego i miękkiego. Douglas

nie znalazł się na kobiecej modzie, wiedział jedynie, co mu się podoba, a ten strój podobał mu się bardzo.

- Nowa sukienka? - zapytał.

- Wielkie nieba, kochany, widziałeś ją już setki razy... Dlaczego tak się zaśmiewali? Co im powiedziałaś?

- W zawołany sposób wyzwalałem ich od bandy łotrów.

- I coś podobnego ich bawi?

- Owszem, pod warunkiem, że usłyszą to w hindustani.

- Muszę się nauczyć tego języka!

- Rzeczywiście. Musisz - odparł bez entuzjazmu. - To jedyny język, w którym śmiertelne zniewagi możesz ubrać w kwieciste kurtuazyjne formy... To znaczy, nie miałem na myśli akurat ciebie, oczywiście. - Parsknął śmiechem, rozbawiony własnym doborem słów. - Ależ byliby zaszokowani!

- Dlaczego? Pani Crawford mówi biegle w hindustani. Podobnie jak majorowa Minnies.

- To prawda. Ale nie rozmawiają z mężczyznami. I nie rzucają śmiertelnych zniewag. To czysto męska gra.

- Jak każda inna.

Z zadowoleniem przyssał się do fajki, co zirytowało Olivie.

- Nie rób tak! - wykrzyknęła ostro. Douglas spojrzał na żonę ze zdumieniem. - Nie znoszę tego czegoś w twoich ustach - wyjaśniła.

Nie rozumiał, czemu aż tak się zdenerwowała, ale odłożył fajkę.

- Właściwie ja też nie przepadam za tytoniem - wyznał uczciwie.

Zapadła cisza. Olivia przestała wyszywać i wpatrzyła się w przestrzeń; jej dolna warga wygięła się w podkówkę.

- Poczujesz się dużo lepiej, gdy wyjedziesz w góry - zawyrokował.

- To upał tak cię rozstraja, kochana.

- Masz rację... a kiedy ty będziesz mógł wyjechać?

- Mną nie zwracaj sobie głowy. Musimy przede wszystkim zatroszczyć się o siebie.

Dzisiaj rozmawiałem z Beth. Planują wyjazd siedemnastego, więc poprosiłem, żeby zarezerwowano dla ciebie miejsce sypialne w pociągu na ten sam dzień. Podróż zajmie całą noc, ale zapewniam, że nie będzie bardzo męcząca. - Był zachwycony poczynionymi przez siebie przygotowaniami, toteż za nic nie przyszedłoby mu do głowy, że Olivia może mieć zupełnie inny po-

gląd na tę sprawę. - Dojazd do Simli zajmie kolejne cztery godziny, ale droga z pewnością cię zachwyci. Cóż za cudowny krajobraz, nie wspominając już o klimacie...

- Ani przez moment sobie nie wyobrażaj, że pojedę bez ciebie!

- Będzie tam Beth Crawford. I Mary Minnies. Wezmą cię pod swoje skrzydła. - Kiedy zobaczył minę żony, ogarnęło go zniecierpliwienie.

- To dziecinne, Olivio. Moja matka przez większą część życia spędzała cztery miesiące w roku z dala od ojca. Wyjeżdżała z końcem kwietnia i wracała na początku września. Też nie była tym zachwycona, ale na placówce w Indiach takie rozwiązanie jest nieuniknione.

- Nigdzie nie pojedę - oświadczyła stanowczo Olivia. Wyprostowała się na krześle i spojrzała mężowi prosto w oczy. Po czym dodała: - Nabab chce wydać dla nas przyjęcie.

- Bardzo to uprzejmie z jego strony - odparł Douglas sucho. Ponownie chwycił fajkę i zaczął postukiwać cybuchem o kratę.

- W istocie - powiedziała Olivia. - Przysłał Harry'ego z zaproszeniem w jego imieniu.

- Nieczęsto się zdarza, aby władca wydawał przyjęcia dla młodych urzędników.

- Zapewne. Podejrzewam jednak, że tak jak my jest już znudzony tymi starymi.

- Jak my?

- Jak ja.

Wciąż spoglądała mu w oczy, ale jej stanowczość osłabła - nie pod wpływem lęku, lecz miłości i tego, jak Douglas na nią patrzył. Kochała jego oczy. Były takie czyste, emanowały odwagą - oczy chłopca, który naczytał się książek przygodowych, po czym postanowił wieść życie zgodne z kodeksem honorowym sławionym w owych powieściach.

- Dlaczego właściwie się kłócimy? - zapytała.

Rozważył tę kwestię, po czym odrzekł to, co podpowiadał mu rozsądek.

- Ponieważ tutejszy klimat wprawia cię w rozdrażnienie. To całkiem naturalne, zdarza się każdemu z nas. W twoim wypadku sytuację pogarsza fakt, że całymi dniami musisz tkwić bezczynnie w czterech ścianach domu. Dlatego chcę, żebyś wyjechała. Chyba nie sądzisz, że mnie się to podoba - dodał po chwili.

Wówczas kompletnie się rozkleiła. Gdy objął ją swoimi silnymi ramionami, powiedziała, że zapewne będzie znudzona, poirytowana, zmęczona upałem i z pewnością będzie się z nim kłócić. Trudno! Ale bardzo, bardzo prosi, żeby nigdzie jej nie odsyłał, bo ani przez moment nie wyobraża sobie takiej rozłąki.

Nabab oświadczył na wstępie:

- Jeżeli goście nie raczą zaszczycić swoją obecnością domu gospodarza, wówczas ów dom przestaje być miejscem, gdzie mieszka szczęście.

Zapewne ta sentencja brzmiała lepiej w urdu, Olivia jednak zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Pochlebił jej swoimi słowami, a jednocześnie wprawił ją w zażenowanie.

- Postanowiłem więc przybyć osobiście. - Rozłożył szeroko ramiona, żeby dobitniej podkreślić swoją obecność.

Jak poprzednio zjawiał się ze świtą. Tym razem jednak nie chciał zostać: oświadczył, że teraz jego kolei, nie może korzystać z gościnności Olivii, dopóki ona nie pozwoli mu ugościć siebie. To skonsternowało ją jeszcze bardziej - w jaki sposób mogłaby bowiem wyjaśnić brak reakcji na jego zaproszenia? Na szczęście, jak przystało na człowieka, który w lot chwyta każdy niuans, postarał się, żeby nie musiała niczego tłumaczyć. Wyznał, że chciałby ją zaprosić na krótką przejażdżkę i - jeżeli miałyby ochotę - może na piknik w jakimś cieniastym zakątku? O, nie. W żadnym razie nie przyjmie odmowy. Wystarczy, że wyprawia się na pół godziny, no choćby na kwadrans - niech Olivia wykona wobec niego ten gest dobrej woli w ramach towarzyskiego zadośćuczynienia. Mówił to wszystko w taki sposób, jakby w grę wchodziły zawile przykazania indyjskiej etykiety - i niewykluczone, że tak było w istocie, skąd Olivia mogła to wiedzieć? Poza tym miała ogromną ochotę na proponowaną wyprawę!

Nabab przyjechał w dwa samochody. Wszyscy młodzi mężczyźni, których ze sobą zabrał, wsiedli do alfa romeo, natomiast sam książe, Olivia i Harry zajęli miejsca w rolls-royse. Harry usiadł z przodu, obok szofera.

Minęli dom Crawfordów i Saundersów, zostawili za sobą kościół oraz cmentarz. I wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni. Nabab siedział obok Olivii na perłowszarej, skórzanej kanapie, z nogą założoną na nogę, ramionami wyciągniętymi na oparciu. Nie odzywał się ani słowem, tylko palił jednego papierosa za drugim. Żar słońca zalewał świat. Drobinę piasku błyszczały niczym szkło, krajobraz przywodził na myśl bezkres pustyni. W pewnym momencie nabab pochylił się nad Olivią i zaciągnął roletę na szybie, jakby chciał jej oszczędzić widoku jałowej, spieczonej ziemi. Jego ziemi. Opuścili bowiem obszar Satipuru i wjechali w granice Khatm. Nikt nie poinformował Olivii, dokąd właściwie jadą, a nie bardzo wiedziała, jak o to zapytać i nie wyjść przy tym na głupią gęś. Milczenie nababa budziło w niej niepokój. Czy był znudzony? Miał zły humor? Ale czemu w takim razie nalegał, żeby mu towarzyszyła? Teraz, gdy już wyraziła na to zgodę, czuła się całkowicie zdana na jego łaskę i nastroje. Z powodu



upału sukienka kleiła jej się do nóg i Olivia podejrzewała, że gdy wysiądzie, cały tył spódnicy będzie okropnie wygnieciony, przez co ona sama straci na atrakcyjności.

W pewnym momencie samochód skręcił z drogi w wąską, wyboistą ścieżkę. Jazda stała się nieprzyjemna: rzucało nimi na wszystkie strony i Olivia kurczowo uchwyciła się skórzanego, wiszącego przy oknie paska, ponieważ inaczej mogłaby wpaść na nababa. Podobna ewentualność przerażała ją z wielu rozmaitych i skomplikowanych powodów. W końcu się okazało, że samochód nie zdoła pojechać dalej, musieli więc wysiąść i ruszyć na piechotę. Ścieżka stawała się coraz węższa i prowadziła ostro w górę. Nabab wciąż milczał, jedynie od czasu do czasu odginał którąś z gałęzi, żeby ułatwić Olivii przejście. Mimo to podrapały ją ciernie, pokąsały jakieś insekty, a słomkowy kapelusz zjechał na jedno ucho. Olivia była okrutnie zgrzana i bliska łez. Obejrzała się za siebie i zobaczyła Harry'ego, który również cierpiał z powodu upału i bardzo ciężko sapał. Reszta towarzystwa podążała za nimi z zachowaniem pełnego respektu dystansu. Na czele maszerował nabab w nieskazitelnie białych, płóciennych spodniach i biało-brązowych butach.

Odgarnął na bok splątane krzewy jeżyn i przepuścił Olivię przodem. Znaleźli się w cieni-  
stym gaju otaczającym niewielką kamienną kaplicę. Było tutaj zielono i chłodno; dobiegał nawet plusk wody. Olivia ujrzała także szpaler służących z pałacu, którzy przygotowali miejsce odpoczynku. Na ziemi leżały kobierce oraz poduchy i Olivia została zachęcona, żeby się na nich rozsiaść. Nabab i Harry do niej dołączyli, natomiast młodzieńcy mieli poszukać sobie rozrywki gdzie indziej. Służba rzuciła się do rozpakowywania piknikowych koszy i chłodzenia wina.

Nabab na powrót przeistoczył się w czarującego księcia. Przeprosił za trudy jazdy - „Czy to był dla pani straszny koszmar? Zapewne, zapewne. Och, ten nieludzki indyjski klimat! Proszę wybaczyć, że naraziłem panią na takie niewygody”.

- Tutaj jest przepięknie - zauważyła Olivia, zdjęta niewysłowioną ulgą. Nie tylko z tego powodu, że było jej już chłodniej i dużo wygodniej, ale przede wszystkim dlatego, że nabab znowu odnosił się do niej życzliwie.

- To wyjątkowe miejsce - stwierdził książę. - Zaraz pani o nim opowiem, najpierw jednak muszę się zająć naszym przyjacielem. Proszę tylko spojrzeć - wskazał ręką na Harry'ego, który rzucił się na kobierzec, rozpostarł ramiona i dyszał ciężko zmordowany. Nabab parsknął głośnym śmiechem. - Cóż za opłakany stan. Harry jest bardzo słaby fizycznie. Najprawdopodobniej dlatego, że ma tak sflaczałe ciało. Nie zachowuje się i nie wygląda, jak na dobrego Anglika

przystąpiło. O nie. To jedno mogę pani zdradzić: Harry jest bardzo niedobrym Anglikiem. - Roześmiał się, ubawiony własnym dowcipem, a jednocześnie troskliwie wsunął poduszkę pod głowę przyjaciela.

Harry, nie otwierając oczu, jęknął żałośnie:

- Umieram.

- A niby z jakiego powodu? Że znalazłeś się w tym przepięknym miejscu, świętym dla moich przodków? Czy może nasze towarzystwo uważasz za zabójcze? - Błysnął zębami w uśmiechu i zwrócił się w stronę Olivii. - A czy pani nie ma mi za złe, że ją tu przywiozłem? Bardzo żałuję, że nie możemy się cieszyć towarzystwem pana Riversa. Ale pan Rivers jest z pewnością szalenie zajęty. - Szybko przesunął językiem po wargach i zerknął na Olivię. - Pan Rivers to wzór prawdziwego Anglika - zdecydował.

- Wiem, że on ci się podoba - wtrącił Harry, wciąż rozciągnięty plackiem.

- Prześpij się. Nie rozmawiam teraz z tobą, tylko z moim wyjątkowym gościem... Pan Rivers z pewnością uczęszczał do jednej z renomowanych prywatnych szkół. Do Eton czy do Rugby? Mnie, niestety, nie było to dane. Ale jeżeli będę miał syna, wyślę go do angielskiej szkoły z internatem. A jakie jest pani zdanie w tej sprawie? Odnoszę wrażenie, że tam edukacja idzie w parze z wysoką dyscypliną. Naturalnie Harry nie znosił atmosfery panującej w prywatnej szkole... jak to ją określiłeś, przyjacielu?

- Barbarzyństwo.

- Cóż za nonsens. Tylko ktoś taki jak ty może głosić podobne herezje, ponieważ jesteś niedobrym Anglikiem. Ale zaraz spróbujemy cię doprowadzić do stanu zdecydowanie bardziej przystającego Anglikowi. Co pani o tym sądzi, pani Rivers? - Posłał jej kolejny uśmiech.

Zakrzyknął na młodzieńców, którzy przybiegli w mgnieniu oka i zachęceni przez nabab rzucili się na Harry'ego. Jeden zaczął masować mu nogi, drugi kark, a jeszcze inny łaskotał go w pięty. Wszyscy, łącznie z Harrym, sprawiali wrażenie zachwyconych zabawą. Nabab przyglądał się tej scenie z pobłażliwym uśmiechem, kiedy jednak zauważył, że Olivia czuje się nie-swojo, natychmiast zwrócił się w jej stronę i przeistoczył w urokliwego gospodarza z przyjęcia w pałacu - uważnego, kurtuazyjnego i opiekuńczego. Skoncentrował na Olivii całą uwagę, jakby poza nią nikt się tutaj nie liczył.

Poprosił, żeby obejrzała z nim kaplicę. Była to niewielka pobielona budowla zwieńczona pasiastą kopułą. W oknach zamiast szyb znajdowały się drewniane kratownice, na których wierni wiązali kawałki czerwonej nitki, wzmacniając w ten sposób modlitwy o spełnienie

prośb. Składali również girlandy kwiatów - teraz przywiedłych - na niewielkim pobielonym kurhanie z kamienia, tkwiącym samotnie pośrodku kapliczki. Nabab wyjaśnił, że została ona wybudowana przez jednego z jego przodków ku czci Baby Firdausa, który swego czasu mieszkał w tym zagajniku. Baba Firdaus był pobożnym człowiekiem, oddawał się modlitwom i wiódł pustelnicze życie. Wspomniany przodek nababa

- Amanullah Khan - był wojownikiem przemierzającym kraj z własną bandą desperatów, walczących z Mogołami, Afgańczykami, Konfederacją Mahratta i Kompanią Wschodnioindyjską. W trakcie długoletnich wojen przeżył wiele wzlotów i upadków. Pewnego razu schronił się w tym gaju; wszyscy jego ludzie zostali wybici w zbrojnej potyczce, a on sam, ciężko ranny, ledwo uszedł z życiem. Baba Firdaus opatrzył mu rany, ukrył go przed wrogami i otoczył troskliwą opieką. Wiele lat później, kiedy fortuna znowu się do niego uśmiechnęła, Amanullah Khan powrócił. Ale Baby już nie było w zagajniku i nikt nie wiedział, co się z nim stało - nikt nawet nie umiał powiedzieć, czy pustelnik zmarł czy przeniósł się do innego ustronia. W tej sytuacji Amanullah Khan mógł zrobić tylko jedno: wznieść małą kaplicę ku czci świątobliwego męża.

- Nigdy nie zapominał, kto był mu przyjacielem, a kto wrogiem - powiedział nabab o swoim przodku. - I zawsze wyrównywał rachunki, zarówno za doznane dobro, jak i zło. Odznaczał się honorem i odwagą. Zyskał sympatię Brytyjczyków. Bo wy lubicie ludzi takiego pokroju, prawda? - Spojrzał pytająco na Olivie.

Zaśmiała się; nigdy wcześniej nikt jej nie nominował na rzeczniczkę wszystkich Brytyjczyków. Nabab również się uśmiechnął.

- Tak. Wy lubicie mężnych wojowników, a w szczególności wojowników na koniu. Tak naprawdę największą sympatię żywicie właśnie do owych koni. Ale inni już nie budzą w was podobnej sympatii?

- Jacy inni? - spytała Olivia ze śmiechem.

- Na przykład... - nabab także się roześmiał - ...ktoś taki jak ja. - Uśmiech zgasł mu na ustach, spojrzenie nabrało powagi. - Ale pani różni się od większości swoich rodaków, prawda? I nie lubi koni, mam rację? Tak? Bardzo się cieszę. Chodźmy, chciałbym pani coś pokazać.

Wyprowadził ją z kapliczki i wskazał na szczelinę w głazie, z której wartko tryskał strumień. To jego szmer, do spółki ze świergotem ptaków, niósł się po zagajniku. Nabab przykucnął, zamoczył palce w wodzie i zachęcił Olivie, by poszła w jego ślady.

- Czuje pani jej chłód? Zawsze jest taka lodowata, nawet w największe upały. Ludzie uważają, że to cud - bo jak inaczej wytłumaczyć istnienie tego zielonego gaju i zimnego strumienia pośrodku jałowej pustyni? Niektórzy twierdzą, że to zasługa Baby Firdausa i jego świątobliwego życia. Inni - że Amanullaha Khana, ponieważ spłacił dług wdzięczności. Wierzy pani w takie wyjaśnienia? I czuje działanie cudu w tym miejscu?

Przykucnęli obok siebie. Nabab wbił uważne spojrzenie w Olivię, a wówczas szybko spuściła wzrok na swoje dłonie, również zanurzone w wodzie. Strumień płynął wartko, ale był tak płytki, że ledwo się prześlizgiwał przez jej palce.

- Może jakiegoś drobnego cudziku - odparła.

Książę uderzył się po kolanie i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Pani Rivers, cóż za fenomenalne poczucie humoru! - Wstał i wyciągnął ramię ku Olivii, ale ona poradziła sobie bez jego pomocy. - Wie pani - podjął, na powrót przybierając poważny ton - gdy tylko panią ujrzałem, od razu spostrzegłem, że jest pani szczególną kobietą. I że... co zupełnie niezwykle... że mogę zwierzyć się pani ze wszystkiego i pani mnie zrozumie. Bardzo rzadko się zdarza, bym miał takie odczucia względem innej osoby. A wobec pani są one wyjątkowo silne. I chcę, żeby wiedziała pani coś jeszcze: nie należę do ludzi, którzy wierzą w cuda. Wierzę w naukę i logikę rozumowania. Ale sądzę, że istnieje kategoria zdarzeń, które można by określić mianem cudu. Czy pani się ze mną zgadza? Czy to mogło być takie zdarzenie? Bo widzi pani, ja od początku wiedziałem... Wiedziałem, że jest pani o wiele bardziej podobna do mnie niż na przykład... na przykład... do pani Crawford. - Oboje wybuchnęli śmiechem, a nabab znowu zajrzał Olivii głęboko w oczy. - Nie, pani doprawdy w niczym nie przypomina żony superintendenta.

Szybko jednak zauważył, że intensywność jego spojrzenia peszy Olivię, więc spuścił powieki i delikatnie dotknął jej łokcia, kierując ją w stronę reszty towarzystwa.

Teraz był już w isticie szampańskim nastroju i zabawa rozpoczęła się na całego. Służba zdążyła do końca rozpakować kosze i święte miejsce zapełniło się pieczonymi kurczętami, przepiórkami i smażonymi krewetkami. Młodzieńcy z pałacu nabrali jeszcze większej werwy; płatali sobie nawzajem rozmaite psikusy, śpiewali pieśni i deklamowali poematy w urdu. Jeden z nich miał ze sobą instrument przypominający lutnię i zaczął wydobywać z niego nostalgiczne, słodko-gorzkie tony. Lutnia posłużyła również do zabawy w krzesła, w której funkcję krzesel pełniły naturalnie duże poduchy ułożone rzędem. Ostatecznie - albo za sprawą przypadku, albo wcześniej obmyślanego planu, Olivia nie umiałaby zdecydować - na placu boju pozostali we

dwójkę z nababem. Bardzo, bardzo powoli okrążali ostatnią poduchę, czujnie śledząc nawzajem swoje ruchy, próbując odgadnąć, jakie będzie posunięcie oponenta. Wszyscy utkwili w nich wzrok, dźwięki lutni niosły się wśród drzew. Przez chwilę Olivia podejrzewała, że ze względów kurtuazyjnych książę pozwoli jej wygrać; ale to on pierwszy usłyszał, że muzyka się urwała i błyskawicznie zajął poduchę. Wygrał! Zwyciężył! Roześmiał się głośno i wyrzucił w górę ręce w geście triumfu. Był autentycznie z siebie dumny.

\*

*8 marca.*

To właśnie tamten dzień pobudził Olivię do rozwinięcia korespondencji z Marcją. Wcześniej również pisywała listy do siostry, ale były one nieregularne i zdawkowe. Dopiero od czasu pikniku z nababem zaczęła wysyłać szczegółowe relacje, jakby nagle odczuła silną potrzebę zwierzeń.

Olivia nigdy nie opowiedziała mężowi o tej wyprawie. Zamierzała to zrobić tuż po jego powrocie do domu, ale akurat tego dnia ktoś został zasztyletowany na bazarze i Douglas przyszedł później niż zwykle. Podobne wydarzenia nie należały do częstych, dlatego Olivia zasypała go mnóstwem pytań. On z kolei uwielbiał mówić o swojej pracy (a żona rzadko okazywała równie duże zainteresowanie jego zajęciami), i czas zleciał tak szybko, że już nie zdążyła mu opowiedzieć o swoim niezwykłym dniu. Nazajutrz rano, kiedy wychodził z domu, Olivia jeszcze spała. Więc w końcu zamiast mężowi, opisała wszystko siostrze w pierwszym ze swoich długich listów. Często się zastanawiam, jak Marcia odbierała te relacje. Wówczas mieszkała w Paryżu - swego czasu poślubiła Francuza, ale szybko doszło do separacji i Marcia była zdana tylko na własne siły. Mieszkała w różnych hotelowych pokojach i zadawała się z dość problematycznymi ludźmi. Życie, jakie Olivia wiodła w Indiach, musiało jej się wydawać dziwne i dalekie.

Porozkładałam listy Olivii na biurczku i każdego rana spędzam nad nimi kilka godzin. Mój dzień nabrał już stałego rytmu. Wstaję bardzo wcześnie, bo też cały Satipur bardzo wcześnie budzi się do życia. Pierwsze odzywają się świątynne dzwony - wsłuchuję się w ich dźwięk jeszcze leżąc na posłaniu - a potem z kramiku z herbatą znajdującego się naprzeciwko dobiega mnie odgłos krzesania ognia i brzęk czajnika. O tej porze powietrze jest świeże, a niebo blade i pastelowe. Świat jednoczy się w harmonii z bijącymi dzwonami. Idę na bazar po twaróg i zielinę, przyrządzam śniadanie, a potem siadam po turecku na podłodze i oddaję się pracy.



Pod wieczór często chodzę na pocztę mieszczącą się w dawnym pokoju śniadaniowym Olivii. Jeżeli akurat zbliża się pora zamykania urzędów, zatrzymuję się przed domem Crawfordów i czekam na Indera Lala. Oba bungalowy - Olivii i Crawfordów - swego czasu tak różniące się wystrojem, są teraz zapchane takimi samymi obskurnymi meblami biurowymi i mają plamy od betelu na ścianach. Ogrody także wyglądają identycznie - to znaczy, nie są już ogrodami, ale skrawkami niezabudowanej przestrzeni z zaledwie kilkoma drzewami, w których cieniu gromadzą się urzędnicy. Wokół urzędników natomiast krążą handlarze, którym udało się uzyskać licencję na obnośną sprzedaż orzeszków ziemnych i ciecierzycy. Znajdują się tam również rzędy stojaków na rowery, wszystkie szczelnie wypełnione.

Z początku Inder Lal był zażenowany tym, że na niego czekam. A może raczej wstydził się ze mną pokazywać. Niewątpliwie stanowimy osobliwą parę - jestem od niego dużo wyższa i stawiam długie kroki, zapominając, że wówczas trudno mu za mną nadążyć. Ale wydaje mi się, że teraz już do mnie przywykł i nawet czuje się dość dumny, że koledzy go widują z zaprzyjaźnioną Angielką. Odnoszę także wrażenie, że szczerze polubił moje towarzystwo. Z początku przede wszystkim zależało mu na ćwiczeniu angielskiego - wyznał, że dzięki naszej znajomości ma ku temu wspaniałą okazję - teraz jednak chyba głównie cieszy go możliwość wymiany myśli i poglądów. Ja w każdym razie czerpię z tego dużą przyjemność. Inder Lal jest wobec mnie bardzo szczery i opowiada o wielu swoich osobistych problemach - nie tylko dotyczących bieżących spraw, ale również uczuć. Wyznał, że poza mną jedyną osobą, z którą rozmawia tak otwarcie, jest matka, lecz... cóż, z matką nie sposób poruszać pewnych tematów, a z przyjaciółką to jak najbardziej możliwe.

Pewnego razu spytałam o jego żonę.

Stwierdził, że jest nieinteligentna. I nie ma żadnego wykształcenia. Matka nie chciała, żeby ożenił się z uczoną dziewczyną, bo według niej z takiego związku wyniknęłyby tylko same kłopoty. Za Ritu przemawiało pochodzenie z odpowiedniej rodziny i jasna karnacja. Matka uznała, że jest ładna, ale Inder Lal nie miał w tej kwestii wyrobionego zdania. Czasami mu się podobała, a czasami wcale. Zapytał o moją opinię. Powiedziałam, że ma ładną żonę. W duchu dodałam, że w każdym razie była ładna, kiedy się z nią żenił, teraz natomiast jest chuda i wyniszczona, a do tego - podobnie jak Inder Lal - ma wiecznie zatroskaną twarz.

Podobno przez pierwszy rok małżeństwa tak strasznie tęskniła za rodzinnym domem, że prawie bez przerwy płakała.

- To bardzo zaszkodziło jej zdrowiu - opowiadał Inder. - Szczególnie gdy chodziła brzemenna. Razem z matką próbowaliśmy jej wytłumaczyć, że to konieczne, aby dużo jadła i była szczęśliwa, ale ona tego nie pojmowała. Naturalnie, jej zdrowie wciąż się pogarszało i dziecko urodziło się słabowite. Z jej winy. Inteligentna kobieta zrozumiałaby sytuację i odpowiednio o siebie zadbała.

Zmarszczył czoło i wyglądał na bardzo przybitego. Do tej pory zdążyliśmy już dojść do jeziora. (Gdyby Olivia zapuściła się w te okolice, byłby to punkt graniczny jej wyprawy, ponieważ za jeziorem zaczynała się hinduska dzielnica z wąskimi, zatłoczonymi uliczkami i bazarom, przy którym teraz mieszkam).

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Indera Lala.

- Czy mógłbym z nią rozmawiać tak, jak teraz rozmawiam z tobą? W żadnym razie. Nic by nie zrozumiała. - Po chwili dorzucił: - Poza tym wciąż szwankuje na zdrowiu.

W jeziorze kąpało się kilku chłopców. Widać było, że dobrze się bawią. W górę wystrzeliwały pióropusze wody, gdy podskakiwali i ochlapywali się nawzajem. Inder Lal spoglądał na nich nostalgicznie. Pewnie chciałby być teraz na ich miejscu; a może przypomniał sobie o letnich wieczorach, kiedy sam pływał w tym jeziorze z przyjaciółmi.

To nie mogło być dawno temu - Inder jest trochę młodszy ode mnie, ma góra dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Jeśli mu się uważniej przyjrzeć, widać, że ma twarz młodego człowieka, postarza go natomiast wiecznie znękana mina. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, uznałam, że wygląda na typowego hinduskiego urzędnika - potulnego, przytłoczonego różnymi troskami. Teraz spostrzegłam, że wcale nie jest potulny ani przytłoczony - a jeżeli tak, to tylko zewnątrz; w głębi duszy żarliwie pożąda wielu rzeczy, znajdujących się poza jego zasięgiem.

Widać to głównie w jego oczach - wyjątkowo pięknych, pełnych melancholii i tęsknoty.

*10 marca.*

Pilnie się przykładam do nauki hindi i widzę już pierwsze obiecujące rezultaty - mogę się porozumieć. Chętnie porozmawiałabym z Ritu, żoną Indera Lala, ale jest tak nieśmiała, że nawet moje językowe postępy nie są w stanie przełamać bariery. Sama należę do dość nieśmiałych osób, przy Ritu jednak staram się zapanować nad tą słabością. Ponieważ jestem od niej starsza i (przynajmniej tak sędzę) silniejsza, uważam nawiązanie z nią bliższego kontaktu za swój obowiązek. Ritu ma w sobie jakąś niezwykłą kruchość. Jest bardzo chuda i ma patykowa-

te ramiona z których zsuwają się bransolety; lecz nie aspekt fizyczny jest tutaj najważniejszy - odnoszę wrażenie, że brakuje jej siły mentalnej, a może powinnam raczej powiedzieć siły woli. Ritu należy do osób, które łatwo złamać psychicznie. Niekiedy próbuje przewyciężyć nieśmiałość i przychodzi do mojego pokoju. Wówczas dramatycznie kalecząc wymowę, wyrzucam z siebie mnóstwo słów tylko po to, żeby ją zatrzymać, ale i tak szybko się podrywa i ucieka. To samo się dzieje, kiedy ja wybieram się do niej z wizytą; kiedyś - widząc, że nadchodzę - ukryła się w toalecie i chociaż nie jest to przyjemne miejsce (nasza mała sprzątaczką nie przykłada się do pracy), nie wytknęła stamtąd nosa, dopóki sobie nie poszłam.

Noce - a także dni - są coraz bardziej upalne. Sypianie w zamkniętych pomieszczeniach stało się nie do zniesienia, więc wszyscy wystawiają łóżka na zewnątrz. Miasto zamieniło się w jedną wielką komunalną sypialnię. Prycze stoją przed kramami, na dachach i na podwórzach - wszędzie, gdzie można znaleźć skrawek wolnej przestrzeni. Przez dłuższy czas nocowałam w swoim pokoju, ponieważ wstydziłam się spać wystawiona na widok publiczny. Ale żar stał się w końcu tak niemiłosierny, że również wytaszczyłam łóżko na podwórze i ustawiłam po stronie zajmowanej przez rodzinę Indera Lala. Na podwórzu sypia poza nami cała rodzina właściciela sklepu, jego mały służący i jeszcze kilka innych osób, których nie potrafię zidentyfikować. Jest więc całkiem tłoczno. Nie przebieram się już do snu w koszulę nocną, tylko śpię na indyjską modłę - w sari.

To niesamowite, jaki bezruch i cisza panują tutaj w gorącą noc. Hindusi śpią niczym zabici. Ani dorośli, ani dzieci nie kładą się o określonej porze; kiedy są zmęczeni po prostu padają w ubraniu na łóżko - lub na ziemię, jeżeli nie mają łóżka - i ani drgną aż do następnego rana. Niekiedy tylko ktoś krzyknie we śnie lub jakiś pies, a może szakal, zawyje do księżyca. Ja natomiast godzinami nie jestem w stanie zmrużyć oka z powodu przepełniającego mnie szczęścia. Nigdy wcześniej nie doświadczałam takiego poczucia jedności ze światem. Gdy leżę pod gołym niebem, ogarnia mnie wrażenie całkowitego zanurzenia w przestrzeni - ta przestrzeń nie ma jednak nic wspólnego z pustką, bo wokół mnie śpi mnóstwo ludzi, całe miasto, a ja jestem jego częścią. To kolosalna odmiana po moim samotniczym pokoju w Londynie, gdzie mogłam najwyżej pogapić się na ściany lub poczytać jakąś książkę.

Kilka dni temu dobiegł mnie w nocy niesamowity dźwięk. Przez dłuższą chwilę nie reagowałam, tylko się w wsłuchiwałam w owo wysokie zawodzenie, ostro przeszywające nocną ciszę. Pomyślałam od razu, że to niemożliwe, aby podobny odgłos wydawała z siebie ludzka istota. Okazało się jednak, że nie miałam racji. Kiedy się poderwałam, zobaczyłam matkę Inde-

ra Lala nachyloną nad łóżkiem Ritu, zatykającą dziewczynie usta dłonią. Ritu próbowała się wyrwać, ale teściowa była silniejsza. Nikt inny jeszcze się nie obudził i starsza pani za wszelką cenę nie chciała do tego dopuścić. Pomogłam jej wprowadzić Ritu do mieszkania, a kiedy zapaliłam światło, zobaczyłam wytrzeszczone ze strachu oczy dziewczyny ponad dłonią teściowej. Kiedy Ritu w końcu ucichła, teściowa wypuściła ją z objęć i dziewczyna osunęła się na ziemię, skuliła i wcisnęła twarz w kolana. Tkwiła w tej pozycji całkiem nieruchomo - tylko od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał spazm. Ze swoją chudością przypominała teraz małego, przerażonego ptaka. Tymczasem teściowa chwyciła duży słój, nabrała pełną garść ryżu i rozsyłała nad głową dziewczyny. Ziarna odbijały się od włosów Ritu, parę jednak w nich utkwilo. Teściowa, zaciskając i prostując dłoń, zataczała nią kręgi nad pochyloną głową, strzelała kciukami i odmawiała jakąś mantrę. Ritu dość szybko podniosła się z podłogi. Była wyczerpana i miała ślady łez na twarzy, ale poza tym wyglądała całkiem normalnie. We trójkę ponownie wyszliśmy na podwórze i w milczeniu położyliśmy się na łóżkach, a sąsiedzi w pobliżu przez ten cały czas nawet nie drgnęli. Nazajutrz ani matka Indera, ani Ritu słowem nie wspomniały o wydarzeniach minionej nocy. Można by pomyśleć, że w ogóle nic nie zaszło, gdyby nie kilka ziarenek ryżu, wciąż tkwiących we włosach dziewczyny.

*20 marca.*

Za sprawą nocnego incydentu matka Indera Lala i ja zbliżyliśmy się do siebie. Zostałyśmy nawet przyjaciółkami. Teraz starsza kobieta często towarzyszy mi w zakupach na bazarze i terroryzuje sprzedawców, jeżeli nie dostanę najlepszych, najświeższych warzyw. Pilnuje także, aby nikt nie żądał ode mnie zawyżonej ceny. Z każdym dniem lepiej rozumiem, co do mnie mówi, i vice versa, chociaż moja wymowa nadal ją rozśmiesza. Na szczęście jest bardzo gadliwa, a ja słucham jej z prawdziwą przyjemnością, szczególnie kiedy opowiada o sobie. Odnoszę wrażenie, że chociaż jest wdową, to właśnie teraz przeżywa najlepszy okres. Najwyraźniej nie ma dobrego zdania o życiu małżeńskim. Powiedziała mi kiedyś, że pierwsze lata są zawsze bardzo trudne, ponieważ okrutnie się tęskni za ojcowskim domem. Niełatwo też przywyknąć do nowej rodziny i niepodzielnych rządów teściowej. Matka Indera Lala rzadko wspomina swojego męża, uznałam więc, że nie był szczególnie godny uwagi. Jest za to niezwykle zżyta z synem; to ona, a nie Ritu, obsługuje go na co dzień - podaje posiłki, szykuje ubranie. Jest bardzo dumna, że został urzędnikiem państwowym i pracuje w biurze, a nie w obskurnym sklepiku jak jego zmarły ojciec (sprzedawał artykuły spożywcze). To wielki awans dla Indera Lala, a przez

to i dla niej. Dlatego chodzi po mieście z wysoko uniesioną głową. Ma mniej więcej pięćdziesiąt lat, jest silna, zdrowa i pełna życia. W odróżnieniu od Ritu nie spędza całych dni w domu, tylko spotyka się z przyjaciółkami, w większości jak i ona pełnymi wigoru wdowami. Kręcą się po mieście i zupełnie się nie przejmują, jeżeli sari zsunie im się z głów, a nawet z piersi. Plotkują, żartują i chichoczą niczym nastolatki. Bardzo się różnią od swoich synowych, które niekiedy drepczą za nimi starannie okutane i milczące, z oczami wbitymi w ziemię, jak na więźniów pod strażą przystało.

Od kiedy zawarłyśmy bliższą znajomość, matka Indera Lala często mnie zaprasza na wspólne eskapady. Zostałam przedstawiona wszystkim jej przyjaciółkom, łącznie z nieformalną przywódczynią tego grona - wdową, na którą wołają „Maji” - chociaż wcale nie jest od nich dużo starsza. Dysponuje ponoć jakimiś nadzwyczajnymi mocami i chociaż nie wiem, co to dokładnie znaczy, odnoszę wrażenie, że rzeczywiście emanuje wyjątkową energią, choć może po prostu ma w sobie więcej witalności od innych ludzi. Wiedzie skromne życie w małej lepiance wzniesionej pod dużym drzewem. To szczególnie piękne miejsce, położone pomiędzy jeziorem, w którym kąpią się chłopcy, a wiekowymi królewskimi grobowcami. Kiedy pierwszy raz zostałam zaproszona do Maji, wszystkie wtoczyłyśmy się do lepianki i usiadłyśmy na glinianym klepisku. Dobrze się czułam w towarzystwie tych wdów, były takie radosne i przyjazne, i chociaż z powodu ograniczeń językowych nie mogłam czynnie uczestniczyć w rozmowie, często przytakiwałam i dużo się uśmiechałam. W pewnym momencie zaczęły śpiewać hymny pod przewodnictwem Maji, która wyżywała się w śpiewie i entuzjastycznie kołysała na boki. Spróbowałam się do nich przyłączyć, co sprawiło im widoczną przyjemność.

Po wizycie u Maji matka Indera Lala uznała, że powinnam zobaczyć kapliczki upamiętniające sati. Przeszłyśmy przez cały bazar na koniec miasta, dotarłyśmy do bramy w murach, wychodzącej na piaszczystą drogę, którą podążałyśmy aż do miejsca, gdzie się stykała z jakimś wodnym rezerwuarem, być może zbiornikiem retencyjnym. Tam, w cieniu drzew, stały małe kapliczki, niewiele większe od kamieni milowych, tyle że niektóre były przykryte kopułkami. Wyryto na nich cienką jak włos linią szkicowe postaci: najprawdopodobniej przedstawiające męża wraz z wierną żoną, która po śmierci małżonka spłonęła razem z jego ciałem na pogrzebowym stosie. Poczulałam się dość upiornie, matka Indera Lala natomiast pobożnie złączyła dłonie i pokłoniła się przed kapliczkami. Udekorowała nawet jedną z nich przyniesioną girlandą z róż i margerytek. Wyjawiała, że w określone dni roku wraz z przyjaciółkami przynosi tu słodycze, mleko i kwiaty, by oddać hołd tym niezwykłym kobietom, które się zdecydowały na naj-



wyższą ofiarę. Mówiła o nich z wielkim szacunkiem w głosie i najwyraźniej wysoko ceniła ów starodawny zwyczaj. Wydawała się wręcz żałować - ta wesoła wdówka! - że nikt go już nie kultywuje (został zakazany prawem w 1829 roku). Pokazała mi kapliczkę ku czci ostatniej sati, o której przypadkiem wiedziałam całkiem sporo, ponieważ ta kobieta spłonęła za czasów Olivii. I choć kapliczka pochodzi zaledwie z 1923 roku, wygląda na równie wiekową, co pozostałe.

1923

Do tragicznego zajścia doszło akurat wtedy, gdy pan Crawford musiał wyjechać służbowo z Satipuru i władzę w dystrykcie przejął Douglas. Zmarł kupiec zbożowy i rodzina przymusiła wdowę do wejścia na pogrzebowy stos męża. Gdy tylko do Douglasa doszła ta wiadomość, niezwłocznie pospieszył na miejsce zdarzenia, lecz było już za późno i nie zdołał uratować kobiety. Pozostało mu jedynie aresztować głównych sprawców nieszczęścia: synów wdowy, jej szwagrów oraz kapłana. Wszyscy wokół chwalili Douglasa za stanowczość, spokój i sprawność, jakimi się wykazał w zaistniałej sytuacji. Nawet nabab pospieszył z gratulacjami - chociaż akurat jego wyrazy uznania Douglas przyjął dosyć chłodno. Nabab jednak nic nie zauważył, albo nie chciał zauważyć - tak czy inaczej nie dał niczego po sobie poznać.

Olivia do tej pory nie powiedziała Douglasowi o pikniku; nie wspomniała też ani słowem, że od owego dnia nabab zaczął jej składać regularne wizyty - przyjeżdżał teraz co drugi, góra co trzeci dzień, zazwyczaj z całą swoją świtą. Nie żeby nie chciała poinformować o tym męża - oczywiście że chciała! - ale zawsze pracował do późna i był tak zaprzątnięty sprawami urzędowymi, że po prostu nie miała okazji opowiedzieć mu o wszystkim. Jednakże pewnego razu nabab przeciągnął swoją wizytę aż do powrotu Douglasa. Musiał to sobie wcześniej zaplanować, ponieważ tego dnia zjawił się sam, bez młodych towarzyszy. Olivia trochę się denerwowała na myśl o spotkaniu obu mężczyzn, okazało się jednak, że niepotrzebnie, ponieważ nabab perfekcyjnie rozegrał sytuację. Poderwał się na widok Douglasa i wyciągnął dłoń w serdecznym, czysto europejskim geście. Można było wręcz odnieść wrażenie, że to on jest gospodarzem, który poczuwa się do obowiązku okazania gościowi, jak bardzo mile jest widziany w jego domu. Na wstępie wyjaśnił, że przyjechał tylko po to, aby pogratulować Douglasowi szybkiej i sprawnej akcji. Douglas chłodnym, pełnym zniechęcenia głosem wyraził ubolewanie, że nie był szybszy i nie dotarł na miejsce przed podpaleniem stosu. W odpowiedzi nabab współczująco wzruszył ramionami.

- Cóż robić, panie Rivers. Ci ludzie nigdy niczego się nie nauczą. Choćbyśmy wprowadzili najsurowsze restrykcje, będą się kurczowo trzymać swoich barbarzyńskich obyczajów. Ale, ale! Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wszyscy pana wychwalają! Pański sposób postępowania w owej godnej ubolewania sprawie spotkał się z jednomyślnym uznaniem.

- Obawiam się, że został pan źle poinformowany - odparł Douglas.

- W mieście słychać pomruki niezadowolenia. Ponoć moi więźniowie - krewni nieszczęsnej kobiety - uchodzą w niektórych kwartałach za męczenników. Dzisiaj doszło nawet do drobnych zamieszek pod więzieniem. - Posłał Olivii szybkie, czujne spojrzenie. - Nie ma powodu do obaw. Nic takiego, z czym byśmy sobie nie poradzili.

- Oczywiście, że nie ma żadnych powodów do obaw, pani Rivers! - pospieszył z zapewnieniami nabab. - Gdzie pan Rivers, tam również twarda dyscyplina i silna ręka. I chwała mu za to. Bo tych ludzi nie sposób inaczej utrzymać w ryzach. Wszyscy muszą być panu wdzięczni, panie Rivers, za tak kategoryczne posunięcia. - Posłał mu spojrzenie zdające się mówić: „My, prawdziwi mężczyźni, rozumiemy się nawzajem”, jednak Douglas nie odwzajemnił się tym samym.

Tuż po powrocie z podróży służbowej pan Crawford wydał kolację, podczas której sati znowu stanowiło główny temat rozmowy. Douglas usłyszał kolejne pochwały. Był zażenowany - nerwowo bawił się cienkim tostem - ale jednocześnie dumny, ponieważ bardzo szanował swoich zwierzchników i przykładał dużą wagę do ich opinii. Poza Crawfordami oraz Douglasem i Olivią przy stole zasiedli także Minniesowie i doktor Saunders (pani Saunders pozostała w domu zdjeta niemocą). Innymi słowy, ten sam zestaw gości co zwykle; ale ostatecznie poza nimi w dystrykcie nie pracowali żaden inni brytyjscy urzędnicy. Jedzenie również podano takie samo: mdłe, papkowe i wodniste danie, jakie Crawfordowie mogliby z powodzeniem jadać w Anglii, tyle że ich hinduski kucharz zdołał je wznieść na jeszcze większe wyżyny wodnistości. Za to potrawy były serwowane w iście pańskim stylu przez służących w turbanach i jedwabnych szarfach. Równie wspaniale przedstawiała się zastawa. Pani Crawford odziedziczyła srebra i porcelanę po babce, która kupiła je w Kalkucie na licytacji po bankructwie pewnego angielskiego kupca i bankiera.

Gdy już omówiono ostatni incydent, biesiadnicy powrócili pamięcią do przypadków sati z przeszłości. Przytaczali własne doświadczenia, a także opowieści wielu pokoleń przodków, które może i były interesujące, lecz wyłącznie dla ludzi dzielących te same przeżycia i wspomnienia. Oprócz Olivii jedynie doktor Saunders nie należał do tej kasty. Toteż pilnie koncen-

trował się na jedzeniu i tylko od czasu do czasu wydawał okrzyki oburzenia. Pozostali snuli opowieści beznamiętnym tonem, wstrzymując się od jakichkolwiek moralnych osądów, chociaż wydarzenia, które relacjonowali, budziły grozę. I nie tylko zachowywali do nich chłodny dystans; na ich twarzach pojawiał się też uśmiezek pobłażliwej tolerancji, który Olivia zdążyła już dobrze poznać: był to uśmiech rodziców kochających swoje niesforne dziecko - Indie - bez względu na jego fanaberie.

- Zważcie państwo - odezwał się major Minnies - że niektóre wdowy autentycznie chciały spłonąć z ciałami swoich mężów.

- Ani przez moment w to nie uwierzę! - zagrmiał doktor Saunders.

- Twoja chyba nie należała do wolontariuszek. - Pan Crawford mrugnął w stronę Douglasa.

- Nie należała - przyznał sucho Douglas.

Siedząca naprzeciwko Olivia spojrzała znacząco na męża i z rozmysłem rzuciła mu wyzwanie:

- Skąd wiesz?

Douglas niewiele opowiadał Olivii o sati, ponieważ chciał jej zaoszczędzić szczegółów (a te były rzeczywiście przerażające - wrzask płonącej kobiety miał mu dźwięczeć w uszach już do końca życia). Problem w tym, że Olivia nie życzyła sobie, żeby jej czegokolwiek oszczędzono.

- To nakaz ich religii, prawda? Wydawało mi się, że w tę sferę nie powinniśmy ingerować. - Teraz już spuściła głowę i wbiła wzrok w stojący przed nią talerz z zupą windsorską. Bała się spojrzeć mężowi w oczy, mimo to uparcie drażyła temat: - Pomijając już kwestie czysto religijne, sati należy do ich dziedzictwa kulturowego. A kim my jesteśmy, by podważać czyjąkolwiek kulturę, w szczególności równie starożytną, jak kultura Indii?

- Kulturę?! - zirytował się doktor Saunders. - Jakbym słyszał tego łobuza Horshama!

Olivia nie miała pojęcia, że jej słowa pokrywały się niemal jota w jotę ze słowami angielskiego członka parlamentu, który odwiedził ich dystrykt minionego roku i wszystkich rozpałił do białości.

Ale tylko doktor Saunders i Douglas byli rozeźleni na Olivię. Pozostali goście podjęli rzeczową dyskusję, jakby potraktowali jej wypowiedź całkiem poważnie. Mówili o świętości praktyk religijnych, zgadzali się nawet, że niektóre wdowy dobrowolnie płonęły na stosie, za-

kończyli jednak konkluzją, że w ostatecznym rozrachunku sati było samobójstwem, i to popełnianym w wyjątkowo nieludzki sposób.

- Tak, wiem - przyznała Olivia żałośnie.

W żadnym razie nie zamierzała rekomendować palenia wdów. Problem w tym, że siedzący wokół stołu ludzie - choć uśmiechnięci i pobłażliwie tolerancyjni - byli jednocześnie tak niezdolnie przekonani o słuszności własnych racji. I właśnie ta ich pewność siebie prowokowała do sprzeciwu.

- Gdy jednak rozpatrzymy sprawę z czysto teoretycznego punktu widzenia, musimy przyznać, że założenia tej praktyki są bardzo szlachetne - stwierdziła. Nie śmiała spojrzeć na Douglasa, ale i tak wiedziała, że siedzi teraz sztywno wyprostowany, z zamkniętymi oczami, i mocno zaciska wąskie wargi. Mimo to desperacko brnęła dalej: - To znaczy, jest coś szlachetnego w pragnieniu odejścia wraz z osobą, którą kocha się najbardziej na świecie. W tym, że nie chce się bez niej żyć.

- To barbarzyństwo - zawyrokował doktor Saunders. - Jak wszystko w tym kraju. Najzwyklejsze barbarzyństwo połączone z niesłychanym okrucieństwem. W szpitalu widziałem straszne rzeczy, których teraz naturalnie nie opiszę ze względu na obecność pań. Dość powiedzieć, że chodziło o makabryczne okaleczenia dokonane w imię religii. Jeżeli coś podobnego ma być religią, to niech mnie piorun! - wykrzyknął tak ostro, że majordomus o barwionej henną brodzie aż zadrżał od stóp do głów. - Z dumą zacznę się nazywać ateistą!

W tym momencie Minnies - prawdopodobnie kierowany galanterią wobec kobiet - stanął w obronie Olivii i przytoczył anegdotę częściowo potwierdzającą jej opinie. To, co opowiedział, nie przytrafiło się jemu osobiście, ale niejakiemu pułkownikowi Sleemanowi, który przed stu laty sprawował władzę w Jabalporze. Wspomniany Sleeman próbował odwieść pewną wdowę od spłonięcia na stosie wraz ze zwłokami męża, lecz ostatecznie determinacja owej kobiety zmusiła pułkownika do kapitulacji.

- To rzeczywiście było dobrowolne sati. - Major zwrócił się ku Olivii. - Synowie i pozostali członkowie rodziny wspierali Sleemana w wysiłkach powstrzymania wdowy od całopalenia, ale na niewiele się to zdało. Kobieta była nieugięta. Przez cztery dni siedziała na głazie pośrodku rzeki, oznajmiwszy uprzednio, że jeżeli nie pozwolą jej wejść na pogrzebowy stos, to się zagłodzi na śmierć. Tak czy inaczej nie zostanie na tej ziemi, gdy zabrakło męża. W końcu Sleeman musiał się poddać - owszem przegrał batalię, ale powiem państwu jedno: zawsze wyrażał się o tej starej kobiecie z najwyższym szacunkiem. Ona nie była fanatyczką, nie próbowa-

ła nawet dramatyzować, po prostu siedziała w milczeniu na zimnym gładzie i czekała na śmierć, ponieważ chciała odejść ze świata razem z mężem. Bez wątpienia jest w tym coś szlachetnego - stwierdził major, i tym razem w jego głosie nie było ani cienia tej szczególnej, podszytej wyższością pobłażliwości.

- Obawiam się, że jak dla mnie to aż nadto szlachetne - wtrąciła Beth Crawford, która jako gospodyni zapewne uznała, że najwyższy czas na zmianę tonu rozmowy. - Chociaż mam dla ciebie wiele ciepłych uczuć, mój drogi - spojrzała znacząco na męża - nie sądzę, bym była gotowa...

- O! A ja bym była! - wykrzyknęła Olivia tak spontanicznie i emocjonalnie, że wszyscy zamilkli i skierowali na nią wzrok. Douglas także spojrzał na żonę, i tym razem odważyła się odwzajemnić spojrzenie, chociaż wiedziała, że wciąż jest na nią zły. - Wręcz bym sobie tego życzyła. To znaczy, nie chciałabym już dłużej żyć bez ukochanego mężczyzny. Z wdzięcznością poddałabym się takiemu zwyczajowi.

Ich oczy spotkały się ponad stołem. Olivia zobaczyła, jak gniew na twarzy męża ustępuje miejsca czułości. I ją także ogarnęła czułość w stosunku do Douglasa. To uczucie było tak przemożne i wszechogarniające, że musiała spuścić powieki. Znów wbiła wzrok w talerz i zaczęła potulnie kroić twardy kawałek kurczaka pływający w jakimś zaprawionym mąką sosie, który zastąpił twardą, smażoną rybę podaną na pierwsze danie. Pomyślała, że wszystko zdoła znieść tak długo, jak długo wraz z Douglasem będą żywić wobec siebie równie silne uczucia.

\*

*30 marca.*

Musiałam załatwić coś na pocztce, więc potem tradycyjnie zaczekałam na Indera Lala i razem ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Gdy znaleźliśmy się w pobliżu królewskich grobowców - nieopodal jeziora i lepianki Maji - z wnętrza monumentalnej budowli dobiegły mnie dziwne odgłosy podobne do ludzkich jęków. Inder Lal stwierdził, że najlepiej nie zwracać na to uwagi i pilnować własnego nosa. Ale ledwo doszliśmy do kolejnego grobowca - jest tam cała ich grupa, wzniesiono je dla pewnego rodu panującego w piętnastym wieku - znów usłyszałam ten odgłos, tym razem dochodzący od tyłu. Teraz już nie miałam wątpiwości, że to ludzki jęk. Pomimo protestów Indera Lala zawróciłam, żeby zbadać sprawę. Wspięłam się po wysokich stopniach. Chociaż te grobowce nie mają ścian - są zamknięte ze wszystkich stron jedynie osadzonymi w łukach kratownicami - wewnątrz panuje gęsty mrok. W pierwszej chwili ujrzałam tylko stojące pośrodku sarkofagi, ale kiedy ponownie rozległy się jęki, zorientowałam się, że

ich źródłem jest jakiś bezkształtny tłumok mający w rogu. Okazało się, że to człowiek w czymś pomarańczowym na grzbiecie. Podeszłam bliżej - stojący na zewnątrz Inder Lal wydał ostrzegawczy okrzyk - i nachyliłam się nad jęczącym. Rozpoznałam w nim białego sadhu, Chida, którego swego czasu poznałam na werandzie noclegowni dla turystów.

Siedział bezwładnie oparty o kratownicę w otoczeniu swoich wszystkich doczesnych dóbr - kubka z brązu, paciorków modlitewnych, parasola i żebraczej miseczki. Obok, na kawałku gazety, leżał kawałek czerstwej bułki. Chid powiedział, że nie wie, jak długo tutaj przebywa - niekiedy było mroczno, a niekiedy bardzo ciemno. Wyrzucono go z noclegowni, jak tylko dwójka jego towarzyszy ruszyła w dalszą drogę. On też próbował kontynuować swoją pielgrzymkę, ale w pewnym momencie gwałtownie zaniemógł i przywłókł się z powrotem do Satipuru. Przyznał, że wciąż jest ciężko chory. Leżał sam jeden, bez żadnej pomocy, ponieważ nikt tutaj nigdy nie zajrzał z wyjątkiem sparszywiałego psa, który go obwąchał i zaraz uciekł.

Inder Lal, stojący w bezpiecznej odległości za podporą łuku, uznał za stosowne mnie ostrzec:

- Uważaj. Nie podchodź.

- Wszystko w porządku - odparłam. - To ktoś, kogo znam. Dotknęłam dłonią czoła Chida. Było rozpalone.

- Strasznie chce mi się pić - wyjęczał. - I jestem głodny - dorzucił, uderzając się mocno po brzuchu, jak to czynią hinduscy żebracy, by wszyscy usłyszeli głuchy, pusty odgłos.

Inder Lal zebrał się na odwagę i ostrożnie przybliżył, po czym wbił w Chida zaciekawione spojrzenie.

- Dlaczego on ma na sobie taki strój?

- Ponieważ jest sadhu - wyjaśniłam.

- Jakim cudem on może być sadhu?

- Studiował hinduistyczne księgi.

Wewnątrz grobowca było obrzydliwie - w powietrzu unosił się ostry odór guana nietoperzy; poza tym obawiałam się, że Chid nie uszanował świętości monumentu i wykorzystywał go również w charakterze ubikacji. Zastanawiałam się, co począć: nie można było zostawić chorego w tak odrażającym miejscu, ale dokąd miałabym go zabrać?

- Co dokładnie studiował? - nagle Inder Lal żywo zainteresował się tematem. - Jakie księgi czytałeś? - zaryzykował bezpośrednie pytanie. - Czy znasz purany? A brahmany?



Chid chyba nie usłyszał słów Indera. Wpatrywał się we mnie błagalnie płonącymi od gorączki oczami.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu? - wyszeptał. - Mógłbym przejść o własnych siłach, pod warunkiem że to bardzo blisko.

Miałam duże opory przed takim rozwiązaniem, za to Inderowi Lalowi pomysł zabrania z nami Chida niespodziewanie bardzo przypadł do gustu.

*10 kwietnia.*

Chociaż Chid po kilku dniach wyleczył się z gorączki, wcale się nie kwapi do opuszczenia moich progów. Przypuszczam, że znalazł tu oazę spokoju po swoich wędrówkach przez Indie. Natomiast mój własny spokój mocno ucierpiał wskutek jego obecności. Muszę chować wszystkie swoje papiery pod kluczem - listy Olivii oraz ten dziennik - i to nie dlatego, że nie chcę, aby Chid je czytał (osobiście wątpię, czy byłby w ogóle zainteresowany ich treścią), ale ponieważ w nich grzebie, pozostawia je w nieładzie i plami brudnymi palcami. Notabene ślady brudnych palców są teraz na wszystkim, co się znajduje w pokoju. Chid nie ukrywa tego, że myszkuje w moich rzeczach i bierze to, czego akurat potrzebuje; wręcz mi oznajmił, że nie pochwała prywatnej własności, ponieważ przywiązanie do przedmiotów jest szkodliwe dla ludzkiej duszy. Muszę przyznać, że nie jest wymagający - zjada to, co ugotuję, i jest zadowolony ze wszystkiego, co dostanie. Wiele czasu spędza na wędrówkach po mieście i stał się już tak dobrze znaną wszystkim postacią, że nawet dzieciom nie chce się za nim biegać. Niektórzy kramarze pozwalają mu siadywać przy swoich straganach i niekiedy wokół Chida gromadzą się całkiem spore tłumy, gdy zaczyna głosić swoją filozofię.

Wszyscy uważają, że skoro Chid u mnie zamieszkał, zostałam wyjątkowo uprzywilejowana. Ponoć zyskałam doskonałą szansę poprawy mojej sytuacji karmicznej dzięki temu, że miłosiernie wspieram świątobliwego człowieka. Co prawda kwestia świątobliwości Chida nie jest do końca rozstrzygnięta, ale według mieszkańców Satipuru Chid uczynił w tym kierunku obiecujący pierwszy krok, poprzez ogolenie głowy i odrzucenie ubrania. Z tego powodu są gotowi udzielić mu nadzwyczajnego kredytu zaufania. Widziałam, że postępują podobnie w stosunku do hinduskich świętych mężów, którzy często przechodzą przez miasto w swojej pielgrzymiej wędrówce, omotani w szmaty koloru ochry, z żebraczymi miskami i modlitewnymi paciorkami. Dla mnie wyglądają na bandę zatwardziałych hochsztaplerów - niektórzy są odurzeni narkotykami, inni nadzwyczaj pobudzeni seksualnie, a wszyscy mają twarze naznaczone

chciwością i podstępnością. Ale gdy przechodzą ulicami - na wpeł lub wręcz całkiem nadzy - i wykrzykują imię Boga, niczym uliczni handlarze zachwalający swój towar, ludzie wybiegają z domów i ofiarują im jałmużnę. Chid również nigdzie się nie rusza bez żebraczej miseczki i często ktoś coś do niej wkłada - na przykład banana lub guawę, które potem Chid pochłania samotnie w kącie mojego pokoju, rzucając skórki na podłogę. Muszę jednak uczciwie przyznać, że kiedy każę mu po sobie posprzątać, potulnie wypełnia moje polecenie.

Inder Lal jest pod wielkim wrażeniem Chida. Ledwo wraca z biura, przychodzi na górę i godzinami słucha wywodów mojego nieproszonego gościa. Chid opowiada o czakrach energetycznych w ludzkim ciele i sposobach uwolnienia tej energii. Raz wskazuje na czaszkę, innym razem wygina się w precel, żeby dosięgnąć nosem podstawy kręgosłupa, a potem wymachuje rękami, jakby chciał ściągnąć ku sobie moce wirujące w powietrzu. Mnie to wszystko niezmiernie nudzi. Odnoszę wrażenie, że Chid pozbiierał okruchy rozmaitych nauk religijnych i duchowych, a ponieważ nie jest ani szczególnie inteligentny, ani wykształcony, w jego głowie wytworzył się przedziwny ferment, który sprawia, że chwilami ten człowiek wydaje mi się obłąkany. Może zresztą naprawdę cierpi na jakiś obłąd.

Nadal w zasadzie nic o nim nie wiem. Niekiedy snuje jakieś opowieści, ale większość z nich wyklucza się nawzajem, toteż nie sposób złożyć ich w sensowną całość. Zresztą dotyczą one głównie jego życia duchowego, są więc dość abstrakcyjne i nic nie mówią o jego przeszłości. Inder Lal utrzymuje, że tak być powinno, ponieważ Chid nie ma już czegoś takiego jak własna historia. Kiedy ktoś zostaje hinduskim ascetą, jego wcześniejsze życie, a dokładniej rzecz biorąc uprzednie żywoty - w tym wszystkie myśli i uczynki - obracają się wniwecz. I to w sensie dosłownym, ponieważ podczas inicjacji rozpala się stos pogrzebowy i wrzuca do ognia ubrania oraz obcięte włosy przyszłego sadhu w akcie symbolicznej kremacji. Chid został poddany takiemu rytuałowi, więc teraz - wedle słów Indera Lala - jest ascetą w czystej formie. Zachował jednak swój płaski akcent z Midlands, co sprawia, że wszystkie jego wywody zdają się jeszcze bardziej dziwaczne.

Ma nieustannie ochotę na seks i przyjmuje za pewnik, że ja zaspokoję tę potrzebę, tak jak zaspokajam jego głód, dzieląc się z nim jedzeniem. Nigdy dotąd nie czułam się tak przedmiotowo wykorzystywana. Chid zresztą otwarcie przyznaje, że to właśnie robi - wykorzystuje mnie w celu osiągnięcia wyższego poziomu świadomości dzięki energii seksu, który uprawiamy. W zasadzie nie mam pojęcia, dlaczego mu na to pozwalam. Jestem od niego wyższa i dużo silniejsza, bez trudu więc mogłabym go powstrzymać. Ale często odnoszę wrażenie, że w nasze ze-

spolenia włączona jest emanacja jakichś zewnętrznych nieznanymi mocy. Bo tak naprawdę Chid nie jest ani trochę pociągający seksualnie - ma chłopięce policzki, tylko gdzieś porośnięte kępami jasnego zarostu i jest chorobliwie chudy - jak niedorostek, który właśnie wstał z łoża boleści. Ma natomiast nieustanne, imponujące erekcje i przypomina mi w tym boga Siwę, którego potężny członek jest czczony przez pobożne hinduski. Kiedy patrzę na Chida w takim stanie, dochodzę do wniosku, że jego seksualny apetyt jest podsycany przez religijne praktyki - te wszystkie mantry, które recytuje, siedząc w kącie mojego pokoju z paciorkami w dłoni.

*15 kwietnia.*

Doskonałym przykładem typowego dla Indii zamętu jest sprawa kapliczki Baby Firdausa. Jak to nabab wyjaśnił Olivii, została ona wzniesiona przez jego przodka, Amanullaha Khana, w dowód wdzięczności dla muzułmańskiego pustelnika, który udzielił mu schronienia. Teraz jest to święte miejsce dla hinduskich kobiet, które wierzą, że poprzez złożenie ofiary w kapliczce można się wyleczyć z bezpłodności. Rzecz w tym, że uznają to miejsce za święte tylko przez jeden dzień w roku. I nie bardzo wiadomo dlaczego, ponieważ w tej sprawie panuje dość duża dowolność interpretacji. Niektórzy wierzą w opowieść o bezdziejnej kobiecie wyrzuconej z domu przez męża, który z powodu braku potomka chciał się ożenić z inną. W dniu powtórnego ślubu męża nieszczęsna wygnanka przyszła do gaju Baby Firdausa, żeby ukryć tam przed światem swój wstyd i rozpacz. I wówczas doznała wizji, wedle której za dziewięć miesięcy miała powić dziecko - co też nastąpiło. Na pamiątkę owego wydarzenia zaczęto obchodzić święto *Pati ki Shadi* - czyli Dzień Powtórnego Zaślubin Męża.

Zaślubin Męża. Niemniej, jak już wspomniałam, wyjaśnień istnieje wiele i wszystkie są wzajemnie sprzeczne.

Ponieważ wczoraj był Dzień Powtórnego Zaślubin Męża, zdecydowałam się na wyprawę do kapliczki wraz z matką Indera Lala oraz jej przyjaciółkami. Jechałyśmy tam autobusem wypełnionym po brzegi kobietami pielgrzymującymi do tego samego miejsca. Większość z nich nie należała do młodek, więc najprawdopodobniej - tak jak i my - wyruszyły z domu tylko po to, żeby przyjemnie spędzić czas. Wszystkie miały ze sobą mnóstwo wałówek, którą częstowały się nawzajem pośród żartów i śmiechu. Niektóre zabrały także bezpłodne synowe, te jednak milcząco trzymały się na uboczu. Ritu, obdarzona dostateczną liczbą dzieci, pozostała w domu.

Już od dłuższego czasu chciałam obejrzeć gaj Baby Firdausa, ale wczoraj zbyt wiele nie udało mi się zobaczyć. Niemniej jednak nigdy bym nie pomyślała, że tak mogło wyglądać ulubione miejsce piknikowe nababa! Stało tu niewielkie wesołe miasteczko z rozchwierutanymi drewnianymi karuzelami, diabelskim młynem i rzędami prowizorycznych stołów, z których sprzedawano potrawy sownie upstrzone przez muchy. Z głośnika zawieszono na drzewie płynęły ogłuszające dźwięki hymnów religijnych. Nie mogłam dojrzeć kapliczki Baby Firdausa z powodu natłoku ludzi próbujących dotrzeć w jej pobliże. W końcu przyłączyliśmy się do ludzkiej fali, która pchnęła nas we właściwym kierunku. Zanim znalazłyśmy się pod kapliczką zgrzane i wymęczone, miałam już zupełną pustkę w głowie, więc postanowiłam zdać się na bieg wydarzeń i po prostu potulnie poddać wszelkim obrzędom. Chociaż nie bardzo pojmowałam, na czym one właściwie polegały. Przed kapliczką siedział kapłan i przyjmował dary. Niektóre kobiety - raczej wiekowe, a więc takie, które w tym miejscu nie mogły wyprosić dla siebie żadnych błogosławieństw - wpadały w dewocyjne uniesienie, wykrzykiwały imię boga boleściwym głosem i próbowały rzucić się na ziemię, jednak ze względu na tłok akurat te wysiłki z góry były skazane na niepowodzenie. Nie miałam pojęcia, co właściwie powinnam robić, ale zdaje się, że wystarczyło samo dotarcie w pobliże kapliczki.

Potem znalazłyśmy sobie cieniste miejsce pod rozłożystym drzewem, usiadłyśmy w kółku i już do końca dnia raczyłyśmy się przysmakami. Jedna ze starszych kobiet opowiedziała o pewnej dziewczynie, której lekarz zalecił operację jajników, ale zanim doszło do zabiegu, teściowa przywiozła ją do kapliczki i dziewczyna wkrótce zaszła w ciążę. (Nie była to jednak historia ze szczęśliwym zakończeniem: na męża dziewczyny rzuciła urok jakaś inna kobieta i za sprawą owego uroku ten człowiek wygonił z domu świeżo upieczoną matkę wraz z nowo narodzonym dzieckiem). Potem posypały się dalsze historyjki, których słuchałam z przyjemnością, ciesząc się jednocześnie towarzystwem swoich przyjaciółek i świąteczną atmosferą. Jeszcze nigdy nie czułam się tak zespolona z jakąkolwiek społecznością.

W pewnej chwili jedna z kobiet posłała mi uważne spojrzenie i zapytała:

- A o co ty prosiłaś w modlitwie?

Wszystkie wybuchnęły śmiechem i zaczęły się ze mną przekomarzać. Odparłam, że przyjechałyśmy do niewłaściwej kapliczki - najpierw powinny mnie zabrać do miejsca, w którym można wyprosić męża, a nie dziecko. Rozległy się kolejne śmiechy, ale w oczach tych kobiet widać było powagę (bo zamążpójście i rodzenie dzieci to dla nich wyjątkowo poważna sprawa), mnie natomiast przemknęło przez głowę kilka bardzo zaskakujących myśli.

1923

Dzień Powtórnych Zaślubin Męża zawsze spędzał sen z powiek majorowi Minniesowi. Ale kapliczka Baby Firdausa leżała w granicach państwka nababa, więc major miał związane ręce - mógł jedynie apelować i doradzać. Co też czynił niestrudzenie, a w miarę zbliżania się feralnego dnia, nawet zwielokrotnił wysiłki. Nie zrażały go wybuchy śmiechu nababa, którymi zbywał większość rad, czy uwagi w rodzaju:

- Oczywiście, oczywiście, drogi majorze, postąpię wedle pańskich wskazówek, nie ma najmniejszego powodu do niepokoju.

Jednak Minnies był poważnie zaniepokojony i miał ku temu solidne podstawy.

W owych czasach duży odsetek ludności Khatm stanowili muzułmanie (sytuacja zmieniła się po 1947 roku, kiedy to zostali wymordowani lub wyemigrowali do Pakistanu). Sam nabab należał do wyznawców islamu, podobnie jak niemal połowa jego poddanych. Wielu z nich nie mogło się pogodzić z faktem, że na jeden dzień w roku kapliczka Baby Firdausa staje się miejscem kultu hinduistów, i zazwyczaj wywoływali wówczas zamieszki. Rzadko dochodziło do konfrontacji w okolicach samego świętego miejsca - najczęściej obie zwaśnione grupy ścierały się na bazarze. Rozpoczynało się od błahego incydentu, na przykład kłótni o rzekomo nieuregulowany dług hazardowy, szybko jednak dochodziło do tak niewyobrażalnej eskalacji konfliktu, jaką mogą wywołać jedynie namiętności natury religijnej. No i pechowo hinduistyczne święto przypadało na sam początek pory suchej (w późniejszym okresie ludzie byli zbyt wyczerpani upałami, żeby wykrzesać z siebie równie gwałtowne emocje). Tak więc sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej napięta, major powtarzał w kółko, że trzeba zachować czujność, a nabab zbywał go dobrodusznym śmiechem.

I oczywiście, tego pierwszego roku pobytu Olivii na subkontynencie, w Dniu Powtórnych Zaślubin Męża w Khatm wybuchły zamieszki.

Olivia niewiele wiedziała o tych wydarzeniach, bo też wieści z ulicy nie przedostawały się łatwo do angielskiego bungalowu w Dzielnicy Rządowej. Mimo to jakiś podskórny niepokój przeniknął do jej ładnego, złotego salonu, gdzie siedziała przy pianinie i grała utwory Schumanna. Wszystkie drzwi i okiennice były pozamykane na głucho z powodu szalejącej na zewnątrz burzy piaskowej. Mimo to Olivia nie mogła się skoncentrować na Schumannie. Wciąż wracała myślami do Douglasa - chociaż starał się tego nie okazywać, wiedziała, że od wielu dni bardzo się trapi. Dystrykt Satipuru sąsiedował z Khatm, a niepokoje społeczne mają to do sie-



bie, że szerzą się jak pożar buszu. Służba również była niespokojna; nieustannie wybuchały między nimi awantury, a jeden z mężczyzn upił się i pobił z drugim o kobietę.

Później tego samego ranka z niezapowiedzianą wizytą wpadła pani Crawford w towarzystwie majorowej Minnies. Przyszły, żeby dodać Olivii otuchy. Zapewniły, że w Satipurze nie dojdzie do żadnych nieprzyjemnych incydentów, ponieważ pan Crawford i Douglas przedsięwzięli stosowne środki ostrożności. Tutaj rzeczywiście wszyscy zachowali czujność - gdybyż tylko podobne wysiłki podjęto w Khatm, o co apelował i zabiegał u nababa major Minnies!

- Zupełnie tak samo jak w zeszłym roku - skwitowała majorowa. - Arthur go ostrzegał, w kółko powtarzał i wszystko na darmo... Rezultat: dwanaście osób zabitych i siedemdziesiąt pięć rannych. Bazar z tkaninami spłonął doszczętnie; byłam tam tydzień później, szczątki wciąż jeszcze się tliły. Arthur twierdzi, że w tym roku może być nawet gorzej.

- To zbrodnia - zawyrokowała z przekonaniem pani Crawford. - A przecież mógłby nad tym z łatwością zapanować, gdyby tylko zechciał...

- Mówicie o nababie? - wtrąciła Olivia. - Ależ jemu z pewnością zależy na spokoju!

- Nie zapominaj, że on także jest mahometaninem - usłyszała w odpowiedzi.

- Owszem, ale nie fanatykiem. W żadnym razie!

Sugestia, że nabab mógłby się kierować fundamentalizmem religijnym, szczerze ją rozbawiła. Ale Beth Crawford i Mary Minnies wciąż miały poważne, wręcz posępne miny.

- To na wskroś nowoczesny człowiek - upierała się Olivia. - Wielkie nieba! Pod wieloma względami niemal niczym się od nas nie różni. Nie ma w sobie nic z zabobonnego bigota. Jest całkowicie wyemancypowany!

- Doprawdy tak sądzisz? - spytała pani Crawford beznamiętnym tonem.

- Jestem tego absolutnie pewna. Słyszałam, co mówił na temat sati. Był zde gustowany. Uważa, że to barbarzyństwo.

- I nic dziwnego, że tak uważa. Sati to hinduistyczny obyczaj. Ale nabab przyjmuje zupełnie inną postawę, gdy problem dotyczy mahometanizmu. Diametralnie odmienną.

Olivia absolutnie w to nie uwierzyła. Niestety, nie mogła energicznie zaprzeczyć czy choćby podjąć polemiki. I w tym tkwił cały szkopuł. Jej zdanie zupełnie się nie liczyło, ponieważ te kobiety wiedziały o Indiach prawie wszystko, a ona bardzo niewiele. Niemniej jednak była przeświadczona, że w odróżnieniu od nich, ona dobrze zna nababa. Dla tych Brytyjek był jedynie indyjskim władcą, z którym musiały się spotykać ze względów formalnych, tymczasem ona, Olivia - tak jest! - była z nim zaprzyjaźniona.

Pomyślała, że gdy te dwie wreszcie sobie pójda, jej nastrój się poprawi, a tymczasem poczuła jeszcze większy niepokój. To wszystko ich wina! Przyszły tutaj i nastraszyły ją swoimi opowieściami. I jak w ogóle śmiały wygadywać podobne rzeczy o nababie! Zaczęła nerwowo chodzić z kąta w kąt, poprawiała kwiaty w wazonach (o tej porze roku miała do dyspozycji jedynie oleander o ciężkim, migdałowym zapachu oraz narkotyczny jaśmin). Nie była w stanie skupić się na Schumannie, zamknęła więc pianino. Usiadła, żeby napisać list do Marcii, ale Marcia była w dalekim Paryżu, więc i tak nie zdołałyby zrozumieć, co się tutaj działo.

Niespodziewanie usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Nabab! Serce zabiło jej gwałtownie, chociaż nie umiałyby powiedzieć, jakie emocje się za tym kryły. Otworzyła drzwi prowadzące na werandę i ujrzała siedzących tam służących, nachylonych ku sobie, stykających się głowami. Na jej widok natychmiast poderwali się na równe nogi. Do oczu, nosa i ust Olivii wdarł się pył, który chwilę później, wraz z podmuchem wiatru, wpadł do wnętrza domu.

- To ja! - doleciał ją głos z głębi samochodu. Nie był to jednak głos nababa, lecz Harry'ego.

Wbiegli razem do salonu. Zatrzasnęli za sobą drzwi werandy. Mimo że były otwarte tylko przez moment, pustynny pył zdołał pokryć grubą warstwą pianino i żółty jedwab tapicerki.

- Jesteś sam? - zapytała.

Przytaknął, wyraźnie szczęśliwy, że znalazł się w jej domu. Usiadł w fotelu, odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy.

- Musiałem tu przyjechać - jęknął. - To wszystko stało się...

Urwał, bo do pokoju weszło dwóch służących i z zapalem zaczęli usuwać pył ze wszystkich mebli. Harry i Olivia czekali w milczeniu, aż opuszczą salon. Ale gdy służba zniknęła wreszcie za progiem, Harry zmienił ton i treść wypowiedzi.

- Zażęknęłam za oazą - rzucił niemal nonszalanckim tonem.

- Co się dzieje w Khatm?

Nie odpowiedział, tylko ponownie zacisnął powieki.

- Podobno doszło do jakichś zamieszek - nalegała Olivia. - O co w tym wszystkim chodzi? Chcę wiedzieć. Musisz mi wyjaśnić.

Po dłuższej chwili odparł wyraźnie spłoszonym głosem:

- A skąd niby mam to wiedzieć? Ostatecznie mieszkam w pałacu, tam przecież nie dochodzi do niczego podobnego.

- To znaczy do czego?

- Skąd mam wiedzieć? - powtórzył. - Cały wczorajszy dzień i dzisiejszy ranek przesiedziałem w pokoju. Cóż innego można robić w tym strasznym, odrażającym upale? Widziałas, co się dzieje na zewnątrz? Gdy zaczną się burze piaskowe, to trwają całą wieczność. Nic dziwnego, że wszyscy dostają obłądu. - Znowu zamilkł, jakby się przestraszył, że powiedział zbyt wiele, ale już po chwili wyrzucił z siebie nerwowo: - Ja sam zacząłem popadać w obłąd. Siedziałem zamknięty w pokoju i próbowałem zrozumieć, co się wokół dzieje. Nie! Nie pytaj! Bo nic nie wiem! Dwa lata temu i w ubiegłym roku było tak samo. Dzięki Bogu, tym razem miałem dokąd uciec. Kiedy poprosiłem, aby udostępnił mi samochód, bo chcę do ciebie pojechać, powiedział: „Ależ naturalnie, mój drogi przyjacielu”. I mimo że był taki... zaabsorbowany, znalazł czas na wydanie odpowiednich dyspozycji. Powiedział nawet szoferowi, którą ma jechać, żebyśmy przypadkiem nie wpadli w tarapaty. I nie wpadliśmy. Dobiegały nas jedynie krzyki z okolic bazaru, ale one jeszcze niczego nie dowodzą. Kiedy zapytałem, czy nic mi nie grozi po drodze, odpowiedział: „W moim samochodzie miałyby coś ci grozić?”. Uznał to za świetny dowcip. Olivio, zagraj dla mnie, proszę. Cokolwiek.

Zasiadła do pianina i znowu zaczęła grać Schumanna.

- Cudownie - powiedział Harry tonem spragnionego, któremu właśnie podano szklanekę orzeźwiającego napoju.

Jednak Olivia wkrótce zauważyła, że wcale jej nie słuchał. Zsunęła dłonie z klawiszy na kolana. Harry nawet się nie zorientował, że przestała grać.

- Gdy się nad tym głębiej zastanawiam - powiedział - dochodzę do wniosku, że atmosfera w pałacu jest jeszcze gorsza niż na mieście. To z powodu tych ludzi, którzy pojawiają się i znikają - szumowin z nizin społecznych, najpospolitszych łotrów, których nigdzie indziej na świecie nie wpuszczono by na pańskie pokoje. Oni tymczasem wchodzą i wychodzą, kiedy im się podoba, jakby pałac był ich własnością, i kierują się wprost do komnat nababa, jakby mieli do tego pełne prawo. A on ich niecierpliwie wyczekuje, zachłannie słucha tego, co mają do powiedzenia, a potem obejmuje serdecznie, jakby byli jego braćmi. Gdybyś tylko zobaczyła te zakazane gęby... Czy ktoś kręci się po werandzie?

- Chyba służba.

Wyjrzała przez okno i rzeczywiście, służący siedzieli tam zbici w ciasną gromadkę - jak poprzednio. Instynktownie wyczuli jednak, że są obserwowani, bo szybko się poderwali i rozpierchli. Olivia podeszła do Harry'ego i usiadła u jego boku, tak by mógł ciągnąć opowieść przyciszonym głosem.

- Nabab jest w bardzo dziwnym nastroju. Normalnie nigdy tak się nie zachowuje. Tylko w okolicach tego święta. Jest strasznie rozemocjonowany, nie może ani chwili usiedzieć w miejscu, sprawia takie wrażenie, jakby nieustannie na coś czekał - choć nie mam pojęcia, co to mogłoby być. Ma w oczach dziwny ogień. I wszystko pobudza go do śmiechu. Kołysze się na butach i głośno zaśmiewa. Jest tak nieprzytomnie przystojny - stwierdził Harry i zacisnął powieki. W tonie jego głosu nie było jednak słyhać podziwu, tylko skrajne wyczerpanie.

Douglas powrócił do domu dużo później niż zwykle, mimo to natknął się na Harry'ego. Olivia wiedziała, że mąż nie lubi pulchnego Anglika, jednak dziś nie dał tego po sobie poznać - wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego z obecności gościa. Stwierdził, że nie ma mowy, aby Harry podróżował po nocy, i rozkazał szoferowi nababa odprowadzić samochód z powrotem do Khatm bez pasażera. Wówczas w Harry'ego jakby wstąpiła nowa otucha i z radością zasiadł wraz z nimi do kolacji przy stole pięknie udekorowanym przez Olivię kwiatami i świecami.

Tak więc Harry został na noc, a potem na następny dzień i jeszcze na kolejny. Wraz z Olivią cieszyli się nawzajem swoim towarzystwem. Nic ich nie obchodziły nieustanne burze piaskowe. Kazali pozamykać szczelnie wszystkie drzwi oraz okiennice i siedzieli wtuleni w żółte fotele. Później Olivia grała arie z „Pajaców” Leoncavalla, a Harry śpiewał afektowanym głosem, z ręką przyciśniętą do serca. Zaabsorbowani muzyką, nie zauważyli nadejścia pani Crawford, a kiedy już się zorientowali w sytuacji, Beth poprosiła, żeby nie przerywali, i stworzyła z Harrym całkiem udany duet. Miała przyjemny dla ucha kontralt.

- Świetna rozrywka - roześmiała się wesoło. Na Beth można było liczyć w każdej sytuacji.

Okazało się, że przyszła porozmawiać o wyjeździe do Simli. Nie chciałyby wywierać nacisku, ale Olivia chyba nie zdaje sobie sprawy, co ją tutaj czeka. Wypowiedziawszy te słowa, pani Crawford zwróciła się w stronę Harry'ego, jakby szukała u niego wsparcia.

I Harry jej nie zawiódł.

- Nie powinnaś spędzać lata w Satipurze, Olivio. Pora gorąca jest nie do wytrzymania na tej pustynnej równinie.

- Skoro ty jesteś w stanie to znosić...

- A kto twierdzi, że jestem?

Ledwo to powiedział, wyraźnie się zawstydził, jak człowiek, który zdradził więcej, niż uchodziło za stosowne. I żeby pokryć niezręczność, szybko wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście cały czas czynimy przygotowania do natychmiastowego wyjazdu w góry. Już nawet zdążyliśmy kilka razy się spakować i rozpakować. - Znów się roześmiał, tym razem jednak nerwowo. - Ubiegłego roku było tak samo, i dwa lata temu... W końcu nigdzie się nie wybraliśmy. *Begum* nie lubi gór, więc wciąż z jakichś powodów odwleka wyjazd. A to niedomaga, a to znowu układ gwiazd nie sprzyja podróży, innym razem puszczyk zahuka o niewłaściwej porze - zawsze coś się dzieje, i to w ostatniej chwili, gdy wszyscy jesteśmy spakowani i gotowi do drogi. Teraz już do tego przywykłem. Chociaż raz udało nam się wyjechać, w pierwszym roku mojego pobytu. Nabab ma w Mussourie cudowny dom, skrzyżowanie szwajcarskiej willi alpejskiej z gotycką katedrą, byłem doprawdy pod wrażeniem. A co za widoki z okien! Niemal na wprost jest... Jak się nazywa ta góra, gdzie ponoć Siwa siedzi w otoczeniu wiecznych śniegów? Nie dane mi jednak było nacieszyć się balsamicznym powietrzem. Wkrótce po naszym przyjeździe znaleziono martwego nietoperza. I to gdzie? W sypialni *begum!* To naturalnie fatalny omen, więc musieliśmy natychmiast wracać do domu, gdzie potem przez trzy tygodnie non stop odprawiano jakieś oczyszczające ceremonie. - Harry nagle zwrócił się ku pani Crawford i zaczął gorączkowo wyrzucać z siebie słowa: - Matka wciąż prosi w listach, żebym wrócił do domu. Nie miewa się najlepiej, bardzo się o nią martwię, mieszka sama w naszym mieszkanku, a ja tkwię tutaj już od trzech lat.

- To rzeczywiście długo - przyznała pani Crawford.

- Mój wyjazd miał trwać tylko sześć miesięcy, ale ilekroć wspominał o powrocie do domu - ze względu na matkę - on zaraz się krzywi. Ciężko przeżywa rozstania z ludźmi. To dlatego, że tak bardzo przywiązuje się do przyjaciół, jest taki... uczuciowy. Człowiek o gorącym sercu. Wyjątkowo gorącym. - Harry wbił wzrok w podłogę.

Po chwili milczenia pani Crawford odezwała się pogodnym i jak zwykle rzeczowym tonem:

- Czy zna pan Ross-Millibanksów? On jest superintendentem w Cawpore. Właśnie dostali długi urlop i wybierają się do Bombaju, gdzie czwartego wsiądą na statek do Anglii, SS *Maloja*, jak mi się zdaje. Zatrzymają się u nas na parę dni. Już nie możemy się doczekać tej wizyty. To jedna z największych atrakcji w Indiach, gdy po drodze wpadają do nas ludzie z całego kraju, prawda?

- Ale czy miejsca na tych statkach nie są przypadkiem wyprzedane na wiele miesięcy naprzód? - spytał nieśmiało Harry.



- O, z pojedynczą koją nie powinno być problemu - odparła pani Crawford. - Mogę w tej sprawie zatelegrafować do Gibbonsów z Bombaju...

- Naprawdę? Mogłaby pani?

- Naprawdę. Bez najmniejszego problemu.

Tej nocy, gdy już leżeli w łóżku osłonięci moskitierą, Olivia powiedziała do Douglasa:

- Ale przecież on jest gościem nababa.

- I co z tego?

- Nabab opłacił jego podróż do Indii. I przez te wszystkie lata zapewniał życie w luksusie. Nie pojmuję, jak on teraz może... tak od niego uciekać. I to z przyjaciółmi pani Crawford - dorzuciła.

- On chce wracać, najdroższa.

- Czasami chce, a czasami nie.

- Dla mnie to zbyt zawile subtelności. Tak czy owak, powinien wyjechać.

- Już cię zmęczyła jego obecność w naszym domu?

- Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że jest z nami. To lepsze pod każdym względem od bytu w Khatm.

- Ale nabab był zawsze taki dobry dla Harry'ego! Niesamowicie serdeczny!

- Jutro wyślę kogoś po jego bagaże.

- Douglas, kochany, jesteś pewien?

Tymczasem nazajutrz - była to niedziela - pojawił się nabab we własnej osobie. Olivia i Douglas udali się do kościoła, a po powrocie ujrzeli przed domem księżęcego rollsa; w salonie zaś zastali nababa w towarzystwie Harry'ego, który pomimo późnej pory wciąż jeszcze był w piżamie i szlafroku. Obaj mężczyźni sprawiali takie wrażenie, jakby zdążyli już odbyć długą, bardzo osobistą rozmowę.

Kiedy nabab oświadczył, że przyjechał po Harry'ego, Douglas wręcz zeszywniał. Nabab natychmiast uderzył w kordialne tony i zaczął dziękować za życzliwe ugoszczenie przyjaciela.

- Teraz w Khatm jest już całkiem spokojnie - dorzucił. - Nie ma powodu do strachu. - Popatrzył niemal czule na Harry'ego, a ten uśmiechnął się wstydliwie.

Douglas mocno zacisnął szczęki, aż zadrgał mu mięsień. Obaj - i on, i nabab - cały czas stali naprzeciwko siebie. Byli tego samego wzrostu i bardzo podobnej budowy. Olivia i Harry, siedzący na sofach, nie spuszczały z nich wzroku.

- Do takich incydentów dochodzi co roku - oznajmił nabab. - To nic poważnego. Głowy szybko się rozpalają i szybko stygną. Jak aura w różnych porach roku.

- Widzieliśmy listę zabitych i rannych - wycedził spiętym głosem Douglas.

- Dlaczego wciąż stoicie! - wtrąciła nerwowo Olivia. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Do takich incydentów dochodzi co roku - powtórzył nabab. - Nic nie można na to poradzić.

Douglas odwrócił głowę. Musiał zmilczeć. Nabab należał do niezależnych władców i tylko major Minnies był uprawniony do prowadzenia z nim rozmów na temat polityki wewnętrznej jego kraju. Niemniej milczenie Douglasa było aż nadto wymowne.

Nabab zwrócił się do Harry'ego:

- Idź się ubrać. Musimy jechać.

Harry natychmiast poderwał się z sofy, lecz zanim wyszedł z pokoju, rozległ się głos Douglasa:

- O ile mi wiadomo Ross-Millibanksowie zjadą tutaj jutro po południu.

Harry zatrzymał się w progu.

- Któż to taki? - zapytał nabab zdawkowym tonem. - Jacyś twoi przyjaciele?

- Wyjeżdżają w czwartek - dorzucił Douglas.

- A! Do Bombaju? - wtrącił nabab. - Tak, Harry coś mi na ten temat wspominał, ale sprawa jest już nieaktualna. Drogi przyjacielu, ubierz się wreszcie, chyba nie oczekujesz, że w takim stanie zabiorę cię do domu.

Douglas po raz kolejny zwrócił się do Harry'ego:

- Pani Crawford otrzymała telegram z Bombaju. Koja załatwiona.

Nieoczekiwanie nabab rozsiadł się w fotelu. Odchylił się na oparcie, skrzyżował nogi. Po czym oznajmił:

- Rozmawialiśmy na ten temat z Harrym. Wyznał mi, że doszło do niefortunnego nieporozumienia. Osobiście przeproszę państwa Crawfordów za wynikłe kłopoty i podziękuję za życzliwość wobec mojego gościa. Naturalnie złożę też podziękowania państwu Ross-Millibanks - dodał wielkodusznie.

Douglas zlekceważył te słowa i znów zwrócił się bezpośrednio do Harry'ego:

- Przecież chciał pan wracać do Anglii. Pańska matka choruje. Ponownie odpowiedział mu nabab:

- Wszyscy dziękujemy losowi, ponieważ matka Harry'ego czuje się już dużo lepiej... Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie przyjedzie do nas z wizytą. Moja matka wystosowała do niej zaproszenie - własnoręcznie napisała list w urdu, a ja przetłumaczyłem go na angielski i dodałem od siebie: „Teraz ma pani nie tylko jednego syna, ale dwóch, i obaj nie mogą się już doczekać pani przybycia”.

Rozparł się jeszcze wygodniej w fotelu. Był bardzo zadowolony, że tak elegancko rozwiązał wszelkie problemy.

Harry wziął głęboki oddech i spojrzał Douglasowi w oczy.

- Gorąco dziękuję za gościnę. Ale naprawdę chciałbym już wrócić do pałacu. Omówiliśmy tę sprawę przed państwa przybyciem. Chcę wracać do Khatm.

- Nie musi pan - rzucił Douglas z drugiego końca pokoju.

- Ale chcę - powtórzył Harry. Nabab wybuchnął głośnym śmiechem.

- Sami państwo widzicie, on jest jak dziecko, które nie wie, na co naprawdę ma ochotę! Dlatego my, dorośli, musimy za niego decydować. Czy też wskazać, że już najwyższy czas się ubierać. Harry, to nie jest strój, w którym powinieneś pokazywać się damie. Idź, przyszykuj się do drogi i uczesz starannie włosy. - Klepnął filuternie Harry'ego w tył głowy, jakby to był jakiś element dobrze im znanej zabawy. - Ruszaj, proszę - nakazał tonem surowego, acz kochającego ojca. A gdy Harry wyszedł, zwrócił się do nich obojga z niekłamaną powagą w głosie: - Zauważyliście państwo, jaki z niego egoista? Ale cóż robić - westchnął głęboko - bardzo się do niego przywiązałem. Zaskarbił sobie miejsce w moim sercu. - Przycisnął dłoń do piersi.

Olivia zerknęła na Douglasa. Z przykrością stwierdziła, że pozostał zimny i wyniosły. Ona natomiast nie miała najmniejszych wątpliwości, że wszystko, co mówił książę, było nad wyraz szczere; nawet trochę zazdrościła Harry'emu, że jest otoczony tak wielką miłością i przyjaźnią nababa.

*25 kwietnia.*

Wraz z Chidem zdołaliśmy już na dobre wtopić się w lokalny pejzaż; jesteśmy teraz częścią miasta, wrośliśmy w życie jego mieszkańców i zostaliśmy przez nich w pełni zaakceptowani. Satipur w ogóle chętnie wchłania i zespala w jedną organiczną całość najróżnorodniejsze elementy - na przykład grobowce muzułmańskiego królewskiego rodu i kapliczki ku czci sati. Ma też swój własny zestaw lokalnych kalek, idiotów i żebraków. Wszyscy oni nieustannie włączają się po ulicach, a gdy dzieje się coś godnego uwagi, spieszą, by dołączyć do tłumu gapiów.

Tak jak pozostali mieszkańcy, ja też już do nich przywykłam, choć przyznaję, że na początku przyprawiali mnie o dreszcze. Niektóre choroby prowadzą do niewyobrażalnych deformacji i ci, którzy na nie zapadli, nawet po wyleczeniu pozostają żywymi ilustracjami wszystkich straszliwych nieszczęść, jakie mogą spaść na człowieka. Jeden z żebraków swego czasu chorował na trąd - teraz jest wypaloną skorupą ludzką pozbawioną nosa oraz palców u rąk i nóg; mieszka poza miastem, ale wolno mu żebrać na ulicach, pod warunkiem że trzyma się na odpowiednią odległość od innych. Z kolei pewien starzec najprawdopodobniej cierpi na chorobę świętego Wita - owija się wokół długiego kija i porusza małymi podskokami, podrygując przy tym niczym marionetka. Ale przerażające choroby nie dotyczą jedynie ubogich i żebraków. Bodaj najlepiej prosperujący sklepikarz w mieście, zbijający jednocześnie majątek na lichwie, jest dotknięty słoniowacizną. Ma krocze wielkości piłki futbolowej i kiedy siedzi w swoim sklepie, opiera je na specjalnej, małej poduszce.

Obecnie dniami i nocami nękają nas burze piaskowe. Gorące wiatry wdmuchują do miasta wielkie kolumny pustynnego pyłu, który upośledza zmysły. Powietrze jest aż od niego gęste. Liście, jeszcze niedawno zielone, przybrały teraz barwę popiołu i obracają się na wszystkie strony niczym w derwiszowym tańcu. Ludzie są niespokojni, poirytowani, doprowadzeni na skraj wytrzymałości. Trudno siedzieć, stać czy leżeć - każda pozycja jest niewygodna. W głowach rodzi się zamęt.

Tylko Chid pozostaje zupełnie niewzruszony aurą. Godzinami przesiaduje w medytacyjnej pozie i cicho odmawia mantry, przesuując palcami po modlitewnych paciorkach. Trwa to w nieskończoność i sprawia wrażenie tak kompletnie bezmyślnego zajęcia, że w pewnym momencie dostaję szału. Jakby nieznana siła wysssała z otoczenia wszelką racjonalność i zdrowy rozsądek. Od czasu do czasu Chid miewa te swoje monstrualne erekcje i wtedy muszę się odwoływać do argumentu siły (pomijając wszystko inne, jest zbyt gorąco na seks). Poza tym Chid śmierdzi od brudu - regularne kąpiele to akurat jeden z tych hinduistycznych rytuałów, którego sobie nie przyswoił - za to coraz bardziej się utwierdza w swoim lekceważącym stosunku do prywatnej własności. Zaczęłam więc chować przed nim pieniądze, on jednak jest na tyle sprytny, że potrafi wytropić moje kryjówki.

Dzisiaj tak bardzo wyprowadził mnie z równowagi, że go wyrzuciłam. Zgarnęłam wszystkie jego dobra i cisnęłam w dół schodów. Kubek z brązu z brzękiem obijał się o stopnie, kiedy pochwyliła go Ritu, która akurat ten niefortunny moment wybrała na odwiedziny. Chid

pozbierał swoje rzeczy w milczeniu, wszedł za dziewczyną z powrotem do mojego pokoju i rozłożył wszystko tam, gdzie leżało uprzednio.

- Masz się stąd wynieść! - oświadczyłam.

Nie mogłam ciągnąć tematu ze względu na Ritu. Była w jakimś dziwnym stanie. Usiadła w kącie, podciągnęła nogi pod brodę i przez cały czas nie wypowiedziała ani słowa. Sprawiała wrażenie przerażonej - przywodziła na myśl dzikie zwierzątko, które przybiegło szukać schronienia. Chociaż w tym momencie nie czułam się na siłach chronić kogokolwiek, wzięłam się w garść i zaczęłam przemawiać do Ritu spokojnym, kojącym głosem. Chyba w ogóle mnie nie słyszała. Wodziła nerwowo wzrokiem po pokoju, ale zdawała się niczego nie widzieć. Chid usiadł w pozycji lotosu w kącie przeciwnym do tego, który zajmowała. Z przymkniętymi powiekami, przesuując paciorki w palcach, zaczął znowu odmawiać mantry. Tego było dla mnie za wiele.

- Wynoś się! - wrzasnęłam.

Jednak te inkantacje przeniosły go już w inne rejony - może do jakiegoś chłodniejszego, radośniejszego i piękniejszego świata. Kołysał się lekko na boki, paciorki migały, usta poruszały się bezgłośnie; wpadł w błogostan. Ritu zaczęła wrzeszczeć tak samo jak owej pamiętnej nocy. Chid otworzył oczy, spojrzał na dziewczynę, po czym znowu opuścił powieki i wrócił do klepania mantr. Im Ritu głośniej wyla, tym głośniejsza stawała się melorecytacja Chida - byli teraz jak przekrzykujący się kapłani dwóch rywalizujących sekt, zdecydowani siłą głosu udowodnić wyższość swojej wiary.

*30 kwietnia.*

Narastający żar i nieustanne burze piaskowe pogarszają stan zdrowia Ritu. Teraz cały czas siedzi zamknięta w pokoju, z którego niekiedy dochodzą przeraźliwe krzyki. Ludzie zamieszkujący wokół naszego podwórka chyba dawno przywykli do takiej sytuacji, bo niewzruszenie zajmują się własnymi sprawami i nie zwracają najmniejszej uwagi na przejmujące odgłosy. Chid także pozostaje na nie obojętny. Twierdzi, że przebywa w Indiach dostatecznie długo, aby się na wszystko uodpornić. Ja jednak nie jestem w stanie przejść do porządku dziennego nad owymi wrzaskami i w kółko powtarzam Chidowi, że Ritu powinno się poddać specjalistycznej terapii.

Pewnego dnia Chid oznajmił:

- Dzisiaj poddadzą ją leczeniu.

- Jakiemu leczeniu? - zapytałam.

- Przyjdzie uzdrowiciel.

W dniu wizyty uzdrowiciela znowu rozległy się krzyki, ale brzmiały zupełnie inaczej niż zwykle. Był to mrozący krew w żyłach, zwierzęcy skowyt istoty poddanej straszemu fizycznemu cierpieniu. Nawet sąsiedzi z podwórka oderwali się od swoich zajęć i zaczęli nasłuchiwać. Tylko Chid pozostał niewzruszony.

- Właśnie ją leczą - powiedział.

Wyjaśnił, że Ritu może być opętana przez złego ducha, którego trzeba wygonić poprzez przykładanie rozpalonego żelaza do różnych części jej ciała - przede wszystkim do ramion i podeszew stóp.

Nazajutrz postanowiłam porozmawiać z Inderem Lalem na temat terapii psychiatrycznej. Zaczekałam na niego przed biurem, a w drodze do domu spróbowałam mu wytłumaczyć, czym w ogóle jest psychiatria.

- To nauka o funkcjonowaniu umysłu - powiedziałam i tym natychmiast przykułam jego uwagę. Dla Indera Lala nauka jest tożsama z postępem i wszelkimi wynalazkami współczesnej cywilizacji, o których chciałby jak najwięcej wiedzieć. Kiedy się o nich choćby wspomni, na jego twarzy pojawia się wyraz tęsknego pożądania.

Gdy jednak poruszyłam temat „leczenia”, jakiemu poddano Ritu, jego nastrój uległ gwałtownej zmianie. Zawstydział się i zasmucił.

- Nie wierzę w takie praktyki - oznajmił.

- Ale wyraziłeś na nie zgodę.

- Matka nalegała.

Nagle poczuł się w obowiązku bronić i siebie, i matki. Powiedział, że wszystkie jej przyjaciółki doradzały, by skorzystać z usług tego uzdrowiciela; przytaczał rozliczne przypadki, w których podobne praktyki przyniosły zamierzony skutek. Wyjaśnił, że z początku matka nie chciała tego leczenia, ale potem doszła do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować, więc w końcu on też stwierdził, że czemu nie, skoro żadne inne metody nie ulżyły cierpieniom Ritu.

W tej samej chwili minął nas któryś z jego kolegów i pozdrowił mnie w bardzo przyjaznych słowach. Wszyscy współpracownicy Indera przywykli już do mojej obecności i często podchodzą do mnie, żeby skorzystać z okazji i zamienić kilka słów po angielsku. Naturalnie pozdrowiłam tego mężczyznę równie miło, jednak Inderowi Lalowi owa wymiana uprzejmości



nie przypadła do gustu. Zmarszczył chmurnie brwi, a gdy kolega znalazł się poza zasięgiem głosu, powiedział:

- Falszywie udawana życzliwość. I dlaczego on to robi?

- Ależ on jest życzliwy.

Nachmurzył się jeszcze bardziej i pograżył w ponurym milczeniu.

- No, dobrze. Co takiego zrobił? - zapytałam.

Inder Lal błagalnym tonem poprosił, żebym nie mówiła tak głośno. A potem obejrzał się nerwowo przez ramię, co mnie bardzo rozśmieszyło.

- Ty nie masz pojęcia, jak to jest - oświadczył z twarzą ściągniętą strachem i nieufnością.

- Nie wiesz, jacy potrafią być ludzie, co noszą w sercach, nawet gdy się uśmiechają. Wczoraj znowu przyszedł anonim - wyznał konfidencjonalnym szeptem.

- Napisano w nim coś przeciwko tobie?

Nie odpowiedział. Ponownie zamknął się w milczeniu. Nienawidzę, gdy pogodną stronę jego charakteru zasnuwa ta czarna chmura podejrzliwości.

*2 maja.*

Podczas gdy ja doradzałam leczenie psychiatryczne, Maji - świątobliwa kobieta i przyjaciółka domu - zaleciła pielgrzymkę. Matka Indera Lala i Ritu mają wyruszyć w drogę już za kilka dni. Ale najlepsze jest to, że Chid zabierze się razem z nimi! Maji go do tego namówiła. Mam niejasne przeczucie, że zrobiła to dla mnie - co prawda nigdy nie skarżyłam się przed nią, ale ta kobieta wie o różnych rzeczach sama z siebie.

Powiedziała mi o tym wszystkim wczoraj, gdy przyszedłam do niej z wizytą. Na początku siedziałyśmy w lepiance, wkrótce jednak zrobiło się tam tak duszno, że wygramoliłyśmy się na zewnątrz, nie zważając na silny, gorący wiatr. Gęsty pył wirował nad królewskimi grobowcami i kładł się całunem na jeziorze. Dołączył do nas Chid, który często odwiedza Maji. Twierdzi, że sama jej obecność doskonale wpływa na jego rozwój duchowy. Tworzą razem przedziwną parę. Maji jest prostą wieśniaczką, grubą i jowialną. Ilekroć patrzy na Chida, wybucha śmiechem. „Greczny chłopiec!”, wykrzykuje po angielsku; niewykluczone, że to jedyne słowa, które zna w tym języku. Przy niej Chid rzeczywiście wygląda na grzecznego chłopca. Siada idealnie wyprostowany w medytacyjnej pozie i sili się na bardzo uduchowiony wyraz twarzy.

Maji wyjaśniła mi, jaki jest cel pielgrzymek.

- Jeżeli ktoś czuje się nieszczęśliwy i ma wzburzony umysł lub jeżeli chce, żeby spełniło się jego wielkie pragnienie, albo gdy trawi go jakaś ogromna tęsknota, wówczas rusza w drogę. To długa podróż, aż do Himalajów. Jest tam bardzo piękne i święte miejsce. Gdy ona stamtąd wróci - tu nawiązała do Ritu - w jej sercu zagości spokój.

Poklepała mnie po kolanie - Maji lubi dotykać ludzi - po czym zagadnęła:

- Chciałabyś tam pojechać? - I nie czekając na odpowiedź, wskazała palcem na Chida - Ależ ten greczny chłopiec będzie zachwycony pielgrzymką! - Zaniósła się głośnym śmiechem i czule szczyknęła Chida w policzki.

- Naprawdę się wybierasz? - zapytałam.

Ale on tylko zamknął oczy i mruknął:

- *Om.*

Tymczasem Maji podjęła swoją opowieść.

- Na tę pielgrzymkę wyruszają najróżniejsi ludzie ze wszystkich stron Indii. Porzucają dom na wiele tygodni, a nawet miesięcy, bo tyle im trzeba, żeby dotrzeć do celu. Po drodze zatrzymują się w przyświątynnych noclegowniach i kąpią w każdej napotkanej rzece. Przemierzają się powoli, a gdy napotkają miejsce, które im się spodoba, odpoczywają tam przez dłuższy czas. W końcu jednak docierają do gór i rozpoczynają wspinaczkę. A te góry! Nie sposób ich opisać! To tak, jakby się wkraczało do raju. Najpierw powietrze staje się chłodne, wieje miły wiatr, a po niebie suną chmury i ptaki. Potem widać już tylko śnieg, wszystko wokół jest białe, nawet słońce świeci na białło. Po kąpieli w lodowatym strumieniu dociera się w końcu do świętej jaskini. Ludzie mdleją ze wzruszenia, inni rzucają się na ziemię i nikt nie może się powstrzymać od głośnego sławienia boga. *Jai Shiva Shankar!* - wykrzyknęła Maji na całe gardło.

- *Jai Shiva Shankar!* - zawtórował jej Chid.

- Greczny chłopiec, greczny chłopiec! - zaśmiała się Maji i zachęciła Chida, aby raz jeszcze wydał razem z nią okrzyk.

Niespodziewanie zabrzmiało to tak, jakby naprawdę pochwała Siwy poniosła się echem pośród śnieżnych gór, o których przed chwilą usłyszałam. I muszę przyznać, że gdy tam siedziałam - w gorącym pyle, pod rozpalonym niebem - również zamarzyłam o Himalajach.

1923

Pani Crawford i majorowa Minnies wyjechały do Simli. Douglas perswadował i prosił, żeby Olivia przyłączyła się do nich, ale teraz był bardzo szczęśliwy i pełen wdzięczności za to,

że została. Spędzali razem cudowne wieczory i upojne noce. Ze względu na męża Olivia starała się być radosna i pełna życia. Rozumiała, że gdy Douglas wraca z pracy, pragnie w ich gustownym, angielskim bungalowie poczuć się jak w prawdziwym domu i zostawić za sobą żar dnia oraz wszelkie problemy, z którymi musiał się borykać w pracy. Dlatego nigdy nie poruszała tematów, które mogłyby go choć w najmniejszym stopniu zirytować - na przykład nigdy słowem nie wspomniała o nababie. Robiła co mogła, żeby w ich rozmowach w ogóle nie pojawiał się wątek Indii. W owym okresie Douglas - o ile to w ogóle możliwe - pokochał ją jeszcze bardziej. Niekiedy jego uczucia sięgały zenitu i wtedy, choć z natury małomówny, miał wielką ochotę je wyrazić. Jednak intensywność owych uczuć brała nad nim górę i zaczynał strasznie się zacinać.

Harry zazwyczaj zjawiał się wczesnym rankiem, tuż po tym jak Douglas wyruszał do pracy. Przyjeżdżał jednym z książęcych aut, Olivia dosiadała się do niego i jechali razem do Khatm. Chociaż powietrze było gorące i pełne pyłu, a krajobraz nieznośnie monotony, zaczęła lubić te wyprawy. Niekiedy zerkała przez okno i dochodziła do wniosku, że tutaj nie jest tak źle, a z czasem można nawet nabrać upodobania (ona właśnie go nabierała!) do tych szerokich przestrzeni i bezkresnego nieba, do pyłu i słońca, do majaczących gdzieś ruin fortu, meczetu czy starodawnych grobowców. Gdy patrzyło się na pejzaż tak różny od wszystkiego, co się wcześniej widziało, można było odnieść wrażenie, że to nie jest jedynie inny kontynent, ale kompletnie odmienna rzeczywistość.

Resztę dnia spędzali zazwyczaj w wielkim salonie pałacu. Nad salonem ciągnęła się długa galeria osłonięta kotarami, zza których niekiedy obserwowały ich pałacowe damy; Olivia jednak nigdy nie spoglądała w górę. Harry'emu, nababowi i Olivii tradycyjnie dotrzymywała towarzystwa grupa pałacowych młodzieńców. Rozłożeni wokół we wdzięcznych pozach z upodobaniem pili, palili i grali w karty, dopóki książę nie kazał im się wynieść i zająć czymś innym.

Pewnego dnia powiedział do Olivii:

- Olivio - (od jakiegoś czasu zwracał się już do niej po imieniu) - Olivio, tak pięknie grasz na pianinie, a tymczasem jeszcze nigdy nie zagrałaś na moim.

- A gdzie jest?

Rozejrzała się po salonie. Była to długa, chłodna komnata z marmuru, gdzie pomiędzy filarami stało zaledwie kilka mebli europejskiego wyrobu. Znajdowały się tu także rzeźbione so-

fy pokryte brokatem, kilka małych rzeźbionych stolików i barek wykonany specjalnie dla nababa ze stopy słonia. Ale nigdzie w zasięgu wzroku nie było pianina.

- Chodź, pokażę ci - odparł ze śmiechem.

Nie zaprosił nikogo innego do towarzystwa. Poprowadził ją poprzez labirynt sal i korytarzy. Olivia zawsze się gubiła w pałacu - nie był jakiś szczególnie wielki, miał za to bardzo skomplikowany układ przejść, poza tym w wielu pomieszczeniach nigdy jeszcze nie była i nie miała pojęcia, do czego służą i czy w ogóle mają jakieś przeznaczenie.

Nabab wprowadził ją do podziemnej komnaty, która chyba spełniała rolę magazynu. Jakież jednak kryła w sobie cuda! Była tu imponująca kolekcja sprzętu fotograficznego, powoli nadgryzane przez rdzę, z którego najwyraźniej nikt nigdy nie zrobił użytku, ponieważ większość rzeczy wciąż leżała w fabrycznych opakowaniach. Taki sam los przypadł w udziale elementom nowoczesnego wyposażenia łazienek oraz zestawom do zabaw i gier, takim jak krocket, miniaturowa strzelnica, bilard mechaniczny, miniaturowe kolejki oraz kije do hokeja na trawie dla całej drużyny. Wszystkie te dobra zamówiono w Europie, ale transport trwał tak długo, że zanim dotarły na miejsce, nikt już nie był nimi zainteresowany.

Okazało się, że oprócz pianina był tam także prawdziwy fortepian koncertowy.

Gdy nabab chwycił za ryps pokrywający instrument, spod tkaniny umknęło małe zwierzątko podobne do wiewiórki. Jednak nie był tym wcale zaskoczony.

- Podobają ci się moje fortepiany? - zapytał. A potem jakby w formie usprawiedliwienia dorzucił: - Tutaj nie ma komu na nich grać.

Klawisze napęczniały od wilgoci, więc się zacinały. Olivia uderzyła w kilka z nich i wówczas rozległ się ostry, metaliczny dźwięk.

- Jaka szkoda - powiedziała z żalem.

- Tak - przyznał. - Masz rację.

Gwałtownie posmutniał. Usiadł na nierozpakowanej skrzyni i pogрузzył się w grobowym milczeniu. W końcu wyznał:

- Zamówiłem je dla mojej żony.

Olivia raz jeszcze spróbowała wydobyć akord, ale ton, jaki się rozległ, mógłby złamać serce każdemu miłośnikowi muzyki.

- Czy da się to naprawić? - zapytał.

- Trzeba sprowadzić dobrego stroiciela.

- Naturalnie. Zaraz wyślę zamówienie.

- To nie jest przedmiot, lecz osoba - wyjaśniła Olivia. - Szalenie mi zależało, żeby ściągnąć stroiciela do mojego pianina, ale Douglas powiedział, że trzeba by go przywieźć aż z Bombaju.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie wspomniałaś? Musisz mnie informować o podobnych kłopotach. Przynajmniej w takich drobiazgach mogę służyć pomocą przyjaciołom. Wiedziałaś, że byłem żonaty? - Nachylił się ku niej.

- Słyszałam - mruknęła.

- A co dokładnie słyszałaś? - Powiódł uważnym wzrokiem po jej - jak miała nadzieję - pozbawionej wyrazu twarzy. Coś jednak udało mu się wyczytać.

- Jeszcze wiele rzeczy usłyszysz na mój temat - stwierdził. - Różni ludzie opowiadają o mnie niepochlebne rzeczy. Cokolwiek bym zrobił, zawsze znajdzie się ktoś, kto przypisze mi złe intencje. Poznałaś Murada?

Olivia wiedziała, że to jeden z młodzieńców nieustannie otaczających nabab, ale nigdy nie umiała odróżnić jednego od drugiego.

- Murad jest szpiegiem - ciągnął nabab. - O, tak, mam tego świadomość. On z kolei wie, że ja wiem. Rozumiemy się nawzajem. Ale on nie jest jedyny. Szpiegują mnie służący, a także inne osoby.

W jego oczach czaiło się teraz coś mrocznego. Jeżeli ją też podejrzewał o knowania - a prawdopodobnie tak było - nie miała pojęcia, jak mogłaby rozproszyć te podejrzania.

Tymczasem nabab nieoczekiwanie powrócił do rozmowy o instrumentach.

- Jeżeli zdołam je naprawić i wstawię do salonu, będziesz przyjeżdżać i grać dla mnie, Olivio? Byłbym doprawdy uszczęśliwiony. Sandy uczyła się gry na sitarze, ale szybko ją to znudziło, więc zamówiłem fortepiany. Jednak zanim tu dotarły, opuściła pałac. Zagraj coś, proszę.

- Ale te dźwięki są takie okropne.

- Zrób to dla mnie.

Spróbowała zagrać jedno z preludiów Bacha. Choć był to powolny mord dokonywany na muzyce, nabab z powagą kiwał głową, jakby gra go fascynowała. Nachylił się nisko nad Olivia.

- Żałuję, że Sandy nie nauczyła się tak grać. Bardzo mi jej brakuje. Wedle obyczaju i etykiety powinna spędzać dni na piętrze, w *purdah*<sup>1</sup> ale często się wymykała, żeby być razem ze mną. To nowoczesna dziewczyna, kształciła się w Szwajcarii. W ogóle nie przypominała innych indyjskich kobiet, za to była... tak, Olivio, była bardzo podobna do ciebie. I równie piękna.

<sup>1</sup> Część mieszkalna dla kobiet.

Olivia doszła do skomplikowanego trylu. Starła się zagrać go najlepiej jak umiała, lecz dźwięki były niezharmonizowane, jakby nie z tego świata. Poza tym nabab nagle stracił zainteresowanie muzyką fortepianową. Wyprostował się z ciężkim westchnieniem i ruszył w stronę drzwi. Olivia musiała oderwać się od instrumentu i szybko gonić za księciem, bała się bowiem, że samodzielnie nie odnalazłaby wyjścia z pałacowego labiryntu.

Mniej więcej w tamtym okresie - pogłębiania przyjaźni z nababem - Olivia i Douglas zaczęli poważnie myśleć o dziecku. Oboje marzyli o potomstwie. Olivia uważała, że mężczyzna tak przystojny, tak doskonały w każdym calu jak Douglas, powinien się rozmnożyć - i to po wielokroć! Przekomarzała się z nim na ten temat - mówiła, że ożenił się z nią tylko po to, żeby zaludnić świat całą gromadą Douglasów. W żadnym razie, protestował; tym, czego chciał najbardziej to kolejne Olivie - i to w jak najliczniejszych kopiach.

- O! Ja jestem jedyna w swoim rodzaju. Czyżbyś o tym nie wiedział?

- Oczywiście, że tak. Jesteś absolutnie wyjątkowa - przytaknął entuzjastycznie.

Nachylił się i ucałował nagie ramię żony. Właśnie przebierali się do kolacji, na którą zaprosili dwóch słomianych wdowców - pana Crawforda oraz majora Minniesa. Olivia siedziała przed toaletką w kremowej, jedwabnej halce i obficie zlewała się wodą lawendową.

Ciągnęli rozmowę na temat przyszłych potomków. Olivia wyobrażała już sobie wysokich, pięknych młodzieńców na eksponowanych stanowiskach: jednego w wojsku, drugiego - wzorem Douglasa - w korpusie urzędniczym; może też któryś zostałby politykiem? Wszyscy naturalnie w Indiach... chociaż niekiedy zdarzało się, że ogarniała ją niepewność.

- A jeżeli tutaj wszystko się zmieni?... To znaczy pan Gandhi i jego ludzie... - urwała, dojrawszy w lustrze uśmiech męża.

- Jeszcze długo będziemy im potrzebni - stwierdził z niezachwianą pewnością siebie, podszytą rozbawieniem. Był już w spodniach i koszuli, uniósł podbródek, żeby zawiązać muszkę.



- A jak potoczy się życie przyszłej Olivii? - zapytała, spokojna już o losy synów.

W tej kwestii Douglas również nie miał wątpliwości - wyjdzie za kogoś takiego jak jej bracia, pochodzącego z takiej samej rodziny i upodobni się do...

- Pani Crawford?

Douglas ponownie się uśmiechnął.

- O, nie. Do Olivii. Nic innego mnie nie zadowoli.

- Olivia jest do niczego - stwierdziła z głębokim przekonaniem, a może wręcz z samo-obrzydzeniem.

Douglas jednak nie dostrzegł tej nagłej zmiany tonu. Zaśmiał się i oświadczył:

- Dla mnie jest cudowną kobietą.

Spróbował raz jeszcze pocałować żonę w ramię, ale szybko się poderwała i zaczęła wciągać suknię przez głowę.

- Wkrótce zjawią się goście - stwierdziła. - Musisz być w pogotowiu. Kazała wynieść stół do ogrodu, po czym sama go udekorowała.

Przybyli dżentelmeni docenili jej kobiecą rękę. Siedzieli zrelaksowani, mimo że noc była upalna, a oni, oczywiście, mieli na sobie smokingi.

Rozmawiali o nieobecnych paniach. Z Simli dotarły pomyślne wieści: Wiciokrzewowy Dworek nie zawiódł oczekiwań, a na dworze panował chłód, więc pewnego wieczoru panie kazały nawet napalić! Nie dlatego, że warunki tego wymagały (jak szczerze wyznała pani Crawford), lecz dla samej przyjemności popatrzenia w ogień płonący w wielkim kominku.

- To akurat ostatnia z przyjemności, jakich nam tutaj potrzeba - skwitował major Minnies. Chusteczką otarł twarz z potu, mimo to jednak uśmiechnął się z zadowoleniem. Wzniósł kieliszek w stronę Olivii.

- Proponuję toast na cześć gospodyni, która postanowiła przejść razem z nami próbę ognia.

- Słusznie, słusznie - poparł go Crawford, także unosząc kieliszek. Douglas poszedł w ich ślady.

- Dajcie, panowie, spokój - mruknęła Olivia. Spojrzała na trzy rozpromienione twarze, po czym szybko spuściła oczy. Dawno nie czuła się otoczona takim podziwem i wdzięcznością.

Pili chłodne wino. Nad dachem zawisł księżyc, upodabniając dom do rekwizytu z teatryku cieni. Z wnętrza wyszła procesja służących z kolejnym daniem. Wokół unosił się za-

pach jaśminu. Z końca ogrodu, gdzie znajdowały się kwatery służby, nieustannie dochodziły przytłumione, monotonne odgłosy.

- A jak tam twoje plany, Minnies? - zapytał Crawford. - Czy zamierzasz nas porzucić dla chłodniejszego klimatu? - Major pokręcił przecząco głową i wówczas superintendent mruknął współczująco: - Nasz przyjaciel nie zaprzestał swoich knowań, prawda? Cóż za pech.

- O, już do tego przywykłem - odparł major Minnies dobrodusznie.

- Choć naturalnie wolałbym, żeby wybierał inną porę. Biedna Mary. Nie udało nam się wspólnie spędzić wakacji w Simli od - niech pomyślę - tak jest, od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Dwa lata temu wybuchła afera z Cabobpurami, no a w tym roku... - rozłożył ręce w geście sugerującym, że wszystkim zebrany wiadomo, co wyskoczyło w TYM roku. I oczywiście wiedzieli, aż nadto dobrze - z wyjątkiem Olivii.

- Czy nadal chodzi o nieszczęsny Dzień Powtórnych Zaślubin Męża? - zapytała nerwowo.

- Nie, droga pani - odparł major Minnies. - Tamto było i minęło. Tym razem obeszło się całkiem tanim kosztem: jedynie sześć osób zabitych i czterdzieści trzy ranne. Powinniśmy dziękować Bogu nawet za tak drobne łaski, amen. Zacznijmy się też modlić, aby udało się rozwiązać obecną aferę z bandytami bez konieczności stawiania spraw na ostrzu noża... Chociaż przyznaję, w tej chwili nie chciałbym się znajdować na miejscu tego młodzieńca.

- Jakiego młodzieńca? - zapytała Olivia. I zaraz nachyliła się przez stół w stronę męża: - Kochany, gdzie ty masz głowę, każ przynieść następną butelkę.

- Przepraszam, przepraszam, wybacz - Douglas odchylił się na krześle i skinął na majordomusa.

- Naszego przyjaciela - odparł tymczasem Minnies.

- Zdaje się, że rząd nie zamierza się z nim dłużej patyczkować, prawda? - wtrącił Crawford.

- W istocie. Bóg mi świadkiem, że staram się tonować moje raporty, ale - do diaska! - trudno zachować spokój, gdy się widzi, jak prawowity władca zmienia się w herszta bandytów.

- Herszta bandytów?! - wykrzyknęła Olivia. Zabrzmiało to dość emocjonalnie, zerknęła więc szybko na Douglasa. On jednak niczego nie zauważył, kipiał bowiem słusznym oburzeniem i całą uwagę koncentrował na majorze Minniesie.

- Oczywiście wszyscy od dawna wiemy, że nasz przyjaciel jest bankrutem - ciągnął major. - To nic nowego. Nowością natomiast jest fakt, że doprowadziwszy swoich poddanych do

skrajnej nędzy za pomocą mniej lub bardziej legalnych wymuszeń, teraz postanowił się odwołać do jeszcze brutalniejszych metod. Czyli, nie owijając w bawełnę, do pospolitego rozboju.

Major urwał. Potrzebował paru minut, aby nad sobą zapanować. Był autentycznie wzburzony. Pozostali biesiadnicy również pograżyli się w milczeniu. Jakiś ptak zbudził się nagle i głośno zaskrzeczał. Może przyśnił mu się wąż. A może podstępny gad rzeczywiście wśliznął się na drzewo.

- Zazdroszczę wam, zarządcom dystryktów - podjął major. - Macie do czynienia jedynie z wieśniakami i kupcami, a oni są... jakby to ująć... przewidywalni. I spolegliwi.

- Niektórzy z nich to całkiem poczciwe dusze - przyznał Crawford.

- W rzeczy samej - mruknął major.

Widać było, że znowu walczy z silnymi emocjami. Po chwili jednak odezwał się ponownie:

- Swego czasu doradzałem maharadży Dhung. Było to w tym okresie, gdy budował swój nowy pałac. Może go widzieliście? W każdym razie musieliście słyszeć to i owo, bo zrobiło się wokół tego pałacu wielkie halo. Miała to być, ni mniej, ni więcej, tylko współczesna wersja Wersalu. W rezultacie powstało odrażające horrendum - coś w rodzaju pieprzniczki wspartej na doryckich kolumnach... ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że gdy owo horrendum powstawało, dwukrotnie uderzył monsun, więc Dhung wraz z przyległymi dystryktami stanęło przed widmem głodu. Tymczasem maharadża był zbyt zaaferowany wznoszeniem swojej wiekopomnej siedziby, aby cokolwiek zauważyć, czy choćby wysłuchać naszych ostrzeżeń. Nieustannie konferował z ludźmi, których ściągnął z Europy w związku z budową: architektem, dekoratorem, a nawet - wyobraźcie sobie państwo - krawcem z Wiednia (zatrudnionym do szycia kotar) oraz mistrzynią pływacką, która miała zainaugurować otwarcie podziemnego basenu... Żeby w ogóle się z nim spotkać, trzeba było nieźle się nachodzić. A kiedy w końcu przedstawiłem mu bez ogródek, jak się mają sprawy, nazwał mnie „zbzikowanym sztywniakiem”. Uwielbiał podobne powiedzonka - rozumiecie państwo, chodził do Eton. „Jest pan zbzikowanym sztywniakiem, majorze”, stwierdził. A potem przybrał bardzo poważną minę, wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość stu pięćdziesięciu centymetrów i oświadczył: „Przykro mi to mówić, ale problem w tym, drogi przyjacielu, że jest pan niezdolny do wizjonerskiego, perspektywicznego myślenia”. Niestety, okazało się, że jednak jestem do tego zdolny - w każdym razie zdolniejszy od owego nadętego bubka - ponieważ na kraj spadła klęska głodu. Zapewne pamiętacie, w tysiąc dziewięćset dwunastym roku.

- Niewyobrażalne nieszczęście - przyznał Crawford.

- Jedno można tylko powiedzieć na usprawiedliwienie maharadży - podjął major Minnies. - Był niekwestionowanym głupcem. Nie da się jednak usprawiedliwić ludzi, którzy głupcami nie są. Jak nasz przyjaciel. Gdy widzi się, że ktoś tak hojnie obdarzony przez naturę urodą, inteligencją, przymiotami osobowości schodzi na psy... Cóż się stało, droga pani? Zamierza nas pani opuścić?

- Żeby mogli panowie w spokoju rozkoszować się brandy i cygarami.

Wszyscy trzej mężczyźni poderwali się z miejsc i odprowadzali Olivię wzrokiem, gdy szła przez trawnik zalany blaskiem księżyca. Weszła do domu, ale nie udała się do salonu, gdzie służba szykowała dla niej kawę. Stała na tarasie i w zamyśleniu oparła się o barierkę. Wyraźnie widziała w ogrodzie trzech mężczyzn siedzących za stołem. Teraz, gdy jej już z nimi nie było, mogli porozmawiać swobodniej o nababie i jego tajemniczych knowaniach. Olivia czuła się dziwnie, bardzo dziwnie. Przeniosła wzrok ponad tableau przedstawiające trzech angielskich dżentelmenów w smokingach, palących cygara, oraz służących, którzy krążyli wokół stołu z karafkami. Zobaczyła dom Saundersów w księżycowej poświacie, iglicę małego kościoła oraz nagrobki na cmentarzu. A potem spojrzała jeszcze dalej na szeroką równinę, teraz tak dobrze jej znaną, na spaloną żarem ziemię, dzielącą ją od Khatm.

*12 czerwca.*

Zacząłam otrzymywać listy od Chida. Pierwszy z nich bardzo mnie zdziwił, ponieważ Chid nie wyglądał na człowieka, który ogląda się za siebie i zachowuje w pamięci napotkanych po drodze ludzi. W nagłówku, zamiast mojego imienia, widniało: *Jai Shiva Shankar! Hari Om!* Potem Chid napisał, co następuje: „Świetlista aura otaczająca ciało kontroluje nasz umysł. Prawdziwie klarowny, niezaburzony umysł jest miejscem, gdzie zamieszkuje idealne SZCZĘŚCIE. A więc prawdziwie klarowny, niezaburzony umysł jest Rajem”. Niemal cały list był poświęcony tego typu wywodom, tylko gdzieś w jego połowie wyczytałam: „Jesteśmy teraz w Y Dharmsala. Byłoby to prawdziwe królestwo czystości duchowej, gdyby nie kapłan, który próbuje nas oszukać i okraść”. Na zakończenie Chid napisał: „Zapomniałem swojego kubka, prześlij go na adres: świątynia Y Sri Kriszna Dharmsala; ale koniecznie ekspresem POLECONYM”.

Jego kolejne listy wyglądały podobnie: mnóstwo filozofowania, gdzieś w połowie dwuzdaniowy opis zdarzeń (zazwyczaj skarga na próby „oszustwa i kradzieży”), a na zakończenie

jakieś żądanie. Te interesujące dokumenty trzymam na moim niskim biurczku obok listów Olivii. Muszę przyznać, że trudno o bardziej osobliwe towarzystwo. Charakter pisma Olivii jest czytelny i elegancki, mimo że z pewnością pisała szybko, aby pochwycić ulotne myśli i nastrój chwili. Wszystkie jej listy są adresowane do Marcii, jednak niosą tak głęboko osobiste treści, że sprawiają wrażenie dialogu wewnętrznego. Listy Chida są całkowicie odpersonalizowane, skreślone byle jak na bezdusznych formularzach pocztowych, które - wraz z poplamionymi i nieczytelnymi pocztówkami - stanowią lwią część przesyłek przetrzucanych z jednego krańca Indii na drugi. Zawsze sprawiają takie wrażenie, jakby przebyły pół świata, przeszły przez setki rąk i zaabsorbowały ślady wszystkich palców. Listy Olivii, liczące sobie ponad pół wieku, wyglądają, jakby napisano je wczoraj. Owszem, atrament jest dość wyblakły, ale być może wybrała jaśniejszy odcień, aby dobrze się komponował z liliowym kolorem papeterii o woni bzu. Ta woń jest wyczuwalna po dziś dzień. Natomiast wymięte listy Chida są przesiąknięte zapachami typowymi dla Indii: korzennych przypraw, uryny i betelu.

Inder Lal jest bardzo zainteresowany wiadomościami od Chida. Przychodzi do mnie wieczorami i prosi, żebym czytała te listy. Podoba mu się to całe filozofowanie. Twierdzi, że Chid ma bardzo starą duszę, która przeszła wiele inkarnacji. Najczęściej odradzała się w Indiach, dlatego Chid powrócił tutaj w obecnym życiu. Inder Lal natomiast zupełnie nie może pojąć, co mnie tutaj trzyma. Nie wydaje mu się, żebym była hinduską w którymś z moich poprzednich wcieleń, więc dlaczego właściwie przyjechałam?

Próbuję to wytłumaczyć, najlepiej jak umiem. Mówię, że dużo osób zmęczył materializm zachodniego świata, i nawet jeżeli nie jesteśmy szczególnie zainteresowani duchowym przesłaniem Wschodu, przyjeżdżamy tu w nadziei na odnalezienie prostego, bliskiego naturze życia. Ale takie wyjaśnienie rani uczucia Indera Lala. Uważa je za kpinę. Pyta, dlaczego ludzie, którzy mają wszystko - samochody i lodówki - przyjeżdżają do kraju, w którym nie znajdą niczego prócz biedy? Twierdzi, że wstyd mu przede mną z powodu warunków, w jakich żyje. A kiedy próbuję protestować, jeszcze bardziej się nakręca. Utrzymuje, że ma świadomość, iż wedle zachodnich standardów jego warunki bytowe oraz sposób odżywiania są nędzne i prymitywne. Ba, on sam jest prymitywny, ponieważ nie myśli naukowymi kategoriami i nie zna reguł rządzących współczesnym światem. Owszem, zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest zacofany pod wieloma względami, więc rozumie, że mam prawo się z niego naśmiewać. Czemu miałabym tego nie robić?! - wykrzykuje, nie dopuszczając mnie do głosu. Jego samego często ogarnia pusty śmiech, gdy patrzy na to, jak żyją ludzie w Indiach i jak bardzo są zabobonni. Kto by się nie

śmiał na taki widok, pyta, wskazując na jednego z lokalnych żebraków, który akurat znalazł się pod moim oknem - ten nastoletni chłopiec nie może stanąć o własnych siłach, więc pełza, szorując po piachu bezwładną dolną częścią ciała. Kto by się nie śmiał na taki widok, powtarza Inder Lal.

Przy okazji podobnych rozmów powracam myślami do Karima i Kitty, których odwiedziłam w Londynie tuż przed wyjazdem do Indii. Karim jest siostrzeńcem i spadkobiercą nababa; jego żona, Kitty, także pochodzi z rodu jakichś indyjskich władców (a raczej eks władców). Gdy zadzwoniłam do Karima i powiedziałam, że wyjeżdżam do Indii, by na miejscu badać historię Khatm, od razu zaprosił mnie do swojego apartamentu w Knightsbridge. I osobiście otworzył drzwi.

- Cześć, jak się masz? - rzucił na powitanie.

Ujrzałam wyjątkowo przystojnego mężczyznę, ubranego kosztownie według najnowszej londyńskiej mody. Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy w jakikolwiek sposób przypomina nababa i doszłam do wniosku, że to mało prawdopodobne. Karim jest bardzo smukły, ma delikatne rysy i długie, kręcone włosy; natomiast nabab w kwiecie wieku był ponoć mężczyzną silnie zbudowanym o ostrej w rysach, niemal jastrzębiej twarzy.

Karim wprowadził mnie do pokoju pełnego ludzi. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakieś okolicznościowe przyjęcie, ale potem się okazało, że wszyscy wpadli z niezobowiązującą wizytą. Niewątpliwie byli reprezentantami elity - tej samej kasty co Karim i Kitty. Większość siedziała na podłodze upstrzonej poduszkami i kobiercami. Wszystko pochodziło z Indii - łącznie z zebraniem towarzystwem. Z magnetofonu płynęła tradycyjna muzyka Indii Mogołów; nikt jej nie słuchał, ale stanowiła dobre tło dla wysokich, nieco ptasich głosów gości. Pani domu leżała z podwiniętymi nogami na czerwono-złotej sofie, która swego czasu była huśtawką i została umocowana do sufitu długimi, złocistymi łańcuchami. Kitty również miała na sobie kosztowny, modny strój - spodnie oraz jedwabną koszulową bluzkę - jednak poruszała się w nim z takim samym wdziękiem jak Hinduski odziane w sari. Być może brało się to z tego, że odznaczała się bardzo smukłą szyją, szczupłymi ramionami i cienką talią, a przy tym zaskakująco pełnymi biodrami. Ona również rzuciła mi „cześć” na powitanie, po czym powiedziała:

- Siadaj gdzie bądź.

Nigdy się nie dowiedziałam, czy goście Karima i Kitty mieszkali na stałe w Londynie, czy tylko przyjechali z wizytą do Anglii. Tak czy inaczej musieli regularnie kursować pomiędzy kontynentami, bo chwilami nie mogłam się zorientować, czy mówią o wydarzeniach, do



których doszło w Bombaju czy raczej w Londynie. Wszyscy byli ogarnięci gorączką aukcyjną i ze znanstwem rozprawiali o tym, jakie rodowe skarby można wywieźć z Indii w podręcznym bagażu, a jakie trzeba wydestakować innymi kanałami.

Poza mną było tam jeszcze dwoje Anglików, małżeństwo Keith i Doreen. Wyróżniali się wzrostem i dużo mocniejszą budową; zdawali się grubiej ciosani od pozostałych gości. Ilekroć rozmowa schodziła na rodzinne skarby, pilnie - powiedziałabym nawet, że chciwie - nadstawiali ucha. Dowiedziałam się, że są projektantami i zamierzają produkować ekskluzywną odzież szytą wyłącznie z indyjskich tkanin. Założyli właśnie jakąś spółkę z Karimem i Kitty: Karim miał zadbać o odpowiednie kontakty w Indiach, Kitty natomiast - zasilić zespół projektantów, ponieważ, wedle słów Keitha i Doreen, była wyjątkowo kreatywna. Wprost nieprawdopodobnie twórcza.

Karim przysiadł na poduszce u moich stóp. Spojrzał na mnie pięknymi oczami i poprosił:  
- Opowiedz nam o swoich badaniach.

Wyjawiłam wówczas, że jestem szczególnie zainteresowana osobą jego wuja, poprzedniego nababa. W odpowiedzi usłyszałam:

- To był dopiero kawał niegrzecznego chłopca.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, po czym stwierdzili, że w owych czasach Indie wydały na świat mnóstwo takich niegrzecznych chłopców. I na wrywki zaczęli opowiadać rozmaite historie. Okazało się, że każdy miał jakichś przodków zamieszanych w skandale w londyńskich hotelach, bądź wydalonych z Anglii za odrażające postęпки czy też beztrasko trwoniących rodzinną fortunę. Wielu z owych „królów życia” zmarło na skutek nadużywania alkoholu lub narkotyków, kilku zeszło z tego świata za sprawą trucizny zaaplikowanej przez przyrodnych braci z nieprawego łóża.

We wszystkich tych opowieściach przede wszystkim uderzało jedno - silna nuta nostalgii.

- Mówcie, co chcecie - padło na koniec - ale owe czasy miały swój niezaprzeczalny urok.

Ta uwaga skierowała dyskusję na temat czasów współczesnych, niestety całkowicie pozbawionych jakiegokolwiek czaru. Naturalnie Indie, były krajem ojczystym, w którym jednak nie sposób było żyć, dlatego wszyscy tu zebrani mieszkali głównie za granicą. Niemniej jednak każdy bardzo chciał pracować na rzecz Indii i z pewnością by to robił, gdyby nie bezkompromisowość obecnego rządu. Jedna z dziewcząt opowiadała, jak jej rodzina próbowała przekształcić rodowy pałac w hotel. Budowla została wzniesiona w wyjątkowo malowniczej okolicy.

cy, w pobliżu wielu turystycznych atrakcji, więc kilku zachodnich inwestorów było bardzo zainteresowanych udziałem w hotelowym przedsięwzięciu. Rzecz w tym, że rząd indyjski żąda zdobycia licencji dosłownie na wszystko, a jednocześnie odmawia ich wydania. Pałac był stary, wybudowany w początkach dziewiętnastego wieku, wymagał więc kompleksowej modernizacji. Aby go przystosować do wymogów bogatych turystów, należało by na przykład importować pełne wyposażenie łazienek. Ostatecznie trudno oczekiwać, że ludzie z Zachodu zadowolą się kloaczną dziurą! Ale konia z rzędem temu, kto zdoła o tym przekonać indyjskiego ministra, który zna tylko jedno słowo - „Nie”. W rezultacie zachodni inwestorzy zrazili się i wycofali. Pusty pałac zaczął obracać się w ruinę, dach groził zawaleniem, więc rodzina nie miała innego wyjścia, jak tylko wyprzedać wszystkie ruchomości na zagranicznych aukcjach. W ich posiadaniu znajdowało się kilka bezcennych dzieł sztuki - między innymi złoty rydwan, w którym raz do roku obwożono w procesji posąg boga Kriszny. Owszem, osiągnął zawrotną cenę, ale aż szkoda mówić, ilu trzeba było opłacić po drodze pośredników, nie wspominając już o ludziach, którzy zorganizowali wywóz zabytku z Indii.

Karim wyznał, że również wyzbył się większości cennych przedmiotów z Khatm. Gdyby tam pozostały, padłyby łupem białych mrówek i pleśni. W posiadaniu rodziny znajdowała się imponująca kolekcja miniatur, w dawnych czasach jednak nikt nie zwracał sobie nimi głowy. Nigdy nie zostały skatalogowane, leżały poowijane w prześcieradła w podziemiach pałacu. Szczęśliwie większość udało się sprzedać zagranicznym koneserom, chociaż kilka Karim zatrzymał dla siebie - nie tyle ze względu na wartość materialną, ile na sentymeny rodzinne.

- Chodź, to ci je pokażę.

Poderwał się z wdziękiem, rozprostował długie nogi i zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju. Miałam wrażenie, że znalazłam się w kolejnym salonie - uroczym, dość egzotycznym w wystroju, zapełnionym dywanami i misternie malowanymi meblami - ale Karim oznajmił, że to zapuszczona nora, w której niekiedy szukają wraz z Kitty relaksu.

To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłam pałac w Khatm - obrazek oprawiony w złotą ramkę, na tle czerwonej tapety. Wyglądał inaczej niż obecnie, ale niewykluczone, że był to wynik stylizacji artysty. Na obrazie wszystko skrzyło się feerią barw - kwiaty w ogrodzie i krople wody tryskającej z fontanny.

Przedstawiono tam również książęta i księżniczki, oddających się rozmaitym frywolnym uciechom. Książęta wyglądali jak Karim, księżniczki - jak Kitty. Wszyscy byli obwieszani imponującą ilością biżuterii. Dowiedziałam się, że większość klejnotów rodowych wyparowała z

Khatm już dawno temu; ściśle rzecz biorąc, wyjaśnił Karim z uśmiechem, to najprawdopodobniej nabab, którym jestem tak żywo zainteresowana, był odpowiedzialny za ich zniknięcie. Facet nieustannie potrzebował pieniędzy i nie przebierał w środkach, żeby je zdobyć. Wiódł burzliwe życie; był bohaterem rozlicznych skandali - w jeden z nich (może o tym słyszałam?) była nawet zamieszana pewna Angielka, żona jakiegoś wysokiego urzędnika administracji brytyjskiej.

- Owszem, coś mi się obilo o uszy - mruknełam i przesłam do następnej miniatury.

Wedle słów Karima przedstawiała założyciela rodu, Amanullaha Khana (tego samego, który szukał schronienia u Baby Firdausa). Na obrazie prezentował się bardzo szacownie - był w turbanie i kwiecistej szacie, miał długie, obwisłe wąsy i palił nargile. Karim wyjaśnił, że portret wykonano pod koniec życia Amanullaha, gdy już jego prawa do podbitych ziem zostały usankcjonowane traktatem z Kompanią Wschodnioindyjską. Przedtem praktycznie nie schodził z konia i nie miał nic prócz szabli oraz bandy zabijaków, równie okrutnych jak on sam.

- To dopiero była postać! - powiedział Karim z takim samym podziwem w głosie, z jakim zawsze wspominał przodka nabab. - Niski, przysadzisty, o nogach wygiętych w pałąk na skutek życia w siodle. Miał tak wybuchowy charakter, że wszyscy drżeli przed nim ze strachu. Jak sobie popił, stawał się bardzo agresywny i pewnego razu, gdy kompan od kielicha nie zgodził się z jego zdaniem, tak się wściekł, że wyjął szablę, po czym odrąbał nieszczęśnikowi ramię. Bez słowa, jednym zamachem. Coś niesamowitego, prawda? Jest bohaterem wielu legend, a prości ludzie wciąż śpiewają o nim pieśni. Moja rodzina osiadła w Khatm w tysiąc osiemset siedemnastym roku, zostaliśmy wówczas nababami i gdybym kiedykolwiek zechciał kandydować do indyjskiego parlamentu, natychmiast przywrócono by mi tytuł. Czasami myślę, że może tak właśnie powinienem postąpić - ostatecznie Indie to moja ojczyzna, której chciałbym służyć - ale wiesz, ilekroć pojedziemy do Khatm, tamtejsza woda przyprawia Kitty o rozstrój żołądka. Oczywiście w okolicy nie uświadczy się ani jednego lekarza z prawdziwego zdarzenia, nie mamy więc wyjścia, musimy jak najszybciej wracać do hotelu w Bombaju. Teraz poważnie rozważamy kupno apartamentu w tym mieście ze względu na interes, który założyliśmy z Keithem i Doreen. Kitty pilnie przestudiowała starożytne malarstwo indyjskie, doprawdy zachwycające, i ma zamiar czerpać z niego inspirację do swoich projektów, więc - jak widzisz - poprzez naszą działalność importowo-eksportową będziemy jednak służyć naszemu krajowi.

Przeniósł na mnie spojrzenie pięknych oczu, w których czaiła się dziwna tęsknota (podobnie jak u Indera Lala, co odkryłam później). Po owej wizycie już nigdy więcej się nie spo-

tkaliśmy, ale tu, w Indiach, czasem wracam myślami do Karima, i jakoś nie mogę go sobie wyobrazić ani w Khatm, ani w Satipurze, ani nawet w Bombaju.

1923

Od pewnego czasu po Olivie przyjeżdżał tylko sam kierowca, ponieważ Harry zapadł na zdrowiu. Utrzymywał, że nie jest w stanie znieść panujących upałów oraz dań przyrządzanych w kuchni nababa. Często dokuczały mu problemy gastryczne, mimo że od pewnego czasu nabab osobiście układał dla niego dietę, a wszystko, co podawano Harry'emu, mógł szykować jedynie kucharz, który kształcił się w Europie.

Harry większość czasu spędzał teraz w swoich pokojach i tam też odwiedzała go Olivia. Ale jej towarzystwo nie poprawiało mu nastroju. Pewnego razu rzucił nawet szorstko:

- Douglas z pewnością nie wie, że przyjeżdżasz do Khatm. - I zanim zdążyła ochłonąć, dodał: - Czas, abys zaprzestała tych wizyt. Nie powinnaś tu przebywać.

- To samo Douglas mówi o tobie - odparła. - Tymczasem ja na własne oczy widzę, że nie dzieje ci się tu krzywda.

Strzeliła oczami na wszystkie strony, żeby dobitniej dać do zrozumienia, co miała na myśli. Nabab umieścił Harry'ego w najbardziej ekskluzywnym apartamencie dla gości, złożonym z kilku marmurowych sal o ażurowych oknach wychodzących na ogród różany i fontanny. Do wszystkich pomieszczeń wstawiono piękne, kosztowne meble sprowadzone z Europy. Tylko obrazy na ścianach były indyjskie. Pochodziły z należącej do rodziny nababa kolekcji miniatur i przedstawiały głównie sceny erotyczne - książąt dokonujących buduarowych podbojów, księżniczki pobudzane do małżeńskich igraszek.

- Czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego nie bywasz zapraszana na spotkania z *begum* i jej damami dworu?

- Już kiedyś się z nimi spotkałam, dziękuję uprzejmie - zaśmiała się sztucznie. - To było ciężkie przeżycie.

- Tak czy inaczej, to afront.

- Wobec kogo?

- Wobec ciebie.

Zapadło milczenie. Po chwili Harry na nowo podjął temat:

- Posprzeczałem się z nim o to... o ciebie. Zapytałem go prosto z mostu...

- O co?

- Zapytałem: „Dlaczego nie zabierzesz Olivii - pani Rivers - na spotkanie ze swoją matką?”. A on...

- Tak?

- Och - mruknął Harry - sama wiesz, jak się zachowuje, jeżeli nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie. Wybuchła śmiechem, a jeżeli nalegasz, sprawia, że wychodzisz na kabotyńca albo głupka. Robi to po mistrzowsku.

- Ja wcale nie mam ochoty na spotkanie z *begum* - zapewniła go Olivia, bawiąc się bransoletką. - Przyjeżdżam, żeby się zobaczyć z tobą. I z nim, oczywiście. Przecież jesteście moimi przyjaciółmi. Natomiast z *begum* czy innymi pałacowymi kobietami nigdy nie mogłabym się zaprzyjaźnić... Dzieli nas bariera nie do przebycia, nie mówimy w żadnym wspólnym języku... A wizyty w pałacu sprawiają mi przyjemność. Lubię wasze towarzystwo. Dobrze się razem bawimy. Nie patrz na mnie takim wzrokiem, Harry. Zachowujesz się teraz tak, jak wszyscy Brytyjczycy z Satipuru: dajesz mi do zrozumienia, że niczego nie rozumiem, bo nie znam Indii. To prawda. Nie znam. Ale jaki to ma związek z moimi wizytami w Khatm? Nawet w Indiach ludzie mogą się ze sobą przyjaźnić, czyż nie?

Wyrzuciła to wszystko z siebie w nerwowym pośpiechu. Nie oczekiwała żadnego komentarza, po prostu przedstawiła własne stanowisko, które uważała za słuszne.

Nurtowało ją jednak pewne pytanie i chciała na nie usłyszeć odpowiedź.

- Co to za historia z tymi bandytami, Harry? - Odpowiedziało jej milczenie. - Musisz mi powiedzieć.

Westchnął ciężko.

- Szczerze? Nie mam pojęcia, Olivio. Ostatnio dużo się tutaj dzieje, choć ja wolę o niczym nie wiedzieć. Rety, ależ źle się czuję. Po prostu fatalnie.

- Żołądek tak ci dokucza?

- Żołądek też. Jednak najgorszy jest ten przeklęty, przeklęty upał.

- Tutaj jest przecież chłodno. Bardzo przyjemnie.

- Ale na zewnątrz, na dworze! - Zacisnęła powieki.

Olivia podeszła do okna. Z nieba oczywiście lał się słoneczny żar - złota kopuła meczetu nababa błyszczała oślepiająco - jednak trawniki były soczyście zielone, a fontanny tryskały strumieniami wody, rozszczepiającymi światło na miniaturowe tęcze. W oddali, poza perłowo-szarym murem, ciągnęły się żalosne rudery, a za nimi jałowa, spalona ziemia - po co jednak sięgać wzrokiem aż tak daleko?

Do pokoju po cichu, na palcach wsunął się nabab.

- Nie przeszkadzam? Powiedźcie szczerze. Jeżeli tak, to natychmiast znikam. - Spojrzał z z troskaniem na Harry'ego, a potem zwrócił się do Olivii: - No i jak go znajdujesz? Co o tym wszystkim sądzisz? Ściągnąłem do niego medyków, ale Harry nie chce mieć nic do czynienia z indyjskimi lekarzami. Uważa, że są... jak to ich nazwałeś, przyjacielu?

- Konowałami.

- Nonsens - stwierdził z uśmiechem nabab. - Doktor Puri z Chhatra Bazaar ukończył Ludhiana College. Jest wykwalifikowanym specjalistą...

- To najzwyczajniejszy znachor - odparł Harry.

- Nonsens. - Nabab nie przestawał się uśmiechać. Przysiadł na skraju sofa, na której leżał Harry. - Zależy nam, żebyś szybko, jak najszybciej doszedł do siebie. Tęsknimy za twoim towarzystwem. Bez ciebie świat jest bardziej ponury, prawda, Olivio? - Obrócił się w jej stronę, jakby ją także chciał otoczyć swoją troską i uwielbieniem.

- Zapytała mnie o bandytów - oznajmił Harry.

Ponieważ nabab akurat na nią patrzył, Olivia dostrzegła w jego oczach groźny, mroczny cień, który w innym wypadku zapewne zdołałby ukryć.

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się badawczo. A potem odwrócił twarz i powiedział miękkiem głosem:

- Mam nadzieję, Olivio, że gdy jeszcze kiedykolwiek będziesz chciała się czegoś dowiedzieć - jeśli na przykład coś wyda ci się dziwne lub niezrozumiałe - nie będziesz szukać odpowiedzi u Harry'ego, czy też u jakichś innych osób, tylko zwrócisz się bezpośrednio do mnie.

- Pochylił się do przodu. - Kto z tobą rozmawiał o bandytach? I co ci dokładnie powiedział? Nie, nie. Muszę wiedzieć. Jeżeli nie będę tego wiedział, jak zdołam się obronić przed oszczerstwami nieżyczliwych ludzi? Musisz dać mi szansę.

W tym momencie włączył się Harry:

- O co ty właściwie ją prosisz? O wiadomości z Dzielnicy Rządowej? Chcesz, żeby została twoim szpiegiem?

Nabab odchylił się na oparcie sofa. Spuścił oczy, jakby ogarnięty nagłym wstydem. Po czym powiedział pełnym pokory głosem:

- Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o tak niecne zamiary, Olivio.

- Ależ skąd! - wykrzyknęła pospiesznie. - Cóż to w ogóle za pomysł - dorzuciła i posłała Harry'emu karcące spojrzenie.



W niedzielne wieczory Douglas i Olivia zazwyczaj przechadzali się po cmentarzu. Trzymali się pod rękę i wędrowali po alejkach pomiędzy mogiłami, zatrzymując się gdzieś, by przeczytać nagrobne epitafia. Robili to tak często, że zdążyli już dobrze poznać nazwiska leżących tu ludzi. Olivia nawet zaczęła nazywać te niedzielne przechadzki towarzyskimi wizytami, co w Douglasie budziło wyrzuty sumienia. Było mu bardzo przykro, że jedyną rozrywką, jaką ma do zaoferowania żonie, jest spacer po cmentarzu.

- A tymczasem Marcia cieszy się życiem w swawolnym Paryżu - zauważył ponuro.

- Głuptasie! - Przyłgnęła mocniej do ramienia męża. - Naprawdę myślisz, że bym się z nią zamieniła?

Stali właśnie nad grobem młodego porucznika - E. A. Edwardsa z 54 regimentu - który wraz z pięcioma innymi oficerami poległ na czele swojego oddziału jedenastego maja 1857 roku. Miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat. Stał się szczególnie bliski sercu Olivii, ponieważ bardzo ją poruszała inskrypcja na jego nagrobku: „Żołnierz zawsze gotów ruszyć tam, gdzie wzywa Obowiązek, układny syn, czuły i wyrozumiały ojciec, ale nade wszystko cudowny, najdroższy mąż”...

- Jak i ty, ukochany - powiedziała i po raz kolejny przytuliła się do jego ramienia. - Tyle że jeszcze nie zostałeś czułym i wyrozumiałym ojcem - dodała po namyśle.

- Ale nim będę - obiecał.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię.

A jednak wciąż nie zachodziła w ciążę. I nawet już się zaczęła martwić z tego powodu; czyżby coś było z nimi nie w porządku? Nie. To wykluczone. Olivia święcie wierzyła, że takiej parze jak ona i Douglas pisane jest posiadanie potomstwa, zapoczątkowanie wspaniałej linii rodowej. Douglas także nie miał co do tego wątpliwości. Może więc problem tkwił w psychice - może w jej podświadomości zaległ się strach na widok grobów tych wszystkich maleństw zabranych przez ospę, cholere, gorączkę jelitową.

Przyniosła kwiaty dla dziecka Saundersów. Uklękła, żeby je złożyć u stóp włoskiego anioła. Kiedy się podniosła, twarz jej promieniała. Chwyciła Douglasa za rękę i wyszeptała mu do ucha:

- Wypowiedziałam życzenie... takie samo, jakie wypowiadają kobiety przy kapliczce Baby Firdausa w Dzień Powtórnych Zaślubin Męża. - Uśmiechnęli się do siebie, ale Olivia szybko spoważniała. - Douglasie, o co właściwie chodzi z tymi bandytami?

- Na obrzeżach Khatm grasuje gang, który terroryzuje okoliczne wioski. Jego członkowie grabią bezlitośnie wieśniaków, a nawet posuwają się do mordów.

- To straszne - przyznała. - Ale co on ma do tego?

- Nasz przyjaciel? Powszechnie się sądzi, że jest w zмовie z bandytami: udziela im ochrony w zamian za udział w łupach.

- To niemożliwe!

Douglasa rozbawiła naiwność żony. Ruszyli dalej główną aleją. Douglas wskazał Olivii jeszcze kilka innych grobów z okresu Rebelii, lecz ona wciąż była myślami przy nababie.

- Przecież jest władcą - podjęła po chwili. - Nie bratałby się z pospolitymi rabusiami. Ostatecznie to książę! - Douglas ponownie wybuchnął śmiechem i wówczas dorzuciła urażonym tonem: - Nadano mu nawet jakiś angielski tytuł.

- O, tak... tytułów mu nie brakuje... Popatrz, tu leży kolejny oficer, który poległ jedenastego maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku. Porucznik Peter John Lisle z Clifton w Bristolu. Musiał zginąć w tej samej potyczce, co porucznik Edwards. W tych okolicach także rozgorzały walki za sprawą radży Satipuru, który przyłączył się do buntowników - za co zresztą drogo zapłacił. Natomiast zupełnie inaczej potoczyły się losy jego sąsiada z Khatm, pradziada naszego przyjaciela, jako że pozostał „lojalny” - oczywiście po tym, gdy dobrze wy badał, której ze stron opłaca się okazać lojalność. Wówczas nadano mu angielski tytuł i różne inne przywileje. Cwany lis.

Douglas przyklęknął i zaczął wrywać chwasty z grobu porucznika Lisle'a. Było ich bardzo niewiele, ponieważ cmentarz utrzymywano w nienagannym stanie. Zatrudniono na stałe stróża i pan Crawford osobiście dokonywał regularnych inspekcji, by mieć pewność, że zmarłym Anglikom okazywany jest należny szacunek.

- Pomijając już wszystko inne - odezwała się Olivia, spoglądając na pielącego męża - po co miałyby wchodzić w jakiegokolwiek konszachty z bandytami? To niedorzeczne. Jest przecież bogatym człowiekiem... Przestań, proszę.

- Ale tu jeszcze zostało zielsko.

- Och, na Boga! Chodźmy stąd. To miejsce mnie przygnębia.

Douglas wstał i otrzepał spodnie z pyłu. Teraz on sprawiał wrażenie urażonego.

- Zawsze powtarzałaś, że lubisz tu przychodzić.

- Ze względu na drzewa.

Odwróciła się i zaczęła oddalać wąską ścieżką. Nie chciała, żeby Douglas zauważył, jak bardzo ją irytuje. On i ci wszyscy polegli bohaterowie! Ale miała jeszcze kilka pytań, dlatego w końcu przystanęła i poczekała, aż mąż do niej dołączy.

- Kim są ci bandyci?

- Nie chcę o tym rozmawiać - odrzekł Douglas z wyniosłym chłodem. Patrzył prosto przed siebie jak żołnierz na paradzie i ruszył wprost ku wyjściu.

Tym razem to Olivia się ociągała. Znowu zatrzymała się przy grobie synka Saundersów i przyklękła, żeby poprawić kwiaty. Cienie się wydłużały, nadciągał zmrok. Smutek wypełnił jej serce. Nie miała pojęcia czemu: może dlatego, że nie urodziła dziecka? Pomyślała, że gdyby miała synka - krzepkiego, niebieskookiego chłopczyka - wszystko idealnie by się układało. Odzyskałaby spokój ducha, silniej związała się z mężem i zaczęła dzielić bez zastrzeżeń jego poglądy na życie.

- Czas wracać - w głosie Douglasa pobrzmiwało rozdrażnienie. - Już zmierzcha.

Podniosła się posłusznie, lecz niemal natychmiast - zupełnie nie wiedząc dlaczego - opadła z powrotem na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Nad jej głową anioł połyskiwał bielą marmuru. W gałęziach drzew spóźnione ptaki mościły się do snu - poza tym panowała zupełna cisza. Przerwał ją chrzęst kroków Douglasa powracającego żwirową alejką.

- Przepraszam cię - powiedziała Olivia.

Wydmuchała nos w chusteczkę, wytarła z oczu łzy. Zaczęła się podnosić, mąż jednak nie podał jej ramienia, tylko stał sztywno wyprostowany, milczący i daleki. Spojrzała mu w twarz - ledwie dostrzegalną w gęstniejącym mroku, majaczącą jaśniejszą plamą podobnie jak nagrobny anioł.

- Powinnaś była pojechać do Simli - stwierdził oschle. - Ten upał wyprowadza cię z równowagi.

- Tak, to zapewne sprawa upału - przyznała, ochoczo podchwytyjąc wymówkę.

\*

*15 czerwca.*

Wśród miejscowych żebraków jest pewna bardzo stara kobieta - przynajmniej wygląda na bardzo starą, niewykluczone jednak, że to skutek życia na dnie nędzy. Nie chodzi regularnie po prośbie, tylko gdy jest głodna, staje na ulicy z wyciągniętą ręką. Nigdy nie zauważyłam, by z kimkolwiek rozmawiała. Chociaż przebywa na stałe w mieście, nie ma chyba żadnego własnego kąta czy upatrzonego rewiru. Czasami widuję ją w Dzielnicy Rządowej, innym razem

przy królewskich grobowcach albo na bazarze i przyległych uliczkach. Krąży po Satipurze, powłócząc nogami, odziana w łachmany, a kiedy ogarnia ją zmęczenie, kuca lub kładzie się tam, gdzie stoi, i przechodnie muszą obchodzić ją dookoła.

Jednakże od jakiegoś czasu zaczęłam widywać starą żebraczkę w jednym i tym samym miejscu. Za naszym domem ciągnie się wąska ulica, przy której mieszka pracz (notabene właśnie przy tej ulicy widziałam tańczących eunuchów). Kilka dni temu zaniiosłam do niego naręcze ubrań i chyba widziałam tę kobietę leżącą nieopodal, chociaż nie dałabym za to głowy. Problem z żebrakami polega na tym, że szybko się przywyka do ich widoku i przestaje świadomie rejestrować ich obecność. Niemniej jednak z pewnością widziałam tę żebraczkę, kiedy poszłam odebrać gotowe pranie. I coś w sposobie, w jaki leżała, przykuło moją uwagę.

Uliczka pracza jest zakończona niewielkim poletkiem, gdzie w prowizorycznej szopie mieszka wieśniak do spółki z dwoma bawołami. Tuż obok szopy władze miasta wybudowały betonowy śmietnik, większość ludzi jednak nie widzi powodu, by wrzucać odpady do środka, więc ich sterta rośnie obok betonowego murku. I właśnie na skraju tej sterty zobaczyłam leżącą żebraczkę. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje, ale szybko odrzuciłam tę myśl, ponieważ żaden z mieszkańców uliczki nie zwracał na kobietę uwagi. Podobnie zresztą jak zwierzęta myszkuje w odpadach. Jedyne muchy wirowały nad nią gęstą chmurą.

Nie zastałam pracza w domu, natomiast jego żona była tak zajęta codziennymi pracami domowymi, a do tego mieszałam długą tyczką w kotle z gotującymi się ubraniami, że nie miała czasu wysłuchać mojej opowieści o żebraczce. Nie miał go też węglarz, mieszkający za ścianą, oraz właściciel bawołów. Gdy pytałam, czy kobieta długo leży przy śmietniku, wrzuszali ramionami i mamrotali coś niejasno w odpowiedzi. Wówczas zaświtało mi, że żebraczka rzeczywiście umarła, tyle że nikogo nie obchodziło, co stanie się z jej ciałem. W takiej sytuacji ja tym bardziej nie powinnam zawracać sobie głowy, chwyciłam więc pranie pod pachę i poszłam do domu.

W jakiś czas później zaczęłam się zastanawiać, co właściwie we mnie wstąpiło: jak mogłam nie podejść do tej kobiety i przynajmniej nie sprawdzić, czy jeszcze żyje? Przedstawiłam całą sprawę Inderowi Lalowi, ale spieszył się do pracy; włożył lekki lunch do koszyka przymocowanego do kierownicy roweru i popedałował przed siebie. Tak mi jednak zależało, aby obejrzał ze mną żebraczkę, że go dogoniłam. W końcu niechętnie, po długim ociąganiu, zgodził się wjechać w uliczkę za domem. Od razu zauważyłam, że kobieta wciąż leży w tym samym miejscu. Przez chwilę obserwowaliśmy ją z oddalenia.

- Czy ona żyje? - zapytałam.

Inder Lal nie wiedział i nie kwapił się do bliższych oględzin; poza wszystkim nie mógł się spóźnić do biura, musiał ruszać w drogę. Ja tymczasem postanowiłam zbadać sytuację. Postąpiłam kilka kroków naprzód.

- Nie! Nie rób tego! - wykrzyknął Inder Lal i zaczął nawet terkotać ostrzegawczo rowerowym dzwonkiem.

Podeszłam do wysypiska i stanęłam nad żebraczką. Leżała z otwartymi oczami, cicho pojękując, a więc nadal żyła. W powietrzu unosił się obrzydliwy odór i cała chmara much. Zerknęłam uważniej w dół i zobaczyłam cienką strużkę kału spływającą jej po nogach. W pierwszym odruchu pomyślałam o Inderze Lалу - dałam mu znak ręką, że ma się wycofać, jechać do swojego biura. Dobrze, że jednak został z tyłu. Zaczęłam energiczniej go odprawiać i poczułam autentyczną ulgę, kiedy w końcu odwrócił się i odjechał - w czyściutkim ubraniu, ze świeżo przygotowanym lunchem w koszyku. Cofnęłam się w głąb uliczki. Kiedy mijałam węglarza, powiedziałam: „Ona jest chora”, i usłyszałam w odpowiedzi niejednoznaczny pomruk. Drzwi do pracza były otwarte; jadł śniadanie na podwórzu, nie powinnam mu więc przeszkadzać. Nagle uderzyła mnie myśl, że nie powinnam w tej chwili do nikogo się zbliżać. Po raz pierwszy zrozumiałam - a właściwie dogłębniej zaczęłam podzielać strach Hindusów przed wszystkim, co nieczyste. Szybko wróciłam do domu i dokładnie wyszorowałam całe ciało - i to kilkakrotnie. Bałam się. Zawisło nade mną widmo infekcji - muchy mogły z łatwością przenieść zarazę z żebraczki na mnie.

Później tego samego dnia udałam się do miejskiego szpitala znajdującego się w dawnej dzielnicy brytyjskiej. Był to stary ponury budynek z kamienia - ten sam, w którym kiedyś sprawował rządy doktor Saunders - zbyt mały jak na obecne potrzeby miasta. Pacjenci poddani hospitalizacji oraz ci, którzy przyszli po poradę ambulatoryjną, wylewali się z przeludnionych sal na werandy, korytarze oraz niewielki trawnik. Skierowałam się wprost do gabinetu naczelnego lekarza, niejakiego doktora Gopala. Znalazłam się w obszernym, przewiewnym i bardzo schludnym pomieszczeniu, gdzie ujrzałam równie schludnego, odzianego w biały fartuch mężczyznę z wypomadowanymi wąsami. Potraktował mnie nad wyraz uprzejmie, wręcz kurtuazyjnie - poderwał się zza biurka i wskazał jedno z krzeseł. Zarówno biurko, jak i krzesła były antycznymi, solidnymi angielskimi meblami, najprawdopodobniej także z czasów doktora Saundersa. Doktor Gopal ze współczuciem wysłuchał mojej opowieści, po czym oznajmił, że jeżeli przywiozę żebraczkę do szpitala, zobaczy, co da się dla niej zrobić. Zapytałam, czy nie można

by wysłać karetki, i dowiedziałam się wówczas, że - niestety - karetka jest obecnie w naprawie, a poza tym wolno jej użyć tylko w nagłych przypadkach.

- Ależ to jest nagły przypadek!

Lekarz uśmiechnął się smutno i przyglądał wąsy. A potem zadał mi standardowe pytanie:

- Z jakiego kraju pani pochodzi?

Chociaż bez wątpienia był nad wyraz zajęty człowiekiem, najwyraźniej szykował się do dłuższej rozmowy. Odniosłam niejasne wrażenie, że chciałby skorzystać z okazji i poćwiczyć swój angielski.

Tymczasem do gabinetu weszli dwaj pacjenci ambulatoryjni - mężczyźni w wielkich turbanach o prostych twarzach wieśniaków. W rękach mieli małe kartki, które pokazali doktorowi Gopalowi. Lekarz szorstkim tonem zadał im kilka pytań i wkrótce się okazało w czym leży problem: doszło do omyłkowej zamiany recept. W rezultacie Meher Chand, cierpiący na hemoroidy, zażywał środek przeznaczony dla Bacchu Rama, ofiary kamieni żółciowych. Doktor Gopal szybko naprawił błąd i odprawił usatysfakcjonowanych pacjentów.

- Czy to się często zdarza? - zapytałam.

- Oczywiście. Ci ludzie są analfabetami, a sanitariusze nie należą do skrupulatnych. Sama więc pani widzi, jakie mamy tu warunki. Jeżeli ta kobieta umiera - nawiązał do żebraczki - proszę jej nie przywozić, bo i tak nic nie poradzimy.

- W takim razie gdzie ona ma umrzeć?

- Sama pani widzi, jakie tu mamy warunki - powtórzył. - Szpital nie był remontowany od dwudziestu lat. Brakuje nam łóżek, personelu i wyposażenia.

Lista niedoborów okazała się długa. Ponownie zauważyłam, że rozmowa ze mną sprawia lekarzowi przyjemność - teraz zrozumiałam, że nie chodziło tylko o szlifowanie języka, ale i możliwość zwierzenia się komuś z rozlicznych trosk.

- Widziała pani, z jakimi pacjentami mamy tutaj do czynienia, a i my też popełniamy błędy, to nieuniknione. Potrzebuję większej liczby personelu, wysyłam w tej sprawie monity od razu w trzech egzemplarzach, byłem nawet na spotkaniu z ministrem. Ale jeżeli już mi kogoś przyślą, są to osoby niewykwalifikowane, kompletnie bezużyteczne.

Mówił po angielsku biegle i poprawnie. Miał wiele do powiedzenia - jego rozterki emocjonalne były głębokie, a życie trudne. Patrzył na mnie zza biurka takim samym wzrokiem, jakim spoglądał często Inder Lal - wyrażającym tęsknotę za pełnym zrozumieniem.



W wyniku naszej rozmowy najdobitniej zrozumiałam jedno: jeżeli chcę rozwiązać problem żebraczki, muszę go wziąć na własne barki. Inni mają na głowie dość własnych kłopotów. Gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Być może udałoby się ją jeszcze wyleczyć, a w takim razie powinnam zorganizować transport do szpitala. Mogłabym wynająć riksę albo chłopski wóz konny. Tylko jak umieścić starą kobietę w pojeździe? Musiałabym ją sama dźwignąć z ziemi, bo z pewnością nikt inny nie odważyłby się jej dotknąć; poza tym wątpiłam, czy jakikolwiek riksarz lub woźnica w ogóle zgodziłby się ją zabrać.

Wyszłam z gabinetu doktora Gopala i znalazłam się w zatłoczonym korytarzu. Musiałam przechodzić ponad głowami pacjentów leżących na podłodze. Podczas naszego spotkania zapytałam lekarza: „W takim razie, gdzie ona ma umrzeć?”. Wtedy wydawało mi się to nad wyraz ważkim pytaniem, ale teraz moja optyka uległa zmianie. Nasunęła mi się natomiast zupełnie inna myśl: o starą żebraczkę nie ma sensu walczyć. Była nieważna. Nikomu do niczego niepotrzebna. I ledwo to pomyślałam ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że się zmieniam, przejmuję mentalność Hindusów. Cóż, ostatecznie jeżeli zdecydowałam się tu żyć, powinnam się przystosować. W zasadzie nie miałam innego wyjścia, ponieważ otaczający mnie świat - ludzie i krajobrazy, natura ożywiona i nieożywiona - zmuszały do przyjęcia takiej postawy.

Droga ze szpitala do domu wiodła obok królewskich grobowców i lepianki Maji. Maji akurat siedziała na progu i przywołała mnie skinieniem ręki. Zajrzała mi uważnie w twarz, po czym zapytała, co się stało. Opowiedziałam jej całą historię, lecz teraz - wzorem pozostałych - byłam już zdystansowana i beznamiętna. Tym bardziej zdumiała mnie reakcja Maji, diametralnie różna od wszystkich innych, z którymi do tej pory się zetknęłam.

- Co takiego?! - wykrzyknęła. - Leelavati? To już przyszedł na nią czas?

Leelavati! A więc stara żebraczka miała imię! Nagle cała sprawa znowu nabrała istotnej wagi. Maji pozbierała się z ziemi i pognała w stronę bazaru ze zdumiewającą prędkością jak na osobę w takim wieku i takiej tuszy. Biegłam za nią, żeby wskazać dokładne miejsce przy śmietniku. Jednak gdy tam dotarłyśmy, żebraczki już nie było. Zaczęłyśmy wypytywać o nią pracza, węglarza i wieśniaka od bawołów, lecz jak poprzednio wruszali tylko ramionami, po czym stwierdzali, że widocznie sobie poszła. Zapewne zgłodniała i powlokła się wyżebrać coś do jedzenia.

Natychmiast zrobiło mi się głupio, że niepotrzebnie wszczęłam taki alarm. Maji jednak powiedziała poważnym tonem:

- Chyba wiem, gdzie ją znaleźć.

Znowu puściła się truchtem, wysuwając na boki łokcie, by łatwiej przedrzeć się przez tłum na bazarze. Przebiegliśmy przez bramę w murach i gnałyśmy piaszczystą drogą aż do zalewu i stojących na jego brzegu kapliczek ku czci sati.

- A! - wykrzyknęła Maji triumfalnie.

Dostrzegła żebraczkę, zanim ja ją zobaczyłam. Stara kobieta leżała pod drzewem w tej samej pozycji, co wcześniej na wysypisku. Ekskrementy nadal z niej wypływały, teraz już bardzo cienką strużką. Maji podeszła i powiedziała:

- Tutaj jesteś. Wszędzie cię szukałam. Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? Żebraczka patrzyła w niebo, ale jej wzrok zdawał się niewidzący.

Maji przysiadła obok i położyła głowę umierającej na swoich kolanach. Głaskała ją zgrubiałymi rękami wieśniaczki i spoglądała w gasnące oczy. Nagle stara kobieta rozciągnęła usta w bezzębnym uśmiechu przywodzącym na myśl niemowlęcą radość z rozpoznania znajomej twarzy. Czyżby rzeczywiście rejestrowała, co się wokół dzieje, i dostrzegła wpatrzoną w nią Maji? Czy raczej poczuła ciepło ofiarowanej jej miłości i czułości? Jakkolwiek było, uśmiech tej starej żebraczki wydał mi się w tym momencie prawdziwym cudem.

Przysiadłam przy obu kobietach pod cienistym drzewem. Wcześniej przeszła nad miastem wyjątkowo gwałtowna burza piaskowa i jak to się niekiedy zdarza, całkowicie oczyściła powietrze, które teraz, w tej ostatniej godzinie dnia, zdawało się świetliste i idealnie przezroczyste. Woda w zbiorniku była równie klarowna jak niebo, macona jedynie przez nurkujące zimorodki lub gałęzie drzew od czasu do czasu zahaczające liśćmi o powierzchnię. Po drugiej stronie pływały się bawoły, zanurzone tak głęboko, że jedynie ich łby wystawały ponad lustro wody. Chude, żwawe małpki uwijały się przy brzegu i skakały ponad kapliczkami sati.

- Widzisz - odezwała się Maji - wiedziałam, że tutaj przyjdzie.

Wciąż gładziła twarz umierającej - nie tylko z czułością, ale i z pewną dumą; jakby naprawdę wierzyła, że żebraczka dokonała niezwykłego wyczynu. A potem Maji opowiedziała historię tej starej kobiety; okazało się, że to wdowa, która po śmierci męża została wygnana z domu teściów. Powróciła do swojej rodziny, wkrótce jednak epidemia ospy zabrała jej rodziców oraz brata, przez co została bezdomną nędzarką. Cóż wówczas miała począć, mówiła Maji, została rzucona na pastwę losu. Musiała żebrać. Z początku nie zatrzymywała się długo w jednym mieście, tylko wędrowała od jednego świętego miejsca do drugiego. Tam zawsze roiło się od pielgrzymów, więc i żebrakom wiodło się nieźle. Mniej więcej dziesięć lat temu tu, w Sati-

purze, ciężko zapadła na zdrowiu. Wylizła się z choroby, była jednak zbyt wycieńczona, żeby znowu wyruszyć w drogę, toteż pozostała.

- Teraz jest już bardzo zmęczona życiem - stwierdziła Maji. - Nadszedł na nią czas. Zrobiła wszystko, co do niej należało. - Znów pogładziła twarz staruszki i ponownie spojrzała na nią z dumą.

Miło siedziało się nad chłodną wodą, byliśmy więc gotowe czuwać tu wiele godzin. Ale Leelavati nie kazała nam długo czekać. O tej najpiękniejszej porze - gdy promienie słońca gasną, a niebo, powietrze i woda przybierają bladobłękitną barwę, gdy ptaki usypiają w koronach ciemnych drzew i tylko nietoperze przesuwają się bezszelestnie po niebie - kobieta umarła. Trudno było to zauważyć, bo od dłuższego czasu leżała zupełnie nieruchomo, a śmierć przyszła niepostrzeżenie - niezapowiedziana rżeniem czy konwulsjami. Jakby wszystko z tej starej żebraczki było już dawno temu wyciśnięte i nie pozostało jej nic innego, jak tylko w ciszy przejść na drugą stronę. Maji wydawała się bardzo zadowolona - stwierdziła, że Leelavati radziła sobie dobrze w życiu i została wynagrodzona spokojnym, błogosławionym końcem.

1923

Pewnego dnia Olivia powiedziała Douglasowi, że Harry leży w Khatm złożony chorobą i chciałaby go odwiedzić. Douglas odparł jedynie: „Ach, tak?”, i zamilkł. Niemniej Olivia uznała to za przyzwolenie, na którym jej zależało; doszła do wniosku, że poinformowała męża o wyjeździe do Khatm i przedstawiła racjonalne uzasadnienie. Wobec tego w przyszłości nie będzie musiała się spieszyć z powrotem do domu, aby zdążyć przed mężem. Jeżeli nie zostanie wieczorem Olivii, ona wyzna szczerze, że odwiedzała chorego Harry'ego.

Ostatecznie nigdy do tego nie doszło; różne sprawy zatrzymywały Douglasa w biurze do coraz późniejszych godzin, a kiedy w końcu wracał, był tak skonany, że bardzo szybko kładł się do łóżka. Olivia szła spać dużo później - wieczorami siadywała przy oknie i delectowała się chłodnym powietrzem. Z kolei gdy Douglas się budził, ona wciąż jeszcze spała; wyjeżdżał skoro świt, żeby przeprowadzić wszystkie inspekcje, nim z nieba poleje się żar.

Jednak pewnego dnia Olivia także zerwała się o świcie i usiadła wraz z mężem przy stole w pokoju śniadaniowym (gdzie obecnie mieści się oddział poczty). Patrzyła, jak Douglas posila się szynką i smażonymi kielbaskami. Uderzyło ją nagle, że jego twarz stała się cięższa w rysunku, lekko obrzmiała, jak u zdecydowanej większości Anglików mieszkających w Indiach. Szybko jednak odsunęła od siebie tę myśl, bo była zbyt trudna do zniesienia.

- Douglasie - zagaiła - stan zdrowia Harry'ego w ogóle się nie poprawia.

- Ach, tak?

Wszystko, co miał na talerzu, pokroił na małe kawałki, które pojedynczo wkładał do ust i wolno, metodycznie przeżuwał.

- Może powinniśmy poprosić doktora Saundersa, żeby go zbadał.

- Doktor Saunders nie jeździ na prywatne wizyty.

- To jedyny angielski lekarz w okolicy. - Mąż zbył ją milczeniem, więc dorzuciła z mocą:

- Przecież Harry jest Anglikiem.

Douglas zdążył już zjeść śniadanie i zapalił swoją poranną fajkę (teraz palił niemal bez przerwy). Pykał z wolna i metodycznie, tak jak wcześniej żuł jedzenie. Olivia zawsze uwielbiała w nim tę brytyjską solidność i flegmatyczne opanowanie, które kojarzyła z prawdziwą męskością. Nagle jednak uderzyła ją myśl: Jaka męskość? Nawet nie był w stanie jej zapłodnić.

- Czy musisz palić tę przeklętą fajkę?! - wykrzyknęła ze złością. - W taki upał?!

Ze stoickim spokojem wystukał popiół z cybucha, ostrożnie, żeby nie naprószyć na obrus. W końcu oświadczył:

- Powinnaś była jechać do Simli.

- I co niby miałabym tam robić?! Zażywać spacerów w towarzystwie pani Crawford? Chodzić na te same co tutaj, śmiertelnie nudne kolacje... Ooo! - jęknęła rozpaczliwie, chowając twarz w dłoniach. - Jeszcze jedna taka impreza towarzyska a zaszyję się w kącie i umrę.

Douglas zignorował wybuch żony. Ponownie zapalił fajkę. W pokoju zapadła grobowa cisza. Służący, którzy uprząтали stół, starali się wtopić w tło i poruszać niemal bezszelestnie, aby nie przeszkadzać sahibowi i memsahib w kłótni po angielsku.

Po dłuższej chwili Olivia stwierdziła:

- Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Już ci mówiłem: doskwiera ci upał. Żadna Angielka nie jest w stanie spokojnie go przetrzymać.

- Pewnie masz rację - mruknęła. I zaraz dodała równie cicho: - W rzeczy samej, kochany, postanowiłam sama zasięgnąć porady doktora Saundersa.

Douglas spojrzał na Olivię. Twarz może mu nieco złagodniała, ale oczy pozostały chłodne i przejrzyste jak zwykle.

- Ponieważ... - na moment spuściła wstydliwie oczy - ...ponieważ nie zachodzę w ciążę.

Odłożył fajkę na popielniczkę (służący natychmiast starannie wystukał popiół), podniósł się zza stołu i skierował do sypialni. Olivia poszła za nim. Przytulili się do siebie z całej siły.

- Nie chcę, żeby cokolwiek się zmieniło - wyszeptała. - Nie chcę, żebyś ty się zmienił.

- Ja się nigdy nie zmienię - oświadczył stanowczo.

- No, tak. Oczywiście. - Przywarła do męża jeszcze mocniej. Bardzo chciała być w ciąży, zaraz, natychmiast. Wówczas wszystko potoczyłoby się jak w bajce - on by się nie zmienił, ona by się nie zmieniła, spełniłyby się ich marzenia.

- Cierpliwości - powiedział. - Wszystko się ułoży.

- Tak myślisz?

- Jestem pewien.

Oparła się na silnym ramieniu Douglasa i wyszła z nim przed dom. Chociaż wciąż jeszcze było bardzo wcześnie, panowała duchota.

- Chciałbym, żebyś wyjechała do Simli.

- I znalazła się tak daleko od ciebie?

- Ten nieludzki klimat wyraźnie ci szkodzi

- Ależ czuję się wprost wyśmienicie. - Roześmiała się, bo tak było w istocie.

Uścisnął jej ramię z wdzięcznością.

- Jeżeli uda mi się wyrwać, pojedziemy we dwoje.

- Naprawdę mógłbyś?... Och, nie zmieniaj planów z mojego powodu. Naprawdę nic mi nie dolega... ten upał wcale nie jest taki straszny. Całkiem nieźle go znoszę.

Zachwyił się jej dzielnością. Chciał chwycić żonę w ramiona, ale stajenny już czekał z osiodłanym koniem, goniec - z dokumentami, a garderobiany z korkowym hełmem w dłoniach.

- Nie wychodź poza werandę - poprosił Douglas, ale go nie posłuchała. Podeszła, gdy już siedział na koniu, spojrzeli sobie przeciągle w oczy. Tego ranka Douglasowi niesporo było odjeżdżać od żony.

- Porozmawiam z doktorem Saundersem na temat Harry'ego - obiecał.

Machała na pożegnanie tak długo, aż mąż całkiem zniknął jej z oczu. Służący przytrzymał otwarte drzwi domu, ale Olivia wciąż tkwiła na podjeździe. Teraz jednak nie spoglądała już na drogę, którą odjechał Douglas, tylko w przeciwną stronę - ku Khatm i pałacowi. Chociaż tak naprawdę nie miało to większego znaczenia, gdzie patrzy, bo cały świat spowijał całun pyłu. Natomiast absolutnie prawdziwe było to, co powiedziała Douglasowi: czuła się wyśmienicie

i nie przeszkadzały jej ani upał, ani zagęszczająca się atmosfera niedomówień. Jakby w jej wnętrzu nagle zaczął tryskać mały strumyk - ożywczy, napełniający ją radością.

Później tego samego ranka - zerknęła na zegarek, do przyjazdu samochodu nababa zostało jeszcze sporo czasu - poszła do domu Saundersów. Okazało się jednak, że doktor Saunders udał się już do szpitala, mogła więc się zobaczyć jedynie z jego żoną. Oliwię bardzo zdumiał fakt, że doktorowa podniosła się z łoża boleści: siedziała w jednym z przepastnych pokoi i wpatrywała się tępo w pusty kominek. Na powitanie oznajmiła:

- Nie powinni patrzeć na nas, kiedy leżymy w pościeli... Znaczący się, służący - uściśliła ściszym głosem i zerknęła ukradkiem w stronę drzwi. - W rzeczy samej marzę, by położyć się do łóżka. Tak naprawdę tam jest moje miejsce. Ale przecież aż strach myśleć, co lęgnie się w głowach tych ludzi.

Znowu wbiła wzrok w kominek (który nawet nie miał rusztu), jakby czaiły się tam jakieś zjawy. Trzeba przyznać, że pokój w ogóle sprawiał wrażenie nawiedzanego przez upiory - może za sprawą mebli, które nie były prywatną własnością Saundersów, tylko umeblowaniem służbowym, stojącym w tym domu od pokoleń. Ryciny zdobiące ściany również wisiały tu od wielu dziesięcioleci; większość przedstawiała sceny z okresu Rebelii - na przykład sir Henry'ego Lawrence'a przeszywanego kulą przed rezydencją w Lucknow.

- Chcąc nie chcąc, słyszy się rozmaite opowieści - wyznała doktorowa. - Na przykład o pewnej angielskiej memsahib, która mieszkała w Muzzafarabadzie, czy też podobnym miejscu... w każdym razie pochodziła z Somerset. - Pani Saunders westchnęła ciężko (przez wzgląd na straszny los owej damy czy raczej wspomnienie angielskiego hrabstwa?). - Zatrudniony przez nią *dhobi*... - nachyliła się ku Oliwię i zniżyła głos do szeptu - ...pewnego razu prasował jej niewymowne i całkiem go poniosło. Ci ludzie bardzo szybko się podniecają, to leży w ich naturze. Ponoć przyczyniają się do tego te wszystkie ostre przyprawy w tutejszym jedzeniu... Nie wiem, czy historia z *dhobi* wydarzyła się naprawdę, pani Rivers, ale jednego jestem absolutnie pewna: oni myślą tylko o tym, jak tu zrobić wie-pani-co z białą kobietą.

Olivia wytrzeszczyła oczy. Pani Saunders pokiwała konfidencjonalnie głową i poprawiła suknię na płaskiej piersi. Również Olivia odruchowo sięgnęła ręką do dość wyciętego dekoltu swojej jasnobrązowej jedwabnej sukienki. Cóż za brednie! Poderwała się z miejsca - czas się zbierać, wkrótce nadjedzie samochód nababa.

Nabab bezpardonowo wyśmiał pomysł sprowadzenia doktora Saundersa. Stwierdził, że skoro konieczna jest konsultacja europejskiego medyka, ściągnie najlepszego specjalistę - jeżeli



trzeba, choćby z Niemiec czy Anglii. W końcu jednak ugiął się ze względu na Olivie oraz Harry'ego - i wysłał samochód po naczelnego lekarza.

Doktor Saunders zaszczycony, że został wezwany przed oblicze monarchy, zetknął dłonie czubkami palców i wyrzucił z siebie mnóstwo fachowych terminów medycznych. Nadymał się i sapał, toteż z każdym wypowiedzianym słowem jego wąsy wlatywały nad wargę, jakby targane wiatrem. Nabab odnosił się do niego z przesadną kurtuazją, która - jak Olivia zdążyła się już zorientować - była zawołowaną formą okazywania pogardy. Jednak doktor Saunders, przyjmujący wszystko za dobrą monetę, puchł z dumy, rozpychając w szwach swój garnitur z szantungu. Widok tych dwóch mężczyzn siedzących naprzeciwko siebie - nababa, z kpiącą rewerencją pochylonego do przodu, i lekarza, coraz bardziej się nadymającego - był tak groteskowy, że Harry zaczął chichotać, co z kolei pobudziło do śmiechu Olivie. Doktor Saunders oczywiście niczego nie zauważył, za to nabab natychmiast zorientował się w sytuacji i, zadowolony, że dostarcza tak doskonałej rozrywki przyjaciółom, poprosił lekarza, aby został na lunch.

Przy stole doktor Saunders wspiął się na niebotyczne wyżyny - wprost przechodził samego siebie. Pokraśniały z zadowolenia, ukontentowany posiłkiem, dał się nakłonić do ujawnienia własnych głębokich przemyśleń na temat Indii i Hindusów. Przytoczył rozmaite anegdoty ilustrujące słuszność jego sądów, oparte głównie na doświadczeniach szpitalnych. I chociaż Olivia większość z nich słyszała już kilkakrotnie, bawiła się równie dobrze co Harry, patrząc na sposób, w jaki nabab zachęcał lekarza do zwierzeń.

- I co pan wówczas zrobił, doktorze?

- Wówczas, nabab sahibie, kazałem przyprowadzić go do mojego gabinetu i nie wdając się w dalsze dyskusje, trzasnąłem pięścią kilka razy po uszach. Buch-buch.

- Bardzo słusznie, doktorze. Bardzo słusznie. Dał pan wszystkim chwalebny wzór do naśladowania.

- Tylko takie metody są skuteczne, nabab sahibie. Z tymi ludźmi nie ma sensu dyskutować, nie są zdolni do logicznego rozumowania. W odróżnieniu od nas mają poukładane w głowach nie tak jak należy.

- W istocie, doktorze. Trafił pan w... Jak to się mówi, Harry?

- Samo sedno.

- Racja. W samo sedno - nabab z powagą pokiwał głową.

Po kilku tego typu wymianach zdań Olivię nagle przestał bawić ów spektakl. Doktor Saunders był przerażająco tępy, żart ciągnął się zbyt długo. Harry także zdawał się już znużony. No i nabab swoim nadzwyczajnym szóstym zmysłem natychmiast wyczuł zmianę nastroju. Rzucił serwetkę na stół i powiedział:

- Olivio, Harry, pozwólcie ze mną.

Porzucając bezceremonialnie doktora, poprowadził przyjaciół na górę, do apartamentu Harry'ego. Tam rzucił się na fotel i zaniósł głośnym śmiechem. A kiedy nikt mu nie zawtórował, poczuł się szczerze dotknięty.

- Tak bardzo się wysilałem, żeby dostarczyć wam rozrywki - powiedział z wyrzutem w głosie.

- To było okrucieństwo wobec zwierząt.

- Przecież to nas on uważa za zwierzęta - zauważył nabab.

- Jest tylko starym nudziarzem - odparł Harry. - Nie wiem, po co go tutaj ścigałeś.

- Ona tego chciała. - Nabab wskazał na Olivię. Lecz gdy spostrzegł, że wprawił ją w zakłopotanie, natychmiast postarał się zatrzeć afront. - Wcale nie jest nudziarzem. Setnie mnie ubawił. „My, angielscy doktorzy” - wygłosił pompatycznym tonem, stykając dłonie czubkami palców i dmuchając w wyimaginowane wąsy.

Nie była to szczególnie udana parodia, ale Olivia i Harry roześmiali się przez grzeczność. W pierwszym odruchu nabab okazał satysfakcję, niemal natychmiast jednak zrobił zdegustowaną minę.

- Masz rację, Harry. To stary nudziarz. Nie należało go ścigać, odeślijmy go.

W tym momencie Olivia uznała, że powinna wyrazić swoją opinię.

- On jest wyjątkowo odrażający. Nie sądz według niego. Nabab posłał jej zdumiewająco chłodne spojrzenie.

- Czego mam według niego nie sądzić?

- Nas wszystkich.

- Jakich „nas”? - wtrącił natychmiast Harry. On również stał się teraz zimny i gniewny. Olivię nagle ogarnęła konsternacja; tak jak podczas pamiętnej kolacji u Crawfordów poczuła się zagubiona.

- Nie wiem, jakie są twoje osobiste odczucia - ciągnął Harry - ale proszę, żebyś mnie nie wrzucała do jednego worka z tym całym towarzystwem.

- Ależ, Harry, Crawfordowie w niczym nie przypominają Saundersa, przecież dobrze o tym wiesz. Podobnie jak Minniesowie. Czy, gdy już o tym mowa, Douglas i...

- I ty?

- Wszyscy są tacy sami - zawyrokował z przekonaniem nabab.

Olivia była wstrząśnięta - czy ją również miał na myśli?

Zerknęła na twarz księcia i przeraziła się, widząc, jak wiele mrocznych emocji wyraża; nagle poczuła, że nie zniosłaby, gdyby te nienawistne uczucia zostały skierowane przeciwko niej i zrobiłaby absolutnie wszystko, aby temu zapobiec.

- Odeślę go - powtórzył nabab i krzyknął na służących.

Kazał wsadzić doktora do samochodu i wyekspediować do domu.

- A, i koniecznie mu zapłaćcie - dorzucił. - Ty to zrobisz. Po prostu daj mu pieniądze, z pewnością je przyjmie - Roześmiał się na całe gardło.

Wskazany służący także się uśmiechnął na myśl, że doktor Saunders zostanie przez niego osobiście tak pięknie poniżony - bo nie inaczej należało interpretować wręczenie zapłaty przez służbę.

- Ja też już powinnam się zbierać - stwierdziła Olivia, łykając łzy.

- Ty z nim w tym samym samochodzie?! - wykrzyknął z oburzeniem nabab. - Myślisz, że pozwoliłbym ci jechać jednym autem z takim człowiekiem?! Czy masz aż tak niskie zdanie o mojej gościnności? O mojej przyjaźni? - Sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego.

- Ale ja wkrótce muszę wracać, a skoro samochód już jedzie w moją stronę... - roześmiała się, bo nagle zrobiło jej się bardzo lekko na duszy.

- Pojedzie następny. Jeżeli trzeba, wyprawię dziesięć samochodów. Usiądź, proszę. Zamiast się cieszyć, wpadliśmy w ponury nastrój, co w nas w ogóle wstąpiło? Harry! Olivio! Radujmy się! Opowiem wam o moim śnie z minionej nocy - na pewno was rozbawi, bo dotyczył pani Crawford. Tyle że, uważacie, w moim śnie ona była *hijra* i robiła coś takiego. - Zaklaskał w dłonie niczym w indyjskim tańcu i wybuchnął głośnym śmiechem. - Należała do dużej trupy, która akurat dawała występ, ale bez trudu ją rozpoznałem. Wiecie co? Jak się nad tym zastanowić, ona naprawdę wygląda jak *hijra*.

- A co to takiego? - zapytała Olivia. Nabab ponownie parsknął śmiechem.

- Zaraz ci pokażę.

Właśnie wtedy kazał swoim młodzieńcom przyprowadzić eunuchów, aby zaśpiewali i zatańczyli dla jego gościa. I potem już do samego odjazdu Olivia doskonale się bawiła.

20 czerwca.

Tuż przed nastaniem pory monsunowej upał gwałtownie się potęguje. Podobno im większy skwar, tym obfitsze opady w okresie deszczowym, więc wszyscy sobie życzą, aby temperatury wzrosły do niebotycznych wartości. Kiedy człowiek już się pogodzi z żarem - nie zaakceptuje go, lecz właśnie się z nim pogodzi - a przede wszystkim jest tak wymęczony, że poddaje się bez walki, wówczas - paradoksalnie - łatwiej przetrwać. Poza tym natura oferuje drobne rekompensaty. Im większe upały, tym słodsze mango oraz melony i tym intensywniejszy aromat jaśminu. Drzewo *gul mohar* wygina wdzięcznie gałęzie - niczym tancerka ramiona - i wydaje zdumiewające, szkarłatne kwiaty. Na bazarze pojawia się nieprawdopodobny wybór rozmaitych sorbetów, a szklanki, w których się je sprzedaje, choć niespecjalnie czyste, są wypełnione po brzegi tłuczonym lodem (też mało czystym, ale kto by sobie zawracał tym głowę).

W niedzielę wraz z Inderem Lalem wybraliśmy się na piknik do gaju Baby Firdausa. To był mój pomysł, zaczęłam jednak poważnie wątpić w jego sens, kiedy złani potem siedzieliśmy w niemiłosiernie trzęsącym autobusie, przemierzającym rozprażoną równinę. Potem pięliśmy się mozolnie w górę kamienistą, niczym nieosłoniętą od słońca ścieżką, za to kiedy już doszliśmy do gaju, poczuliśmy się jak w niebie. Dzięki gęstemu listowiu nie docierały tu palące promienie słońca; plusk pobliskiego strumienia pogłębiał wrażenie miłego chłodu i świeżości. Inder Lal natychmiast wyciągnął się pod drzewem, mnie natomiast tak zachwyciło otoczenie, że zaczęłam obchodzić gaj dookoła. Wprost nie wierzyłam własnym oczom, tak dramatyczny był kontrast pomiędzy wyglądem tego miejsca obecnie, a wtedy gdy zobaczyłam je po raz pierwszy - w Dniu Powtórnych Zaślubin Męża, kiedy to roiło się tu od pielgrzymów i megafonów. Teraz panował spokój i cudowna cisza, w której rozlegały się jedynie śpiewy ptaków, szmer wartko płynącej wody i szelest liści. Opłukałam ręce i twarz w strumieniu tak płytkim, że mogłam swobodnie przebierać palcami po otoczkach leżących na dnie. Potem obejrzałam uważnie kapliczkę, która okazała się bardzo prostą budowlą z łukowym wejściem i małą pasiastą kopułą przypominającą arbuza. Wewnątrz ściany były grubo pobielone - prawdopodobnie ilekroć zbliżał się Dzień Powtórnych Zaślubin Męża, pospiesznie pokrywano je świeżą warstwą wapna; na kratownicy okiennej natomiast widniała niezliczona ilość czerwonych nitek namotanych przez pokornych suplikantów. Nie znajdował się tutaj żaden grobowiec - do dziś nie wiadomo, gdzie Baba Firdaus zakończył żywot - za to pośrodku wznosił się niewielki kopczyk z kamieni, również niedawno pobielony, na którym leżały girlandy kwiatów - w większości zwiędłych, cho-

ciaż kilka było całkiem świeżych. To miejsce emanowało taką pustką, ciszą i samotnością, że zaczęło mnie nurtować, kto mógł zostawić tutaj świeże kwiaty.

Gdy Inder Lal przebudził się z drzemki, rozpakowałam kanapki, które zabrałam z domu. Mój przyjaciel jeszcze nigdy wcześniej nie widział kanapek i jadł je z zaciekawieniem, zawsze chętny do doświadczenia nowości. Okazało się, że czymś równie nowym, co klasyczny sandwich, była dla niego wycieczka w towarzystwie tylko jednej osoby, a nie tradycyjnego tłumu krewnych i przyjaciół. Inder Lal dodał od razu, że ceni sobie rozmowy prowadzone w cztery oczy, ponieważ wówczas można swobodnie odkryć przed sobą nawzajem sekrety serca. Czekałam z niecierpliwością, aż to zrobi, on tymczasem zadał mi kilka banalnych pytań na temat pikników w Anglii. Łapczywie chłonał moje słowa i próbował wyciągnąć jak najwięcej szczegółów. „Dla mojej wyłącznej informacji”, zapewnił. Bardzo często używa tego wyrażenia w naszych rozmowach. Można wręcz odnieść wrażenie, że znajduje największą przyjemność w gromadzeniu strzępków nieistotnych informacji w nadziei, że kiedyś je wykorzysta. Jego matka postępuje podobnie z bezwartościowymi przedmiotami. Widziałam, jak nabożnie podniosła papierek po czekoladce, który wyrzuciłam do śmieci, i jak zbiera korki, puste butelki oraz ścinki tkanin, po czym chowa wszystkie zdobycze do przepastnego kufra. Kiedy zapytałam, dlaczego to robi, bardzo się zdziwiła. Tak jak syn, uważa, że każdy skrawek jest do czegoś użyteczny lub może stać się przydatny w przyszłości.

- Popatrz, co przyniosłem - powiedział.

Wyjął z kieszeni dwa kawałki czerwonej nitki; zapewnił, że jeśli je przywiążemy do kratownicy w oknie, spełnią się nasze prośby. Zdjęliśmy sandały i weszliśmy do kapliczki. Inder Lal pierwszy zamotał nitkę, żeby mi pokazać, jak to się robi. Potem zamknął oczy i skupił myśli na swoim życzeniu.

- Sądziłam, że te praktyki są skuteczne jedynie w przypadku bezpłodnych kobiet.

- Wszystkie życzenia są wysłuchiwane - zapewnił stanowczo. - Teraz ty. - Przyglądał się z zainteresowaniem, jak wiązałam supełek. - Można wypowiedzieć swoje życzenie na głos - wyjaśnił z zachętą w głosie. - Jak się jest samemu lub z jednym tylko przyjacielem.

Zbyłam tę uwagę milczeniem i wskazałam girlandy leżące na kamiennym kurhanie.

- Kto mógł je tutaj przynieść? Gdy się patrzy na ten gaj, odnosi się wrażenie, że od bardzo dawna nikogo tu nie było.

- Jeżeli takie miejsce znajdowałyby się na środku pustyni, oddalone o tysiące kilometrów od najbliższej wioski, ludzie i tak by tam przychodzili... O co poprosiłaś?

Uśmiechnęłam się i wróciłam do naszego miejsca pod drzewem; Inder Lal nie odstępował mnie na krok.

- No, powiedz - prosił, zżerany ciekawością.

- A jak myślisz? - zapytałam. Cokolwiek sobie wyobrażał, wstydził się powiedzieć. Więc naturalnie teraz mnie bardzo zaciekawiło, jakie marzenie mógł mi przypisać.

- Skąd mógłbym wiedzieć? Nie jestem magikiem, nie umiem czytać w ludzkich myślach. Ale jeżeli wyjawisz mi swoje życzenie - przybrał bardzo przebiegłą minę - ja wyjawię ci swoje.

- W takim razie zgadujmy.

- Ty pierwsza. - Wyraźnie spodobała mu się ta zabawa.

Wpatrywał się we mnie wyczekująco, tymczasem ja udawałam, że mocno się koncentruję.

- Wydaje mi się... - powiedziałam w końcu - że twoje życzenie... ma związek z pracą.

Twarz mu się gwałtownie wydłużyła, pojawił się na niej wyraz zdumienia i konsternacji.

- Skąd wiedziałas?

- Nie wiedziałam. Po prostu zgadłam.

I teraz szczerze tego żałowałam. Popadł w przygnębienie i już nie miał ochoty na dalszą zabawę. Kiedy powiedziałam: „Teraz twoja kolej”, posępnie pokręcił głową. Zaprzątnięty własnymi troskami, stracił zainteresowanie moim życzeniem.

A ja nagle bardzo zapragnęłam, żeby to zainteresowanie powróciło. Ogarnęła mnie silna potrzeba - jak on to ujął - odkrycia sekretów serca. Problem w tym, że trudno to zrobić, gdy ma się przed sobą człowieka, który dobrze się rozeznaje w naszym życiu i problemach; co dopiero mówić o otworzeniu się przed kimś takim jak Inder Lal, dla którego mój świat był całkowicie obcy! Jeżeli wymyśliłabym jasno sprecyzowane życzenie - takie jak chęć posiadania męża czy dziecka lub usunięcia wroga - ochoczo bym je wyjawiała. Tymczasem kiedy motałam nitkę obok tysiąca podobnych, nie sformułowałam żadnej konkretnej prośby. I bynajmniej nie dlatego, że jestem całkiem spełniona i nie mam o co prosić; wręcz przeciwnie - do tego spełnienia brakuje tak wiele, że nie sposób wypełnić luk jedną prośbą.

Niemniej jednak w tej szczególnej chwili ogarnęło mnie pewne bardzo konkretne pragnienie: zbliżenia z Inderem Lalem. A ponieważ nie umiałam wyrazić tego słowami, położyłam dłoń na jego dłoni. Wówczas spojrzął na mnie w taki sposób, w jaki jeszcze nigdy wcześniej na mnie nie patrzył. Z jego twarzy zniknął wyraz posępnej rezygnacji, nie umiałam jednak odczytać emocji, które się pojawiły. Czułam, że jego ręka drży pod moją; zauważyłam, że jego usta



także zaczęły drżeć. Może chciał coś powiedzieć; a może ogarnęło go pożądanie lub... strach. Kiedy przeniósł na mnie wzrok, w jego oczach bez wątpienia czaił się lęk. Nie wiedział, co go za chwilę spotka, nie miał pojęcia, co robić. Niemal widziałam - cóż za nedorzecznosc! - jak przez głowę przebiega mu wszystko to, co kiedykolwiek usłyszał na temat kobiet z Zachodu. Lecz jednocześnie był młodym zdrowym mężczyzną, jego żona wyjechała w daleką podróż, a on siedział przy mnie w romantycznym ustroniu (z każdą chwilą zyskującym na romantyczności, jako że słońce zaczęło znikać za horyzontem). Następne ruchy należały do mnie, ale jak już je wykonałam, zareagował entuzjastycznie. Gdy było po wszystkim, skwitował całą sytuację takim samym żartem, jaki dawno temu rzucił przy podobnej okazji nabab - powiedział, że właśnie się dowiedziałam, dlaczego bezpłodne kobiety zachodzą w ciążę w Dniu Powtórnych Zaślubin Męża.

1923

Pewnego dnia w samochodzie przysłanym po Olivii niespodziewanie przyjechał Harry. Olivia była gotowa natychmiast ruszać w drogę, jednak pulchny Anglik poprosił, żeby się chwilę wstrzymali, ponieważ musi odpocząć przed powrotem. Rozsiadł się w fotelu, czas mijał nieubłaganie, a Harry wcale się nie kwapił do podróży. Wręcz sprawiał takie wrażenie, jakby zamierzał spędzić w żółtym saloniku cały dzień. Olivia kilkakrotnie go napominała:

- Jeżeli zaraz nie wyjedziemy, upał stanie się nie do wytrzymania.

- Zagraj coś - odparł na to Harry, wskazując na pianino. - Nie daj się prosić. Od wieków nie słuchałem twojej gry.

- Ale zaraz potem pojedziemy - postanowiła się targować.

Zasiadła do instrumentu i zaczęła przebiegać palcami po klawiszach z typową dla siebie werwą. Wybrała Debussy'ego; Harry odchylił się na oparcie żółtego fotela, przymknął oczy i z lubością wystukiwał nogą takt. Ale po chwili za bardzo przyspieszyła tempo, pomyliła nuty, to znów jakiś klawisz się zaciął i zaczęła w niego walić mocno zniecierpliwiona. Ostatecznie przerwała grę w połowie utworu.

- Wysłałam z wprawy. Rusz się, Harry, musimy jechać.

- Dlaczego wysłałaś z wprawy?

- Jest zbyt gorąco na grę. Poza tym sam słyszałeś, w jak opłakanym stanie znajduje się ten instrument. - Ponownie uderzyła w fałszywy ton. - To nie jest klimat odpowiedni dla pianina, w tym cały problem. Wstawaj, Harry, już czas.

- Możesz sprowadzić stroiciela z Bombaju.
- Nie warto. Teraz praktycznie wcale nie grywam.
- Wielka szkoda.

Niekłamanym smutek w jego głosie pobudził Olivię do refleksji. Dlaczego właściwie nie siadała ostatnimi czasy do instrumentu? Nigdy dotąd nie zadała sobie tego pytania, zadowolając się niejasnym wrażeniem, że jest zbyt gorąco i nie ma nastroju do gry. Ale za tą niechęcią kryło się coś głębszego, wartego przemyślenia.

- Debussy - mruknęła. - Schumann. Ta muzyka jest taka... nieodpowiednia.

- Mnie osobiście bardzo odpowiadała - stwierdził Harry.

- Grana w tym miejscu?!

- A czemu nie? - Rozejrzał się po jej saloniku i powtórzył: - Czemu nie? Urządziłaś ten pokój z prawdziwym smakiem. Doprawdy bardzo gustownie. - Umościł się wygodniej w fotelu, jakby już nigdy nie zamierzał go opuścić. - Prawdziwa oaza - rzucił.

- Proszę, nie zaczynaj od nowa. - Teraz już ogarnęła ją irytacja. - Zupełnie nie rozumiem, po co komu jakiegokolwiek oazy! To czysty nonsens!

- Wielkie nieba, ależ ty jesteś twarda, Olivio, kto by to pomyślał... A do tego nigdy nie zapadasz na zdrowiu.

- Oczywiście, że nie. Czemu miałabym zapadać? - W jej tonie pojawiła się nuta pogardy.

- To wszystko kwestia nastawienia psychicznego.

- Minionej nocy znowu fatalnie się czułem. A przecież od tygodni nie miałem w ustach indyjskiego jedzenia. Zupełnie nie rozumiem, co tak źle na mnie wpływa.

- Już ci powiedziałam, to problem czysto psychiczny.

- Może masz rację. W istocie odnoszę wrażenie, że moja psychika zaczyna szwankować... Niekiedy ogarnia mnie przekonanie... - znowu zacisnął powieki, tym razem jego twarz wykrzywił grymas bólu - ...że nie wytrzymam ani dnia dłużej. - Te słowa zabrzmiały alarmująco szczerze.

Olivia próbowała okazać mu współczucie, ale górę wzięło nad nią zniecierpliwienie. Po prostu nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie wyruszą w drogę! A tymczasem Harry najwyraźniej nie zamierzał podnosić się z miejsca. Z kwater służby dobiegły dźwięki inkantacji i bębenka - oba na jedną, nieznośnie monotonną nutę.

- Jak w gorączce mózgowej - stwierdził Harry.

- Co takiego?... A! Masz na myśli te odgłosy. Od dawna już przestałam zwracać na nie uwagę. Podobne śpiewy czy też modły ciągną się całymi dniami. W kwaterach służby zawsze dzieje się coś nadzwyczajnego. Ktoś umiera, ktoś się rodzi, to znów ktoś się żeni. Być może właśnie dlatego przestałam grać na pianinie. Jego tony zupełnie nie harmonizują z tłem, prawda?... Harry, musimy ruszać, bo inaczej upieczemy się żywcem po drodze.

- Nie chcę nigdzie jechać. Oliwię zdjęła panika.

- A co z autem? - zapytała drżącym głosem.

- Odeślemy je do Khatm.

Olivia wbiła wzrok w czubki swoich białych pantofli. Znieruchomiała. Harry świdrował ją wzrokiem, ale udawała, że tego nie widzi. W końcu nie wytrzymała.

- Co się z tobą dzieje, Olivio? - zapytał miękkiem głosem. - Czemu tak ci pilno tam jechać?

- Jesteśmy oczekiwani. - Gdy dotarło do niej, jak słabego użyła argumentu, ogarnęła ją złość na Harry'ego. - Chyba nie sądzisz, że codzienne, samotne wysiadanie w tym domu, wpatrywanie się w ściany i wyczekiwanie na powrót Douglasa sprawia mi jakąkolwiek przyjemność?! Doskonale rozumiem, czemu z powodu takiego trybu życia ludzie zaczynają tracić zmysły... jak pani Saunders. Tkwi zamknięta w tych ponurych pokojach i ma urojenia. Nie chcę się do niej upodobnić. Ale jeżeli będę spędzać tu całe dni, tak się to skończy.

- Czy dlatego lubisz jeździć do pałacu?

- Douglas wie, że jeżdżę do Khatm. Wie, że był tam doktor Saunders - sam z nim rozmawiał na ten temat - i wie, że złożyłam ci wizytę.

- Tak. Wierzy, że to mnie tak chętnie odwiedzasz.

Ostatnie zdanie zawisło ciężko w powietrzu i jego wymowy nie osłabiła nawet emocjonalna reakcja Olivii.

- Ty po prostu jesteś zazdrosny, Harry, ot co! - Roześmiała się sztucznie. - Chcesz być tym jednym, jedynym... to znaczy jedynym hołubionym gościem w pałacu - dorzuciła pośpiesznie, jednak nie dość szybko. Zmieszała się i zarumieniła.

- W porządku - westchnął Harry. - A więc ruszajmy.

Wstał, podszedł do drzwi i włożył tropikalny kask. Olivia miała świadomość, że aby udowodnić niewinność swoich pobudek i zachować resztki dumy, to ona powinna teraz odmówić wyjazdu. Wahala się przez moment, lecz ostatecznie doszła do wniosku, że nie jest dość dumna (lub niewinna), aby się do tego posunąć. Pospieszyła więc do samochodu.

Podróż nie należała do przyjemnych - i to nie tylko z powodu upału i kurzu. Praktycznie w ogóle ze sobą nie rozmawiali, jakby byli pogniewani. Tymczasem Olivia nie czuła gniewu, toteż raz czy dwa podjęła próbę konwersacji, ale z jej ust padały takie banały, że chyba lepiej by zrobiła, gdyby się w ogóle nie odzywała. Nie mogła się zdobyć na wyznanie Harry'emu, co ją naprawdę gryzie - bała się, że nie wyrazi dość precyzyjnie swoich myśli; a nawet jeżeli zdoła to zrobić, jej słowa i tak zostaną błędnie zinterpretowane.

Nagle Harry powiedział:

- Oto i on.

W poprzek drogi stał zaparkowany czerwony sportowy samochód. Kiedy się do niego zbliżyli, nabab - w kraciastej cyklistówce i samochodowych goglach na oczach - podniósł się z miejsca i zaczął wykonywać takie gesty jak policjant kierujący ruchem ulicznym. Zatrzymali się, a wówczas zapytał:

- Gdzieście się podziewali? Czekam tu od niepamiętnych czasów.

Wyjechał im naprzeciw, ponieważ chciał się wybrać do kapliczki Baby Firdausa. Znużyło go siedzenie w czterech ścianach pałacu. Poprosił, żeby się przesiedli do sportowego auta, które tego dnia sam prowadził. Harry oświadczył, że nie ma ochoty na żadne wyprawy i marzy tylko o powrocie do domu, z czym nabab natychmiast się zgodził. Nie zamierzał tracić czasu na żadne perswazje.

- Ale ty pojedziesz ze mną, Olivio, prawda?

Ona też nie zawracała sobie głowy Harrym i ochoczo zajęła miejsce obok nababa. Ruszyli w jedną stronę, a kierowca powiózł Harry'ego w drugą. Jeszcze na moment Harry mignął im w oknie: błąd jak ściana siedział sztywno na tylnym siedzeniu i sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

- Dlaczego jest taki poirytowany? - zapytał nabab. - Myślisz, że coś mu naprawdę dolega? Że jest poważnie chory? Rozmawiał z tobą na ten temat?

Był bardzo przejęty i niemal przez całą drogę mówił tylko o Harrym. Zdawał sobie sprawę, że przyjaciel często tęskni za domem i pragnie wracać do Anglii, zobaczyć się wreszcie z matką. Nabab chciałby spełnić życzenie Harry'ego, a jednocześnie - „Pojmujesz to, Olivio? Czy doprawdy jestem skończonym egoistą?” - nie mógł się zdobyć na rozstanie z przyjacielem.

- Z pewnością masz mnie za sobka - skonstatował smutno.

Wiedziała, że nie ma sensu zaprzeczać. Jej przypadła w udziale rola biernego słuchacza i całkiem ją to zadowalało; podobnie jak możliwość siedzenia u jego boku i zerkania spod rzęs, jak w eleganckim, stosownym do okoliczności stroju, pewnie kieruje samochodem.

- Często kusiło mnie, żeby powiedzieć: „Harry, matka marzy o twoim powrocie, ty także do niej tęsknisz, więc jedź”. Ba! Już kiedyś nawet się na to zdobyłem. Pewnego razu wszystko było załatwione, kabina na statku zarezerwowana, bagaże spakowane. Jednak w ostatniej chwili się załamałem. Nie mogłem znieść myśli o rozstaniu. Wówczas Harry sam zdecydował: „Dobrze, w takim razie zostaję”... Teraz musimy wysiąść i dalej ruszyć na piechotę. Czy upał nie jest dla ciebie zbyt męczący, Olivio?

Poprowadził ją w górę kamienistą ścieżką, wiodącą do gaju Baby Firdausa. Ani na chwilę nie przestawał mówić i Olivia była tak zasluchana w jego słowa, że nawet nie czuła lejącego się z nieba żaru.

- Niektórzy ludzie mają to do siebie - ciągnął - że ich nieobecność czyni nasze życie pustym i nieznośnym. Kiedyś poprosiłem fakira z Ajmere (nadmierzaj świętego męża) o wyjaśnienie tego fenomenu. „Dlaczego akurat te osoby, a nie inne?”, zapytałem. A on wówczas udzielił mi nad wyraz interesującej odpowiedzi: „To ludzie, którzy swego czasu siedzieli blisko ciebie w raju”. To piękna myśl, prawda, Olivio? Okazuje się, że kiedyś siedzieliśmy przy sobie w raju.

W końcu dotarli do zagajnika. Książę odchylił parę gałęzi i znaleźli się między drzewami. Dosłownie w tej samej chwili z kapliczki wyszło kilku mężczyzn. Wyglądali groźnie, byli uzbrojeni i wbili gniewny wzrok w Olivię i nababa. Gdy jednak się zorientowali, z kim mają do czynienia, padli księciu do stóp.

Poprosił Olivię, żeby przysiadła pod drzewem. Stamtąd obserwowała, jak rozmawiał z mężczyznami. Zachowywał się bardzo swobodnie; widać było, że dobrze się znają. Mężczyźni stali przed nim w postawie pełnej pokory i z wyrazem uwielbienia na okrutnych twarzach. Olivia nie miała wątpliwości, że są bandytami. W każdym razie wyglądali na średniowiecznych zbójców. Przyglądała im się otwarcie, natomiast żaden z nich nie ośmielił się choćby zerknąć w jej stronę. Książę dość szybko ich odprawił, po czym przywołał ją do kapliczki.

- Zobacz, co przyniosłem.

W rękę trzymał dwa kawałki czerwonej nici. Pierwsza zawiązała swoją nitkę Olivia, nabab poszedł w jej ślady.

- Jak brzmi twoje życzenie? - zapytał.

- Można to wyjawić?

- Jeżeli towarzyszy ci tylko jedna osoba... Czy wiesz, dlaczego przychodzą tutaj kobiety?

O co proszą? Czy poprosiłaś o to samo?

- Tak - przyznała.

- A!

Przez chwilę panowało milczenie, które w końcu przerwał nabab.

- To zabobony. Chociaż kto wie, czasami cuda się zdarzają. Czy słyszałaś najpopularniejszą historię związaną z Dniem Powtórnych Zaślubin Męża? To oczywiście zwykłe bajanie, ludzie wykształceni jak ty czy ja...

- A jednak zawiązaliśmy nitki.

- Jedynie dla żartu.

- Kim byli ci mężczyźni?

Ponownie zamilkł. Po chwili odpowiedział pytaniem na pytanie.

- A jak myślisz? - Posłał jej jedno z tych swoich niezwykle przenikliwych spojrzeń, jednak już kilka sekund później wybuchnął śmiechem. - Zapewne jesteś przekonana, że to złooczyńcy. Musiałaś do tej pory usłyszeć wiele niesamowitych opowieści i z jakichś powodów uznałaś je za prawdziwe.

Ponownie Olivia zdecydowała, że nie musi w żaden sposób reagować na jego słowa.

- Ale nawet jeżeli są złooczyńcami, to jednak pozostali ludzcy. Tylko popatrz, po co tutaj przyszli. - Wskazał na kamienny kopczyk pośrodku kapliczki, na którym leżały świeże girlandy kwiatów i nadal tliły się kadzidelka. - Widzisz, nie zjawili się tutaj w żadnych niecznych celach. Chcieli się pomodlić.

Spojrzał na nią tak, jakby próbował przeniknąć jej myśli. Tymczasem Olivia o niczym nie myślała, ponieważ bardzo silnie zawładnęły nią zmysły. Bezkresna, rozprażona równina prześwitywała gdzieś między gałęziami. Cała moc uroku nababa skierowała się teraz tylko na Olivię.

- Chodź. Usiądź przy mnie - poprosił.

Przysiedli na stopniu wiodącym do kapliczki. Nabab podjął rozmowę łagodnym, pełnym perswazji głosem.

- Owszem, może i są wykluczeni spod prawa, ale to wciąż ludzkie istoty, które przychodzą do świętego miejsca pokłonić się wyższym mocom i prosić o łaski. Jak ty i ja...



Urwał raptownie, jakby chciał, aby prawda tych słów zapadła jej głęboko w pamięć; a może raczej - by jasno sobie uświadomiła, że połączyła ich głęboka więź.

- Gdy opuścimy to miejsce i powrócisz do Satipuru, czy powiesz: tak, nabab jest złym człowiekiem, widziałam na własne oczy, że spotyka się z bandytami, z prawdziwymi wyrzutkami, i jest z nimi w przyjacielskich stosunkach? Czy postąpisz tak, Olivio?

Teraz autentycznie zależało mu na odpowiedzi, więc szybko jej udzieliła.

- Wierzysz, że byłabym zdolna do czegoś podobnego? - Nie kryła, jak dotknęły ją te słowa, i to mu wystarczyło. Z respektem musnął palcami jej ramię.

- W żadnym razie - zapewnił. - Dlatego otwieram przed tobą serce i szczerze o wszystkim opowiadam... I przypadkiem nie myśl, że życzylbym sobie, abyś zaczęła teraz opowiadać: nabab jest nadzwyczaj szlachetnym, honorowym człowiekiem. Nic podobnego! Oczywiście chciałbym być szlachetnym mężem - wszyscy powinniśmy dążyć do ideału - ale doskonale zdaję sobie sprawę, że bardzo mi do niego daleko.

- Jak nam wszystkim - odparła Olivia, a nabab ponownie musnął jej ramię. Z jednej strony wolałaby, żeby tego nie robił, z drugiej - o niczym innym nie marzyła.

- Masz rację. Wszystkim nam wiele brakuje. Mimo to można spotkać ludzi, wbrew pozorom stanowią oni liczną grupę... - zawiesił głos w nadziei, że Olivia od razu odgadnie, o kim mowa - ...którzy uzurpują sobie prawo do wydawania sądów o bliźnich, decydowania, kto jest dobry, kto zły, jakby byli wszechwiedzący. Na przykład major Minnies ma czelność mówić mi: zrób to, nie rób tamtego... Kto nadał mu prawo przemawiania do mnie w taki sposób? Do mnie! - powtórzył z niedowierzaniem, wskazując na siebie palcem. - Do nababa Khatm!

Jego oburzenie było tak głębokie, że na moment odebrało mu głos.

- Czy wiesz, w jakich okolicznościach otrzymaliśmy nasz tytuł? Stało się to w tysiąc osiemset siedemnastym roku. Wówczas mój słynny przodek, Amanullah Khan, miał już za sobą wiele lat uciążliwych walk. Potykał się z konfederatami z Mahratty, Radżputami, Mogołami i Brytyjczykami. To były bardzo burzliwe czasy. Nieustannie przemieszczał się ze swoim oddziałem w poszukiwaniu bitew i łupów. Z czegoś musiał utrzymać i siebie, i swoich ludzi! Gdy nie starczało zdobyczy dla wszystkich, jego żołnierze wzniesli bunt i wówczas musiał się kryć nie tylko przed wrogami, ale i przed niedawnymi towarzyszami walki, wyobrażasz to sobie! Wystarczyło jednak, że los się ponownie do niego uśmiechnął, a wszyscy renegaci wracali, przyłączali się również nowi ochotnicy. Czasem więc był na wozie, innym razem pod wozem. Tak wyglądało jego życie. A mimo to bardzo mu zazdrościł, Olivio. Jego imię wzbudzało

powszechną grozę - nawet wśród Brytyjczyków! Kiedy zrozumieli, że żadnymi środkami nie zdołają go pokonać, postanowili zawrzeć z nim sojusz. O, Brytyjczycy to przebiegły naród, zawsze wiedzą, jak obrócić sytuację na swoją korzyść. Przyznali mu prawo do niepodzielnego władania Khatm i nadali tytuł nababa. A ponieważ był już wtedy bardzo zmęczony ciągłą wojaczką, wyraził zgodę na taki układ i osiadł na tej ziemi. Bo był już bardzo zmęczony - powtórzył nabab ponuro. - Problem w tym, że osiadłe życie w murach pałacu również staje się nie do zniesienia. Wówczas dochodzi się do wniosku, że może lepiej byłoby nie posiadać żadnych dóbr, tylko z bronią w ręku walczyć przeciwko wrogom. Ja w każdym razie często o tym marzę. Chciałbym, aby moi wrogowie zmierzyli się ze mną twarzą w twarz, zamiast snuć intrygi i rozsiewać oszczercze plotki. Nie sądzisz, Olivio, że tak byłoby dużo lepiej? Ja w każdym razie jestem o tym święcie przekonany! - wykrzyknął gniewnie.

Położyła delikatnie dłoń na jego piersi, jakby chciała go łagodzić. I rzeczywiście osiągnęła cel.

- Jesteś dla mnie niezwykle dobra - powiedział miękko i przykrył jej rękę swoją. Olivia nagle poczuła, że przyciąga ją do tego mężczyzny jakaś niezwykła siła - nieprawdopodobny magnetyzm, którego nie doświadczyła w towarzystwie żadnego innego człowieka.

- Posłuchaj, opowiem ci pewną historię - podjął nabab. - Swego czasu mojemu słynnemu przodkowi naraził się książę Marwaru. Zdaje się, że podał opium w niewłaściwym kielichu - to był doprawdy drobiazg, ale Amanullah Khan nie należał do ludzi, którzy tolerują choćby drobne zniewagi. W odróżnieniu ode mnie. - Olivia próbowała protestować, lecz jej nie pozwolił. - Nie mam innego wyjścia, cóż mogę zrobić. Jestem bezradny... Wróćmy jednak do opowieści. W jakiś czas później mój przodek zaprosił owego księcia wraz z całą świtą na wielką ucztę. Wzniesiono olbrzymi ceremonialny namiot, przygotowano wystawne dania. Amanullah Khan powitał swojego wroga przed wejściem do namiotu, przycisnął go nawet do serca. A gdy już wszyscy zaproszeni znaleźli się w środku, na sekretny znak ludzie Amanullaha podcięli linki. Książę Marwaru wraz ze swoimi dostojnikami zaplątał się w ciężkie płótno. Znalazł się w pułapce. Na ten moment czekał Amanullah Khan. On i jego ludzie chwycili za sztylety i tak długo dźgali uwięzionych, aż żaden z nich nie pozostał przy życiu. Ten namiot wciąż się znajduje w naszym posiadaniu, Olivio, a krew na nim jest tak czerwona, jakby to wszystko zdarzyło się zaledwie wczoraj.

Musiał wyczuć, że Olivia chce cofnąć rękę, ponieważ docisnął ją jeszcze mocniej do piersi. Teraz już nie mogłaby od niego uciec, nawet gdyby chciała.

- Nie tutaj - mruknął.

Oddalili się od kapliczki i położyli pod dużym drzewem. Gdy było po wszystkim, powiedział:

- Teraz już wiesz, na czym polega sekret Dnia Powtórnych Zaślubin Męża.

- Po co w takim razie nakłoniłeś mnie do zawiązania nitki?

W odpowiedzi wybuchnął śmiechem i nie przestawał się śmiać jeszcze przez dłuższą chwilę, bardzo zadowolony z Olivii.

\*

*31 lipca.*

Maji zakomunikowała mi, że jestem w ciąży. W pierwszej chwili jej nie uwierzyłam - nawet gdyby to była prawda, nikt nie mógłby tego zauważyć na tak wczesnym etapie - ona jednak upierała się przy swoim. Co więcej, ostrzegła, że mam się mieć na baczności, ponieważ wkrótce zbiegną się do mnie wszystkie akuszerki z miasta i zaczną na wyścigi oferować swoje usługi. Powiedziała, że one zawsze wiedzą, co się święci, zazwyczaj na długo przed zainteresowanymi. Poznają to po chodzie i posturze kobiety. Ostatecznie w taki sposób zarabiają na życie, więc nieustannie wypatrują ewentualnych klientek. Maji nie miała najmniejszych wątpliwości, że lada moment zaczną mnie nagabywać.

Mówiła o tym wszystkim z takim przekonaniem, że w końcu jej uwierzyłam. Założyłam, że po prostu jest obdarzona szóstym zmysłem - ostatecznie już od dłuższego czasu wydawało mi się, że ta kobieta dysponuje jakimiś mocami niedostępnymi dla innych śmiertelników. Pewnego razu bolała mnie głowa i Maji przyłożyła mi dłoń do czoła. Wprost nie jestem w stanie opisać przedziwnych doznań, jakich wówczas doświadczyłam. Na dodatek ten niezwykły stan utrzymywał się jeszcze przez kilka dni. Wówczas doszłam do wniosku, że Maji już niczym mnie nie zaskoczy - aż tu nagle ona mi oznajmiła całkiem od niechcienia, że rozpoznała u mnie ciążę, BO SWEGO CZASU SAMA BYŁA AKUSZERKĄ. O mało nie padłam z wrażenia. Żadna informacja nie zdziwiłaby mnie bowiem bardziej - nawet gdyby Maji wyznała wprost, że ma nadprzyrodzone zdolności.

Moja reakcja szczerze ją rozbawiła. Czy doprawdy sądziłam, że zawsze wiodła tak próżniacze życie jak obecnie? Ależ nic błędniejszego! Okazało się, że była mężatką i urodziła kilkoro dzieci. Niestety, jej mąż nie kwapił się do zarabiania pieniędzy - nad pracę zdecydowanie przedkładał wódkę palmową i towarzystwo koleżków wystających z nim razem przed sklepem z alkoholem - więc ciężar utrzymania rodziny spadł na jej barki. Matka Maji, a przedtem babka

były akuszerkami i przekazały jej wszystkie tajniki zawodu. (Jak wspomniała o babce i matce, zaczęłam się zastanawiać, czy to nie one kiedyś zajęły się Olivią! Ostatecznie to niewykluczone). Ale kiedy mąż zmarł, a dzieci poszły na swoje, zrezygnowała z uprawiania zawodu i przez kilka następnych lat pielgrzymowała do różnych świętych miejsc, gdzie starała się wchłonąć jak najwięcej nauk duchowych. W końcu powróciła do Satipuru i wybudowała tę małą lepiankę, by mieć własny dach nad głową. Od tamtej też pory przyjaciółki bardzo o nią dbają i znoszą jej jedzenie, stąd Maji może się cieszyć beztroską egzystencją. Wszystkie dzieci wyprowadziły się w odległe strony, jednak od czasu do czasu któreś z nich ją odwiedza lub przysyła list.

Tak bardzo zdumiała mnie jej opowieść - nigdy wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że ta kobieta mogła kiedykolwiek prowadzić zwyczajne, przyziemne życie! - że zupełnie zapomniałam o nowinie, którą mi obwieściła. Ale przypomniała mi o tym sama Maji. Położyła rękę na moim brzuchu i zapytała, co zamierzam zrobić. Dodała, że jeżeli potrzebuję pomocy, ona mi pomoże; w pierwszej chwili nie zrozumiałam, co miała na myśli, ale kiedy z naciskiem powtórzyła swoją propozycję, dotarło do mnie, że mówi o aborcji. Maji wyjaśniła, że choć od dawna nie praktykuje, wciąż ma pełną wiedzę o tych sprawach. Istnieje wiele sposobów spędzenia płodu i swego czasu stosowała każdy z nich z dużym powodzeniem. To jedna z najistotniejszych umiejętności w zawodzie akuszerki, ponieważ w rozlicznych wypadkach przerwanie ciąży jest jedynym sposobem uratowania ludzi przed utratą honoru i cierpieniem. Opowiedziała mi o kilku aborcjach, które przeprowadziła właśnie w tym szczytnym celu, i tak mnie zafascynowały jej wspomnienia, że ponownie zapomniałam o moim stanie. Dopiero gdy wracałam do domu w strugach deszczu - właśnie nadeszła pora monsunowa - zaczęłam się zastanawiać nad swoim położeniem. I przede wszystkim ogarnęła mnie ciekawość do spółki z rozbawieniem, więc w podskokach biegłam przez kałuże, wybuchając śmiechem, ilekroć woda rozpryskiwała się na wszystkie strony.

*15 sierpnia.*

Niespodziewanie powrócił Chid. Jest tak odmieniony, że w pierwszej chwili w ogóle go nie poznałam. Nie nosi już pomarańczowego stroju, zaopatrzył się natomiast w koszulę, spodnie khaki i buty. W niebyt odeszły także paciorki modlitewne oraz żebracza miseczka, za to na jego głowie pojawiła się krótka szczecinka. W ten oto sposób z hinduskiego ascety Chid przemienił się w postać, którą mogę określić jedynie jako dobrego, chrześcijańskiego chłopca. Ale proces transformacji nie zakończył się na czysto zewnętrznych aspektach. Chid stał się

bardzo zamknięty w sobie - nie tylko nie głosi już swoich filozoficznych monologów, lecz praktycznie w ogóle nie otwiera ust. I na dodatek znowu jest chory. O ile nie liczyć krótkich wycieczek do toalety, całe dni przesypia w kącie mojego pokoju. Nie wyjawiał, dlaczego i w jakich okolicznościach rozstał się z Ritu i matką Indera Lala. Nie mam też pojęcia, co go doprowadziło do tak drastycznej przemiany. Chid nie chce o tym opowiadać. Usłyszałam od niego jedynie: „Nie mogę znieść tego zapachu”. (Oczywiście, wiem, co ma na myśli - zapach ludzi, którzy żyją i odżywiają się inaczej niż my; zwróciłam na to uwagę jeszcze w Londynie, gdy w zatłoczonym autobusie lub metrze stałam obok Hindusów). Chid nie jest teraz w stanie tknąć indyjskiego jedzenia. Może jadać tylko mdłe, gotowane potrawy, a najbardziej się cieszy, gdy podaję mu angielską zupę. Wystarczy natomiast zapach indyjskich przypraw, a wydaje z siebie okrzyki obrzydzenia i natychmiast dostaje mdłości.

Inder Lal jest bardzo rozczarowany Chidem. Wciąż jeszcze czeka na krasomówcze fajerwerki, kwieciste objaśnienia hinduistycznej doktryny, jednak Chid jest już całkiem wypalony. Istnieją jeszcze inne powody, dla których Inder Lal nie jest zadowolony z powrotu niedawnego sadhu. Powinnam w tym miejscu wyznać, że od czasu pikniku przy kapliczce Baby Firdausa w naszych wzajemnych stosunkach zaszła istotna zmiana. Zaczęliśmy razem spędzać noce. Ze względu na sąsiadów Inder Lal udaje, że układa się do snu w swoim mieszkanku, a gdy zapadają gęste ciemności, zakrada się do mojego pokoju. Osobiście jestem przekonana, że wszyscy o tym dobrze wiedzą, ale nic sobie z tego nie robię. Zresztą ci ludzie też nie mają nic przeciwko temu. Zdają sobie sprawę, że Inder Lal czuje się samotny, tęskni za żoną i matką, a ostatecznie żaden człowiek nie powinien żyć bez rodziny.

Przez pierwsze dni po powrocie Chida Inder Lal wstydział się przychodzić nocami na górę. Zapewniłam go jednak, że nie ma się czym przejmować, ponieważ Chid niemal bez przerwy śpi. Leży w swoim kącie i tylko od czasu do czasu pojękuje; wprost nie sposób uwierzyć, iż jeszcze niedawno dokonywał tak niezwykłych erotycznych wyczynów. Wraz z Inderem Lalem kładziemy się na moim pościeliu po przeciwnej stronie pokoju i za każdym razem jest cudownie. Teraz już w pełni mi ufa i okazuje bardzo dużo czułości. Wiem, że najbardziej lubi przebywać ze mną w całkowitych ciemnościach. Ciemność zwiększa poczucie intymności. No i Inder Lal mnie nie widzi - mam świadomość, że mój wygląd był dla niego zawsze problemem. W gęstym mroku łatwiej mu o tym zapomnieć i daje się ponieść namiętnościom. I nie tylko w sensie czysto fizycznym (choć to także); śmiało obnaża również swoje wnętrze - pokłady tkliwości, skłonność do figli. W takich chwilach przypominają mi się opowieści o dzieciństwie



Kriszny i jego filuternych psotach. Myślę też o tym, że rozwijająca się we mnie istota jest częścią Indera Lala. Nie powiedziałam mu jednak do tej pory o ciąży.

Chociaż próbowałam. Pewnego dnia przyszłam po niego do biura i zabrałam go na brytyjski cmentarz leżący po drugiej stronie ulicy, ponieważ nie znam w Satipurze bardziej ustronnego miejsca. Inder Lal do tej pory nie interesował się tym cmentarzem; okazało się, że nigdy wcześniej nie chciało mu się choćby tutaj zajrzeć. Jediną rzeczą, która wywarła na nim wrażenie, był włoski anioł Saundersów, wciąż górujący nad grobami, choć już nie w geście łaskawego błogosławieństwa, lecz jako bezgłowy, pozbawiony skrzydeł tors. Inderowi Lalowi nie przeszkadzają jednak te okaleczenia. Ostatecznie wychował się wśród posągów bezrękich aspar i bezgłowych Siwów galopujących na szczątkach kamiennych byków. Trzeba przyznać, że w swoim obecnym stanie anioł bardziej przypomina te starożytne indyjskie posągi niż wytwór włoskiej sztuki sepulkralnej.

Pokazałam mu kamień nagrobny porucznika Edwardsa i przeczytałam inskrypcję: „Czuły i wyrozumiały ojciec, ale nade wszystko cudowny, najdroższy mąż”. Spojrzałam na Indera Lala i powiedziałam:

- To oznacza, że był bardzo dobrym ojcem i mężem. Jak ty.

- A co mogę zrobić? - odparł dość osobliwie.

Prawdopodobnie chciał przez to powiedzieć, że nie ma innego wyjścia - bez względu na to czy mu się to podoba czy nie, na tym etapie życia musi być dobrym mężem i ojcem. Myślę, że nie jest zachwycony tym stanem rzeczy. Tak czy inaczej zdecydowałam, że nie powiem mu o ciąży. Nie chcę niczego popsuć.

1923

Kiedy Olivia się zorientowała, że jest w ciąży, nie powiedziała o tym Douglasowi. Oczywiście zamierzała to zrobić, ale odkładała zasadniczą rozmowę z dnia na dzień i ostatecznie tak się złożyło, że najpierw poinformowała o swoim stanie nababa.

Pewnego ranka, gdy przyjechała do pałacu, jej oczom ukazał się nieopisany chaos. Wszyscy biegali tam i z powrotem, ładowali skrzynie i wykrzykiwali sprzeczne instrukcje. Nawet Harry w swoim pokoju zajmował się pakowaniem i był w wyjątkowo dobrym nastroju. Powiedział, że wreszcie wyruszają do Mussourie, ponieważ tak ubiegłego wieczoru postanowiła *begum*. Jedną z jej dam zaniemogła i doradzono zmianę klimatu, więc matka nababa zarzą-



działa wyjazd całego dworu. Stwierdziła, że Harry'emu także górskie powietrze wyjdzie na zdrowie; od kilku tygodni bardzo się o niego martwiła.

- Doprawdy? A często się z nią widzisz? - zapytała Olivia.

Od czasu, gdy Harry jej powiedział, że brak zaproszenia do części kobiecej pałacu jest wobec niej afrontem, nigdy nie rozmawiali o księżnej. Niemniej Olivia miała świadomość, że Harry bywa w *purdah* częstym i zaufanym gościem.

- Codziennie - odparł. - Grywamy w karty. Ona to bardzo lubi.

- Szybko zmienił temat. - Na dodatek nabab stwierdził, że ma dość tego pałacu, jest śmiertelnie znudzony, więc dzisiaj wszyscy są pochłonięci pakowaniem.

- On jest znudzony?

- Tak przynajmniej utrzymuje. Ale za tym kryje się coś poważniejszego. - Ściągnął brwi i pilnie skupił się na walizie.

- Co mianowicie?

- Och, nie mam pojęcia, Olivio - odpowiedział. Zrobił to niechętnie, choć jednocześnie widać było, że miałby ochotę podzielić się swoimi odczuciami. - On nie chce mi powiedzieć, o co dokładnie chodzi, ale wiem, że znalazł się w ciężkim położeniu. Notabene właśnie w tej chwili jest u niego major Minnies. Nie widziałaś jego samochodu przed pałacem? Bałem się nawet, że wpadniecie na siebie na schodach.

- Dlaczego się bałeś? Przecież nic by się nie stało. Ostatecznie przyjechałam do ciebie w odwiedziny.

- No tak. Do mnie. - Harry wrócił do pakowania. Olivia rzuciła poirytowanym głosem:

- Och, Harry, oderwij się na moment i powiedz mi, o co chodzi. Muszę wiedzieć!

Wciąż klęcząc na podłodze przed walizą, obrócił się przez ramię i posłał jej takie spojrzenie, że natychmiast zmieniła ton.

- Proszę. Bardzo chciałabym wiedzieć.

- Ja również - odparł Harry. Porzucił walizę i przysiadł obok Olivii.

- A może nie? Może tak naprawdę wolałbym niczego nie widzieć i nie słyszeć?

Oboje w milczeniu wpatrywali się w okno, z którego rozpościerał się widok na rozległy ogród. W wodach kanałów irygacyjnych przecinających trawniki odbijało się niespokojne niebo, po którym sunęły monsunowe chmury.

W końcu Harry powiedział:

- Wiem, że jest w poważnych tarapatkach. I to od lat. Przede wszystkim ma problemy finansowe - Khatm praktycznie zbankrutowało. Do tego dochodzi sprawa z Sandy i Cabobpurami, którzy ślą oficjalne skargi na prawo i lewo i chcą wywalczyć przed sądem zwrot posagu. Oczywiście to usztywnia jego stanowisko, upór pcha go do kontrataku, na który tak naprawdę nie może sobie pozwolić. Od pewnego czasu rząd Indii Brytyjskich odnosi się do niego z kostyczną wrogością i wiem, że ostatnio musiał wysłuchać kilku bardzo nieprzyjemnych uwag od majora Minniesa. Nienawidzę wizyt tego majora! - wybuchnął nagle Harry. Krew uderzyła mu do twarzy, widać było, że niechętnie porusza ten temat, mimo to kontynuował: - Nienawidzę, bo bardzo rozdrażniają księcia. I potem odreagowuje na mnie złość... nie myśl, że się skarżę, w żadnym razie. Cieszę się, że daje upust emocjom, skoro to przynosi mu ulgę. Widzę przecież, jak bardzo cierpi. Jest niesamowicie, nieprawdopodobnie wrażliwym człowiekiem, Olivio, więc gdy ktoś traktuje go w taki sposób jak major Minnies... rzuca groźby...

- Cóż za czelność! - oburzyła się Olivia.

- Widzisz, rzecz w tym, że on jest nic nieznaczącym księciem, więc nie muszą się z nim liczyć, tak jak na przykład z Cabobpurami. To dla niego strasznie bolesne. Zdaje sobie sprawę, że jest porównywany z innymi władcami i na ich tle wypada blado. Tymczasem gdybyś zobaczyła Cabobpura... to spasiony wieprz, który nie ma w sobie nic z monarszej godności. Tymczasem on...

- Tak, wiem.

Zza drzwi dobiegło pokrzykiwanie nababa oraz odgłos jego charakterystycznych kroków. Olivia i Harry zastygli w oczekiwaniu. Księżę wpadł do komnaty bez pukania, co było do niego zupełnie niepodobne: zazwyczaj pilnie przestrzegał wszelkich kurtuazyjnych form i uprzejmie pytał przyjaciela, czy może wejść do jego apartamentu. Ale teraz, naturalnie, znajdował się w stanie silnego wzburzenia. Przemaszerował sztywno przez pokój i kipiąc z wściekłości, opadł na stojącą pod oknem otomanę.

- Osobiście udam się do wicekróla! - oświadczył. - Nie ma sensu prowadzić pertraktacji z majorem Minniesem czy jemu podobnymi. To tak, jakby się dyskutowało... ze służącymi. A ja nie pertraktuję ze służbą.

- Nozdrza gniewnie mu zadrgały. - Gdy jeszcze raz się tu pojawi, odprowadzę go z kwitkiem. I podreżę każde pismo, które ośmieli się do mnie napisać, a potem odeślę z powrotem. - Spojrzał bystro na Harry'ego.

- Ty mógłbyś mu je odwieźć. Rzuciłbyś porwane skrawki Minniesowi w twarz i powiedział: Oto masz pan odpowiedź! Ale ty z pewnością byś się na to nie odważył.

Zaczął świdrować przyjaciela złym wzrokiem i Harry natychmiast spuścił powieki. Olivia także nie miała ochoty patrzeć w owej chwili na nababa.

- Naturalnie, boisz się majora Minniesa i innych kreatur jego pokroju. Nie siedź tak, niemy niczym głaz. Odezwij się! Powiedz coś! Och, w gruncie rzeczy niczym się nie różnisz od Minniesa. Zupełnie nie rozumiem, czemu wciąż jeszcze tu jesteś. W istocie wolałbyś przebywać w towarzystwie tego majora i innych Brytyjczyków. Dbasz tylko o nich, a wobec mnie zachowujesz całkowitą obojętność!

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. - Harry starał się zachować jak najbardziej rzeczowy i spokojny ton.

Ale to tylko bardziej rozjuszyło nababa. Zwrócił się do Olivii:

- Teraz zaczyna odgrywać przede mną Anglika - stonowanego, zdystansowanego dżentelmena, który nigdy nie traci zimnej krwi. Naśladuje majora Minniesa. Jakże odmiennego od tych strasznych, nieokrzęsanych ludzi Wschodu. Olivio, czy ty też nienawidzisz mieszkańców Orientu? Czy nami pogardzasz? Oczywiście, że tak. I zapewne słusznie. Ostatecznie jesteśmy głupcami: ujawniamy swoje uczucia, i w ten sposób pozwalamy, by inni deptali je do woli. Anglicy to wielcy szczęściarze - są zupełnie pozbawieni uczuć. Tylko spójrz na niego - wskazał palcem na Harry'ego.

- Znamy się od lat, ale czy ja w ogóle go obchodzę? Widzisz? Nawet nie chce ze mną rozmawiać.

Siedział przy oknie, zwrócony profilem odcinającym się ostro od szarego błękitu nieba i zieleni ogrodu; ten widok przywodził na myśl portret władcy przedstawionego na tle swoich włości.

- Gdy zaś chodzi o ciebie... - Nabab skierował wzrok na Olivię

- Ty też o mnie nie dbasz.

- Doprawdy? To dlaczego tutaj przyjechałam?

- Odwiedzić Harry'ego. Lubisz jego towarzystwo. I jestem ci bardzo wdzięczny za to, że darzysz go przyjaźnią. Bez ciebie umarłby z nudów. I był bardzo osamotniony. Szczególnie teraz, gdy zapadł na zdrowiu... - Nabab wstał i gestem pełnym troski położył rękę na ramieniu przyjaciela.

- Dłużej tego nie zniosę - jęknął Harry.

- Tak, wiem. Jestem nieznośnym człowiekiem. Major Minnies ma rację.

- Nie o to mi chodziło.

- Niemniej to prawda.

Wyszedł z komnaty; Olivia pospieszyła za nim. Kiedy schodził po schodach, zawołała go po imieniu, czego nigdy wcześniej nie robiła. Zatrzymał się natychmiast, szczerze zdumiony.

Podbiegając do nababa, nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć. Gdy się później nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że wcale nie zamierzała poinformować go o ciąży. A jednak tak właśnie postąpiła. Musiała mówić bardzo ściszym głosem, bo znajdowali się w samym środku pałacu, na każdym podeście roilo się od służby, a do tego Bóg jeden wie, ile kobiet czaiło się za kotarami galerii.

Po powrocie do domu Olivia zdecydowała, że w zaistniałej sytuacji byłaby nie fair wobec Douglasa, gdyby i jemu nie powiedziała o swoim odmiennym stanie, więc zrobiła to jeszcze tego samego wieczoru.

Nazajutrz o zachodzie słońca Olivia czekała nie tylko na męża, ale i na majora Minniesa, zaproszonego na kolację. Tymczasem koło ósmej przybył goniec z wiadomością, że obaj panowie przybędą z opóźnieniem. Znowu wydarzyło się coś nieoczekiwanego, Douglas jednak w swoim liściku nie wyjaśnił, o co chodzi. Olivia usiadła na werandzie. Dzień upłynął na pełnym napięciu oczekiwaniu - nie, nie na Douglasa, lecz na wieści z pałacu. Żadne jednak nie nadeszły. Olivia nie rozumiała, co się stało: nabab i Harry mieli wyruszyć do Mussourie, nie mogła jednak uwierzyć, że opuścili Khatm, uprzednio się z nią nie kontaktując - jeżeli nie osobiście, to przynajmniej listownie. Tak czy inaczej zdecydowała, że jeżeli wyjechali, ona także opuści Satipur. Powie Douglasowi, że już nie jest w stanie dłużej znieść upału i musi natychmiast przenieść się w góry. Te godziny samotnego, bezowocnego wyczekiwania uświadomiły jej, że jeśli nie wyrwie się z murów tego domu, to postrada zmysły.

Ale gdy Douglas i major Minnies dotarli w końcu na kolację, postarała się ukryć swoje rozterki i odegrała rolę, jakiej od niej oczekiwano. Zasiadła za stołem pomiędzy dwoma białymi świecami - w równie białej, koronkowej sukni - i nawet opowiedziała zabawną historyjkę o tym, jak podczas regat ona i Marcia były zaproszone na przyjęcie z szampanem nad brzegiem rzeki Cam i jak wyróciła się wówczas jedna z łódek.

Przez cały czas wyczuwała, że towarzyszący jej dżentelmeni są wewnątrz równie spięci i wzburzeni jak ona. Kiedy przyszedł czas na brandy i cygara, Olivia wstała od stołu i

usiadła na frontowej werandzie. Wówczas obaj panowie zaczęli o czymś dyskutować bardzo przejętymi głosami, i nawet kiedy już podeszli, wciąż mieli posępne miny.

- Może jednak zechcecie mi panowie powiedzieć, co się stało?

Zrobili to niechętnie (major Minnies stwierdził, że szkoda psuć nastrój tak miłego wieczoru). Oczywiście znowu chodziło o nababa. Jego bandyci przestali się ograniczać do obszaru wokół Khatm i wtargnęli na terytorium znajdujące się pod jurysdykcją pana Crawforda. Napadli na jedną z wiosek położonych niecałe dziesięć kilometrów od Satipuru, po czym zbiegli z pieniędzmi i biżuterią. Nikt co prawda nie zginął, ale wiele osób zostało poważnie poturbowanych. Jednej z kobiet bandyci nawet obcięli nos. Gdy tylko wieści z wioski dotarły do Satipuru, pan Crawford w towarzystwie Douglasa poinformował o wszystkim majora Minniesa, który niezwłocznie udał się do pałacu. Nie został jednak przyjęty przez nababa.

- To zapewne dlatego, że wyjechali do Mussourie - podsunęła Olivia i na wszelki wypadek dodała: - Wczoraj się widziałam z Harrym, mówił mi o tych planach.

- Owszem, mieli wyjechać, ale skończyło się jak zwykle: *begum* zmieniła zdanie - odparł major Minnies. - Nie wiem, co się wydarzyło tym razem; zdaje się, że ktoś usłyszał pohukiwanie puszczyka, a to naturalnie fatalny omen przed podróżą, toteż wszyscy musieli się rozpakać.

Olivia wybuchnęła śmiechem - pozornie rozbawiona niedorzeczną wiarą w zabobony. Ale tak naprawdę była to wielka podszyta ulgą radość, że jednak nie wyjechali, że pozostali w Khatm.

Major Minnies ciągnął tymczasem:

- Szczerze powiedziawszy, nie zdziwiłem się, że mnie nie przyjął. Niestety, wczoraj doszło między nami do dość burzliwej wymiany zdań. I tego młodzieńca... trochę poniosło.

- Niebywały tupet! - zaperzył się Douglas. - Mam nadzieję, że rząd nie zamierza się z nim dłużej patyczkować.

- Nie. Wygląda na to, że miara się przebrała. Rządowe młyny miały powoli, ale za to na drobny pył. Skądinąd obawiam się, że właśnie ta moja uwaga tak bardzo rozjuszyła naszego przyjaciela.

- Pana to dziwi? - spytała Olivia.

Pomimo ciemności panujących na werandzie, nie miała wątpliwości, że major skierował na nią uważne spojrzenie. Powoli zaciągnął się cygarem - żar rozjarzył się w mroku - po czym odparł spokojnie:

- Nie.

Za to Douglasowi daleko było do opanowania swojego gościa.

- Najwyższy czas, aby ktoś wreszcie natarł mu uszu! - rzucił zapalczywie.

- Mówisz o nim tak, jakby był uczniakiem! - oburzyła się Olivia. Major Minnies - zawsze roztropny i sprawiedliwy - poczuł się w obowiązku interweniować.

- Pod wieloma względami to wspaniały człowiek - stwierdził.

- Odznacza się wyjątkowymi walorami, gdybyż tylko szły one w parze z pewną samodyscypliną i powściągliwością... - Olivia znowu poczuła na sobie jego wzrok. - Muszę przyznać, że na swój sposób go podziwiam. Pani również, jak sądzę.

- Owszem.

- I słusznie. Nie, nie... - powstrzymał Douglasa, gdy ten próbował protestować - ...musimy zachować uczciwość w ocenach. To silna, władcza osobowość, więc niewykluczone, że w innych okolicznościach... Wiele o nim rozmyślałem - przyznał. - Jak państwo wiecie, znam go od lat i nie mogę zaprzeczyć, że niemal przez cały ten czas stwarzał nam problemy.

- I to jakie! - wtrącił Douglas; nie był w stanie się powstrzymać.

- Ten człowiek jest zagrożeniem dla naszej administracji, dla samego siebie i dla nieszczęsnych mieszkańców jego żalosego państewka. Najgorszy typ władcy - najgorszy typ Hindusa - z jakim można mieć do czynienia.

- Zapewne jest w tym wiele racji - przyznał major Minnies i na dłuższą chwilę pogrążył się w refleksyjnej zadumie. Gdy w końcu się odezwał, mówił z wolna i z namysłem jak ktoś, kto zamierza uczynić ważne wyznanie:

- Niekiedy dochodzę do wniosku, że człowiek mojego pokroju nie nadaje się do życia w Indiach. Nawet kilkakrotnie dyskutowałem na ten temat z Mary. Nie znaczy to, oczywiście, że kiedykolwiek rozważałem możliwość zmiany zawodu czy wyjazdu z tego kraju; nigdy bym tego nie uczynił, za żadne skarby! - rzucił ze zdumiewającą pasją. - Zdaję sobie natomiast sprawę, że przekroczyłem barierę, której nie powinno się przekraczać.

- A co się znajduje po drugiej stronie tej bariery? - zapytała Olivia.

- Inny wymiar - roześmiał się, by złagodzić wymowę własnych słów. - Obawiam się, że pozwoliłem sobie na zbyt daleko posuniętą fascynację. Weźmy na przykład nababa: nie mogę zaprzeczyć, że ten człowiek mnie fascynuje, tak jak bez wątpienia - zwrócił się ku Olivii - fascynuje i panią.

- Wielkie nieba, najdroższa - Douglas parsknął śmiechem - to chyba niemożliwe?



- No, cóż... - Olivia również się zaśmiała - nabab jest z pewnością intrygującym mężczyzną. Do tego niebywale przystojnym.

- Naprawdę? - zdumiał się Douglas, jakby nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

- Ależ oczywiście - zdecydował major Minnies. - To ostatecznie ... prawdziwy książę. Nie ma dla niego lepszego określenia. Problem w tym, że tak małe dominium nie jest w stanie zaspokoić ani jego monarszych, ani finansowych ambicji.

Ta uwaga wyraźnie rozbawiła Douglasa.

- I aby to sobie powetować, musiał, biedaczysko, odwołać się do pospolitego rozboju?

- Uważam również - ciągnął niewzruszenie major - że nasz przyjaciel śmiertelnie się nudzi. Jest spragniony przygód, tęskni do rozmachu... Zawsze wiem, kiedy ogarnia go głęboka frustracja, bo wówczas zaczyna opowiadać o swoim przodku, Amanullahu Khanie.

- O tym zbójcu - mruknął Douglas.

- Rzeczywiście był zbójcą? - zainteresowała się Olivia.

- Raczej żądnym przygód ryzykantem żyjącym w czasach awanturników jemu podobnych. I tego właśnie potrzeba naszemu przyjacielowi - ryzyka. Nie jest typem człowieka, który znajduje upodobanie w pałacowym życiu. A tymczasem na nic innego nie może liczyć, co gorsza niczego innego nie dane mu było zasmakować.

- I tak już pozostanie - zawyrokował Douglas.

- Dobrze znałem jego ojca. - Major zwrócił się do Olivii. - To dopiero była postać. Miał wielką słabość do bajader aż do czasu, gdy pojechał do Europy i odkrył, że istnieje coś takiego jak kabaretowe girlsy. Kilka tych pań przywiózł nawet do Indii, a jedna pozostała przy nim na wiele lat. Ulokował ją w pokojach, które teraz zajmuje ten... jak to go zwać?

- Harry?

- Notabene, tam właśnie stary nabab dokonał żywota. Dostał udaru, gdy figlował z ową tancerką... Był prawdziwym koneserem poezji urdu. Co roku organizował symposium w Khatm, na które zjeżdżali najwybitniejsi poeci ze wszystkich zakątków Indii. Zresztą sam się zaliczał do całkiem niezłych poetów. Często składał wersy... Poczekajcie państwo, może uda mi się przywołać kilka z nich z pamięci...

Chwilę później rozpoczął recytację w miodopłynnym urdu, brzmiącym niezwykle pięknie dla ucha. Olivia spojrzała w niebo, wzburzone falami monsunowych chmur, pomiędzy którymi z wolna żeglował księżyc. Pogrzeżyła się we własnych myślach.

- „Czy na płatkach róży zawisła rosa, czy raczej łyzy? O, księżycu! Twój srebrny blask przemienia wszystko w perły” - przetłumaczył major. I zaraz dodał przepraszająco: - Obawiam się, że po angielsku nie brzmi to najlepiej.

- Rzeczywiście, przekłady nigdy się nie sprawdzają - przyznał Douglas. W ciemności pochwycił rękę żony. Major kontynuował recytację w urdu. Miał donośny, rezonujący głos, więc Douglas zdołał niepostrzeżenie szepnąć do Olivii:

- Dobrze ci?

Uśmiechnęła się, a on uściskał jej dłoń.

- Szczęśliwa? - zapytał, a kiedy ponownie odpowiedziała uśmiechem, uniósł jej rękę do ust.

Major tego nie zauważył. Recytował z oczami wzniesionymi ku niebu głosem nabrzmiałym nostalgią i rewerencją. W końcu westchnął:

- Poruszające. Doprawdy poruszające.

- W istocie - przyznała kurtuazyjnie Olivia. Tak naprawdę, ani ta poezja, ani uniesienia majora nie zrobiły na niej większego wrażenia. Były puste, nic nieznaczące. Przypomniała sobie słowa Minniesy na temat przekraczania bariery i ogarnęło ją politowanie. Czy on doprawdy wierzył, że ckliwy sentymentalizm wzbudzony orientalnymi wersami wyrecytowanymi w księżycową noc jest równoznaczny z przejściem do innego, nieznanego świata?! Ta myśl tak bardzo ją rozbawiła, że wybuchnęła głośnym śmiechem, który Douglas uznał za oznakę jej zadowolenia i poczuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd.

- Wiedziałaś, że nabab zmarł w tym pokoju? - Olivia spojrzała bacznie na Harry'ego.

- Co jeszcze słyszałaś?

- Ponoć była przy nim jakaś tancerka wodewilowa ...

Harry parsknął śmiechem, a potem opowiedział Olivii, jak dalej potoczyła się historia. Po śmierci starego nababa, *begum* zdecydowała, że nie wypuści *girls* z pałacu, dopóki ta nie odda wszystkich kosztowności podarowanych jej przez kochanka. Dziewczyna - wedle słów Harry'ego, twarda sztuka z Yorkshire - postanowiła mimo wszystko zachować co nieco dla siebie, ale na swoje nieszczęście nie doceniła przeciwniczki. Pewnego dnia - a właściwie w środku nocy, sprostował Harry - nieszczęsna *girl* zjawiła się w Satipurze bez żadnego bagażu, odziana jedynie w satynową koszulę nocną i japońskie kimono. Roztrzęsiona, na wpół przytomna z przerażenia utrzymywała, że *begum* próbowała ją otruć. Superintendent wraz z żoną, nie do końca sceptyczni wobec słów uciekinierki, zrobili wszystko, co mogli, aby ją uspokoić - obie-

cali, że zostanie bezpiecznie odwieziona do Bombaju i pierwszym statkiem popłynie z powrotem do kraju. Kiedy jednak zaproponowali, że poślą do pałacu po jej rzeczy, kochanka nababa wpadła w histerię i błagała, by pod żadnym pozorem tego nie robić. Zrelacjonowała im opowieść o zatrutej sukni ślubnej, którą wysłano niechcianej pannie młodej: gdy tylko nieszczęsna włożyła stanik ze złotogłowiu, materiał przywarł do jej ciała, nasączając skórę śmiercionośną maścią. Tancerka przysięgała, że ta historia jest prawdziwa, ponieważ usłyszała ją z ust samego nababa; dodała przy tym, że wszelkie próby ratowania niedoszłej oblubienicy spełzły na niczym - dziewczyna zmarła w strasznych męczarniach. Stara wiedźma, która spreparowała tę szatę Dejaniry, wciąż jeszcze żyła i pławiła się w luksusie w pałacowym skrzydle dla kobiet, gdzie kształciła nowe adeptki swojej sztuki. „Och, państwo nawet sobie nie wyobrażacie, co tam się wyrabia!”, powtarzała eksgirlsa, drżąc na całym ciele. Nikt nie był w stanie złagodzić jej fobii i chociaż *begum* z własnej inicjatywy przysłała bagaże dziewczyny, ta nie chciała ich tknąć i wyjechała do Bombaju z przedziwną zbieraniną ubrań użyczonych jej przez Angielki mieszkające w Satipurze.

Olivia słuchała opowieści Harry'ego z pobłażliwym uśmiechem.

- Ta tancerka musiała być wariatką. Dlatego demonizowała te podstarzałe biedaczki zapelniające *purdah* - stwierdziła. Po czym zapytała od niechcienia: - Czy one o mnie wiedzą?

- Co konkretnie masz na myśli? - odparł Harry.

Olivia w zasadzie nie zaprzętała sobie głowy damami z pałacu. Niekiedy odnosiła wrażenie, że kotary na galerii lekko się poruszają, ale nie spoglądała wówczas w górę. Nabab natomiast nigdy choćby słowem nie wspominał o swojej matce. Doszła do wniosku, że *begum* należała do innej sfery jego życia, zajmowała wyjątkowe, odosobnione miejsce w jego sercu. Ta świadomość podsycala dumę i upór Olivii - sama więc też nie pytała nababa o matkę; po prostu nie przyjmowała do wiadomości istnienia starej księżnej.

Tymczasem nabab zaczął jej okazywać niezwykłą czułość. Codziennie przysyłał po nią samochód, a w pałacu nie robił tajemnicy z łączących ich stosunków. Zabierał nawet Olivię do swojej sypialni. Teraz szła za nim wszędzie, gdzie tylko sobie zażyczył, spełniała każdą jego zachciankę. I robiła to zupełnie otwarcie. Często dźwięczały jej w uszach słowa Harry'ego, wypowiedziane dawno temu. „Takiemu człowiekowi nigdy się nie odmawia”. Przekonała się o tym osobiście.

Nabab był zachwycony jej odmiennym stanem. Często gładził ją po smukłych biodrach i idealnie płaskim brzuchu, pytając:

- Naprawdę urodzisz mi dziecko? Nie boisz się? Cóż za niebywała odwaga!

W jego głosie zdumienie mieszało się z podziwem, a rozbawiona Olivia, wybuchła śmiechem.

Ani przez moment nie wątpił, że to jego dziecko. W ogóle nie dopuszczał do siebie innej możliwości, toteż Olivia - choć sama niepewna ojcostwa - nigdy się nie odważyła na poruszenie tej kwestii.

Stał się wobec niej zaborczy. Co wieczór starał się odwlec jej powrót do domu - posuwał się nawet do błagań, by została jeszcze trochę dłużej. Nie znosiła, kiedy tak się zachowywał, i w rezultacie to ona zaczynała prosić, aby pozwolił jej odjechać. Mówił wtedy: „Wobec tego jedź”, był jednak strasznie przygnębiony, więc przychodziło jej to z coraz większym trudem. Ale przecież nie miała wyboru. Drżała teraz przed nadejściem godziny rozstania - przed tą chwilą, gdy on zacznie powtarzać: „Nie. Zostań”.

Ostatnio powiedział:

- Nie. Zostań ze mną. - Po czym dodał: - I tak wkrótce będzie to musiało nastąpić. Będziesz musiała tutaj zamieszkać. - Mówił o tym z wielkim przekonaniem.

Wiedziała, że gdyby zapytała: „A co z moim mężem?”, w odpowiedzi machnąłby jedynie lekceważąco ręką. Dla niego Douglas już dawno temu przestał istnieć.

Pewnej niedzieli przyjechał z Ambali angielski pastor i gościnnie odprawił mszę w małym kościółku. Po uroczystości Olivia i Douglas zaszli na cmentarz, którego nie odwiedzali od dnia, gdy tam się poróżnili. Teraz wyglądało tu zupełnie inaczej. Chociaż słońce nadal prażyło, na drzewach już nie zalegał pył - jego miejsce zajęła wilgoć, spod której przebijała soczysta zieleń. Deszcze zmyły również kurz z nagrobków, więc inskrypcje nabrały większej wyrazistości. Spomiędzy kamieni wychylały się kępki chwastów.

Douglas maszerował pomiędzy mogiłami i odczytywał na głos znajome epitafia. Był tym tak pochłonięty, że stawiał zbyt długie kroki, szedł zbyt szybko i mimowolnie zostawił żonę z tyłu. Zawołała na niego. Odwrócił się i ujrzał Olivie zmięrzającą ku niemu w jasnofiołkowej sukni i z parasolką tego samego koloru w dłoni. Pospieszył ku żonie i chwycił ją w objęcia. A potem ruszyli już razem, trzymając się pod ręce. Douglas opowiadał o dzielnych oficerach, którzy znaleźli tutaj ostatnie miejsce spoczynku, a także o innych młodych ludziach, swoich przodkach - „świątecznych gościach” - leżących na rozmaitych cmentarzach w różnych zakątkach Indii. Byli wśród nich: Edward Rivers, jeden z młodych zarządców Pendżabu w drużynie sir Henry'ego Lawrence'a; John Rivers, słynny myśliwy polujący z oszczepem na dziki, który

zmarł po upadku z konia w Meerut; a także imiennik Douglasa, który poległ w okresie Rebelii. Należał do grupy odpierającej szturm na Kaszmirową Bramę, w czasie którego zginął również bohater Delhi, John Nicholson. Przodek Douglasa skonał z powodu odniesionych ran dzień po Nicholsonie i został pogrzebany obok niego na cmentarzu w Delhi, nazwanym później imieniem bohatera. Ton, w jakim Douglas snuł swoją opowieść, skłonił Olivię do komentarza:

- Można odnieść wrażenie, że mu zazdrościsz.

- Cóż - mruknął Douglas z pewnym zażenowaniem - to nie najgorszy sposób odejścia z tego świata... W każdym razie lepszy niż zapicie się na śmierć - dorzucił żartobliwym tonem. - A tacy również się zdarzali w mojej rodzinie. Życie może stać się męczące, gdy zbyt długo tkwi się na placówce w zupełnym osamotnieniu.

- Nie licząc towarzystwa zaledwie kilku milionów Hindusów - wyrwało się Olivii.

Ale właśnie w owej chwili doszli do anioła Saundersów i Douglas koncentrował się już tylko na tym, jak odwieść uwagę żony od tego nagrobka. Przytulił jej głowę do swojego ramienia i nie puszczał, póki nie doszli do mogiły porucznika Edwardsa. Tutaj Douglas postanowił się zatrzymać, ponieważ grób znajdował się w cieniu rozłożystego drzewa.

- „Czuły i wyrozumiały ojciec” - odczytał głośno. A potem ucałował żonę i spytał cicho:

- Wolałabyś, żeby nas syn został wojskowym czy zasilił korpus urzędniczy?

- Skąd wiesz, że to będzie chłopiec?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości... I jestem też pewien, że zdoła się szczytnie zapisać w pamięci potomnych. Przekonasz się. - Pocałował ją raz jeszcze, po czym przesunął dłoń po jej szczupłych biodrach i płaskim brzuchu.

- Nie boisz się? - wyszeptał. - Naprawdę urodzisz mi dziecko? Cóż za niebywała odwaga!

Pomyślał, że jej przygnębienie jest skutkiem bliskości grobu Saundersów. A może całe to miejsce miało na nią zły wpływ - ostatecznie cmentarze to dość upiorne miejsca, szczególnie dla kobiety w jej stanie. I jak to często bywało w kontaktach z żoną - istotą nieskończenie delikatniejszą oraz subtelniejszą od niego, a w zasadzie od każdego, kogo znał - zaczął się oskarżać o gruboskórność i pospiesznie wyprowadził Olivię z cmentarza.

20 sierpnia.

Douglas rzeczywiście miał syna - tyle że nie z Olivią, ale ze swoją drugą żoną, Tessie. Ów syn (a mój ojciec) urodził się w Indiach i przebywał tam do dwunastego roku życia, kiedy to został wysłany do szkoły w Anglii. Nigdy więcej nie powrócił do Indii - zanim ukończył edukację, nie było już do czego wracać. Został marszandem antyków. Tuż po ogłoszeniu niepodległości Indii Douglas osiągnął wiek emerytalny i jak większość jego rodaków powrócił do ojczyzny. Wraz z Tessie długo i dokładnie rozważali, czy opuścić Indie, czy tam doczekać końca swoich dni. Niektórzy z ich przyjaciół i znajomych postanowili pozostać: ludzie podobni do Riversów, którzy większość życia spędzili na subkontynencie i nade wszystko ukochali ten spieczony żarem słońca kraj. Crawfordowie (siostra i szwagier babki Tessie) kupili uroczy dom w Kasuali, gdzie postanowili osiaść - jak sądzili - na zawsze. Jednakże po kilku latach okazało się, że Indie nie są już dla nich tak przyjazne jak dawniej. Crawfordowie - zawsze sprawiedliwi w osądach i otwarci na argumenty - stwierdzili, że hinduizacja Indii jest procesem ze wszechmiar pożądanym i korzystnym, tyle że wyłącznie dla Hindusów. W końcu więc powrócili do Anglii i kupili dom w Surrey w pobliżu Douglasa i Tessie, żeby móc składać sobie nawzajem częste wizyty. Kiedy obie starsze panie owdowiały, babka Tessie wprowadziła się do ciotecznej babki Beth wraz ze swoimi ulubionymi sprzętami i bibelotami. W rezultacie dom zapełniały identyczne zestawy stolików o blatach z brązu czy kolekcje słoniowych kłów. Przez cały czas obie damy starały się utrzymywać kontakt z przyjaciółmi, którzy pozostali w Indiach - na przykład z Minniesami osiadłymi w Ooty - ale z biegiem czasu coraz więcej dawnych znajomych wymierało lub z racji sędziwego wieku nie było już w stanie podtrzymywać korespondencji. Teraz, gdy tu przyjechałam, z największą ochotą odwiedziłabym jakiegoś przedstawiciela starej gwardii, wątpię jednak, czy ktokolwiek jeszcze pozostał przy życiu.

Próbowałam opowiedzieć Chidowi historię tych rozmiłowanych w Indiach ludzi. Sądziłam, że może go to zainteresować, ale się myliłam. Jego rodzina nie była w żaden sposób powiązana z Indiami, Chid wyprawił się tutaj jako pierwszy, teraz natomiast marzył już tylko o powrocie. Niestety, jego stan zdrowia nie ulegał żadnej poprawie i wczoraj w końcu namówiłam Chida na wizytę w szpitalu u doktora Gopala. Doktor Gopal, Naczelny Lekarz Satipuru, zbadał dokładnie chorego i natychmiast zdecydował o przyjęciu go na oddział. Chid chętnie na to przystał - nie wiem, co sobie wyobrażał, może oczyma duszy ujrzał siebie otoczonego troskliwą opieką zakonnicy, spoczywającego pomiędzy chłodnymi prześcieradłami w sterylnie bia-



łym pokoju. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Doktor wezwał jednego z podwładnych i zaczął wypytywać o wolne łóżka. Okazało się, że obecnie wszystkie są zajęte, ale istniała szansa na zwolnienie jednego miejsca w przeciągu godziny, ponieważ umierał pewien wiekowy pacjent. Rzeczywiście zmarł w przewidywanym czasie i wówczas pomogłam Chidowi zainstalować się na oddziale.

*27 sierpnia.*

Odwiedzam Chida codziennie, żeby dotrzymać mu towarzystwa, a także dostarczyć posiłek. Chid nie jest w stanie przełknąć szpitalnego jedzenia, rozdzielanego chochlą z wiadra przez salowego. Pacjenci siadają w szeregu i wyciągają przed siebie miski, do których wpadają grudki zimnego ryżu pomieszane z soczewicą, a czasami z jakimś innym warzywem. Tylko nędzarze przyjmują to pożywienie, serwowane z pełną wyższości pogardą zarezerwowaną dla nieszczęśników, którzy nie mają niczego ani nikogo.

Obok Chida leży jeden z takich ludzi: ma złamaną nogę i popękane żebra. Powiedział mi, że kilka lat temu przyjechał do Satipuru ze swojej rodzinnej wioski i trudnił się sprzedażą owoców z kosza noszonego na grzbiecie. Miał nadzieję, że zdoła zarobić dość pieniędzy, aby wspomóc rodzinę na wsi, lecz na razie owe plany zawiodły i uważał się za szczęściarza, jeżeli zarobił dość na dzienne wyżywienie. Wzorem innych nędzarzy sypiał pod jedną z bram w murach okalających miasto. I tam też zamierzał powrócić, gdy tylko noga i żebra się pozrastają. Niestety, trwa to bardzo długo. Tym, co doskwiera mu najbardziej, jest niemożność podniesienia się z łóżka - ma nogę unieruchomioną na wyciągu - i załatwienia potrzeb fizjologicznych w latrynie. Jest pod tym względem uzależniony od salowych. Niekiedy podsuną mu basen, ponieważ jednak pacjent nie dysponuje nawet tą drobną sumą, którą pobierają za swoje usługi, nie dostarczają tego specyficznego nocnika na czas lub też godzinami go nie usuwają. Pewnego razu był bardzo nieszczęśliwy, bo leżał na basenie ponad pół dnia. Osobiście wyciągnęłam spod niego metalowe naczynie i poszłam do latryny, by je opróżnić. Stan szpitalnych latryn to osobny rozdział - żeby uwierzyć w taki koszmar, trzeba go zobaczyć na własne oczy; tylko z największym trudem powstrzymałam mdłości. Próbowałam to ukryć, żeby nie urazić niczyich uczuć, ale najwyraźniej najgorsze już się stało. Każdy patrzył na mnie jak na nieczystego pariasa. Nawet sprzedawca owoców wzdrygnął się na mój widok i odmówił przyjęcia jedzenia, które przyniosłam z domu, chociaż do tej pory zawsze ochoczo się częstował.

Tylko Chid pozostaje całkowicie obojętny na swoje otoczenie. A w zasadzie robi, co może, żeby się od niego odciąć. Ilekroć go odwiedzam, leży z mocno zaciśniętymi powiekami, spod których niekiedy wypływają łzy. Napisałam już do jego rodziców i wyjaśniłam, że powinni jak najszybciej przysłać bilet powrotny dla syna, więc teraz oboje czekamy na tę przesyłkę i na taką poprawę jego stanu zdrowia, która pozwoliłaby mu na podróż. Na razie Chid nie chce o niczym wiedzieć ani niczego widzieć - po prostu leży bez ruchu i trwa.

Nadal nie wiem, dlaczego doszło u niego do takiej metamorfozy. Powtarza jedynie - i, jak rozumiem, ma to wyjaśniać zmianę jego stosunku do Indii - że nie jest w stanie znieść „tego zapachu”. Nie wiem też, co mu dolega w sensie fizycznym, jaka właściwie dręczy go choroba. Zapytałam o to doktora Gopala, lecz nie był w stanie udzielić mi konkretnej odpowiedzi. Podobno wątroba i nerki Chida nie funkcjonują prawidłowo - w zasadzie wszystkie jego organy wewnętrzne są w fatalnym stanie. Doktor Gopal twierdzi, że to z powodu spożywania nieodpowiednich pokarmów i równie nieodpowiedniego trybu życia.

- Widzi pani - rozpoczął dłuższe wyjaśnienia (choć jest niezwykle zajęтым człowiekiem, zawsze znajduje czas na konwersację po angielsku) - tutejszy klimat wam nie służy. Zresztą dla nas też nie jest dobry.

Thumaczył dalej, że nie tylko ludzie z Zachodu, lecz również spory odsetek Hindusów cierpi na dyzenterię amebową. Tyle że rzadko zdają sobie z tego sprawę, ponieważ przy okazji są dotknięci wieloma innymi chorobami. Z wielką werwą i elokwencją zaczął wymieniać infekcje typowe dla Indii. To była doprawdy przerażająca wyliczanka, a gdy już doszedł do jej końca (jeśli w ogóle jest jakiś koniec), powiedział:

- Często myślę, że Bóg nie przystosował istot ludzkich do życia w takim miejscu jak Indie.

W tym punkcie z nim się nie zgodziłam i w rezultacie wywiązała się między nami dłuższa polemika. Doktor Gopal już jakiś czas temu poinformował mnie, że na uniwersytecie medycznym był członkiem Towarzystwa Dyskusyjnego i zaszczytnie się wyróżnił podczas kilku międzyuczelnianych debat. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że brutalną prawdę potrafi zręcznie przyprawić szczyptą humoru. Na przykład naszą rozmowę spointował w następujący sposób:

- Załóżmy, na potrzeby dyskursu, że my, Hindusi, jesteśmy przystosowani do życia w tym kraju - bo czyż jesteśmy przystosowani do czegokolwiek innego? - tu zawiesił wymownie głos, abym mogła się roześmiać. - Jednak nikt poza Hindusami nie może tu egzystować - ciągnął. - A już z pewnością żaden z ludzi Zachodu. Wie pani zapewne, że w dawnych, katastro-

falnych czasach wy mieliście swoje kluby zarezerwowane jedynie dla Brytyjczyków? Sytuacja, o której mówimy, jest analogiczna - my mamy nasze mikroby i są one zarezerwowane jedynie dla Hindusów. Tylko Hindusi je tolerują! Wszystkim innym wara!

- Odchylił się na krześle, wybuchnął gromkim śmiechem i nie przestał się śmiać nawet wtedy, gdy wbijał igłę, robiąc zastrzyk w podsunięte mu pod nos, wychudzone ramię.

Oczywiście, do pewnego stopnia muszę się zgodzić z teorią doktora Gopala: niewątpliwie sprawdza się ona w przypadku Chida. Jego organizm nie jest stworzony do trybu życia hinduskiego ascety. Chid zresztą zaniemógł nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Czyżby więc objawienia lekarza nie stosowały się jedynie do naszych europejskich ciał, ale i do naszych dusz? Nie chciałam i nie mogłam się z tym pogodzić. W przeszłości wielu ludzi Zachodu pozostawało w tym kraju z własnej, nieprzymuszonej woli. Po zgnieceniu Rebelii pewien anonimowy Anglik wiódł pustelnicze życie tuż za bramami Lucknow, gdzie odprawiał religijną pokutę. Inny nieznany z nazwiska Anglik przez lata kręcił się po bazarach Multanu w stroju afgańskiego handlarza końmi (nikt nigdy się nie dowiedział, kim był oraz skąd pochodził; pewnego dnia odnaleziono natomiast jego zwłoki - padł ofiarą mordu). A co z tą misjonarką, którą poznałam pierwszego dnia pobytu w Bombaju? Powiedziała, że mieszka w Indiach od trzydziestu lat i jest gotowa tutaj umrzeć, jeżeli tak jej pisane. No i przede wszystkim, co z Olivią? Czystym nonsensem byłoby wrzucanie jej do jednego worka z poszukiwaczami religijnego objawienia, łowcami przygód czy chrześcijańskimi misjonarkami, a jednak - podobnie jak oni - Olivia tu pozostała.

Osobiście wciąż uważam, że nie była w żaden szczególny sposób do tego predestynowana. To znaczy, nie wyróżniała się żadnymi wyjątkowymi przymiotami. Kiedy przyjechała do Indii była dokładnie tym, na kogo wyglądała: młodą, ładną kobietą, nieco próżną, dość kapryśną spragnioną rozrywki i zabawy. Skoro jednak zrobiła to, co zrobiła - i wytrwała w swojej decyzji do końca życia - musiała przejść głęboką metamorfozę. Nie zachowały się jakiegokolwiek świadectwa tego, kim w istocie się stała - ani w mojej rodzinie, ani gdziekolwiek indziej, o ile mi wiadomo. Niemniej coraz bardziej chciałabym to odkryć. I podejrzewam, że aby osiągnąć swój cel, będę musiała się zdecydować na to samo, na co zdecydowała się Olivia - to znaczy pozostać w tym kraju na lata.

Indyjskie krajobrazy - jeszcze parę tygodni temu przesłonięte pyłem - zdawały się przesycone wilgocią. Po niebie płynęły ciężkie chmury, i gdy spoglądało się przez okno, można było odnieść wrażenie, że patrzy się na świat przez lzy. Wynikająca z tego atmosfera smutku pokrywała się w pełni z nastrojem Harry'ego.

- Wczoraj wieczorem odbyłem z nim długą rozmowę - poinformowałem Olivie. - Powiedziałem, że chcę wracać do domu, że muszę wracać... I on się zgodził. Wykazał pełne zrozumienie. Obiecał, że niezwłocznie poczyni odpowiednie przygotowania, zarezerwuje kabinę pierwszej klasy, ponieważ wszystko musi być tip-top.

- Z łatwością mogę sobie wyobrazić tę scenę. - Olivia uśmiechnęła się.

- Tak. To nietrudne - zgodził się Harry z melancholijnym uśmiechem. I zaraz dodał: - A potem zapewnił mnie o swej dozgonnej przyjaźni.

- Jakbym to również widziała.

- Naturalnie. Jego deklaracje zawsze wyglądają podobnie. Ale też zawsze, bez wyjątku są prawdziwe! Nie czujesz tego Olivio? Ilekroć wyciąga do nas serce na dłoni, robi to całkowicie szczerze... O tobie także wspominał. Och, nie myśl, że czegokolwiek żałuję. Wielkie nieba! Jakim byłbym wówczas człowiekiem? Jakim przyjacielem? Niegodziwym i niegodnym jego przyjaźni, ot co!

- Gdzie jest teraz? - zapytała Olivia.

- W Indore. Wczoraj przysły wieści z Simli<sup>1</sup>. Zagrozili wszczęciem oficjalnego dochodzenia, więc całą noc redagował depesze, a z samego rana wyjechał do Indore na konsultacje ze swoimi prawnikami.

<sup>1</sup> W okresie letnim do Simli przenosił się również rząd Indii Brytyjskich.

- Czy to prawda, Harry? Czy on naprawdę jest w zмовie z bandytami?

- Bóg raczy wiedzieć. Jeżeli o mnie chodzi, racja jest zawsze po jego stronie, a nie po stronie brytyjskich urzędników. Nienawidzę ich. To ten sam gatunek ludzi, którzy zamieniali moje życie w piekło, od kiedy tylko sięgam pamięcią. W szkole i wszędzie indziej. Pół biedy, gdyby się ograniczyli do afrontów pod moim adresem... kiedy jednak widzę, jak okropnie traktują nababa, i to w jego własnym kraju! - to doprawdy nie do zniesienia. On zresztą nie będzie już tego spokojnie tolerował. Gdybyś tylko go słyszała wczorajszego wieczoru. „Poczekajcie, aż urodzi się mój syn - powtarzał - wtedy z pewnością nie będzie im do śmiechu!”.

- Tak powiedział?

Odwróciła się od okna i jej wzrok uświadomił Harry'emu, że wyrwało mu się o kilka słów za dużo.

- Co jeszcze mówił? O, nie, Harry. Musisz mi powiedzieć.

- Wiesz, że kiedy jest zdenerwowany wygaduje różne rzeczy, a naprawdę wcale tak nie myśli. - Wciąż czuł na sobie spojrzenie Olivii, które jednoznacznie świadczyło, że przyjaciółka nie da się już zbyć banałami, więc, choć niechętnie, Harry wyznał prawdę: - Oświadczył, że kiedy urodzi się dziecko, Douglas i wszyscy pozostali przeżyją największy szok w swoim życiu.

- Miał na myśli... kolor skóry? - zapytała. Po czym zaraz dodała: - Skąd u niego ta pewność, że jest ojcem? - Zerknęła spod oka na Harry'ego. - Ty też tak sądzisz, prawda?... Widzisz w nim uosobienie nieujarzmionych sił natury...

- A ty nie?

Odwróciła się z powrotem w stronę okna. Wystawiła na zewnątrz dłoń, aby sprawdzić, czy zaczęło padać. Owszem, zaczęło, ale była to zaledwie lekka mżawka - tak niewidoczna i bezszelestna, że wszystko wokół - ogrodowe altany, perłowszare mury, kryty złotą kopułą meczet - zdawało się samoistnie rozplýwać niczym bryły cukru zanurzone w wodzie.

- Rozważam usunięcie ciąży - oświadczyła.

- Chyba postradałaś zmysły.

- Douglas niebywale cieszy się na to dziecko. I już rzucił się w wir rozmaitych przygotowań. W rodzinie Riversów jest przechowywana wyprawka do chrztu, wykonana przed dziesiątkami lat przez zakonnice z Goa. W tej chwili znajduje się u siostry Douglasa, która parę lat temu chrzcila swoje najmłodsze w Quetta, gdzie przebywają na placówce. Douglas zamierza posłać po tę wyprawkę. Twierdzi, że jest niezwykle piękna. Kaskady białej koronki, w której maleńcy Riversowie przeuroczo się prezentują, ponieważ odznaczają się wyjątkowo jasnym kolorytem.

Douglas utrzymuje, że mniej więcej do dwunastego roku życia wszystkie dzieci w rodzinie mają prawie białe włosy.

- Noworodki nie mają włosów.

- Owszem, mają. Hinduskie dzieci rodzą się z mnóstwem czarnych włosków na głowie. Wiem. Widziałam na własne oczy... Musisz mi pomóc, Harry. Musisz się dowiedzieć, do kogo mogłabym pójść. - Kiedy patrzył na nią zagubionym, oniemiałym wzrokiem, powiedziała: -

Zapytaj swoją przyjaciółkę, *begum*. Dla niej zdobycie takiej informacji nie będzie problemem. - Zaśmiała się posepnie. - Tak czy inaczej to dużo mniej kłopotliwe niż spreparowanie śmiercionośnej sukni.

\*

31 sierpnia.

Dzisiaj rano, gdy wyszłam z domu, jakaś kobieta stojąca przed sklepem z pantoflami powitała mnie familiarnie - niczym dobrą znajomą. Nie kojarzyłam jej twarzy, ale doszłam do wniosku, że to pewnie kolejna przyjaciółka matki Indera Lala; być może jedna z tych, z którymi się spotkałyśmy w Dniu Powtórnych Zaślubin Męża. Chwilę później ruszyłam przez bazar, a ona podążyła za mną żwawym krokiem. Wówczas uderzyła mnie myśl, że może celowo czekała pod sklepem, lecz gdy przystanęłam i obejrzałam się przez ramię - nie podeszła. Tylko z uśmiechem skinęła mi głową. Ta scenka powtórzyła się kilkakrotnie. W pewnym momencie nieznajoma wręcz zachęciła mnie gestem, żebym szła dalej - wyraźnie chciała jedynie iść moim śladem. Zamierzałam się udać prosto do szpitala, ale bardzo dziwnie się czułam ze świadomością, że jestem śledzona, więc przy królewskich grobowcach skręciłam w bok i skierowałam się ku lepiance Maji. Kiedy znowu się obejrzałam, kobieta szła prosto przed siebie, jakby nagle straciła mną zainteresowanie.

Maji była pogrążona w *samadhi*. To przeniesienie się na wyższy poziom świadomości, prowadzące do błogostanu. W takich chwilach jest zupełnie nieświadoma tego, co się dookoła niej dzieje. Siedzi na ziemi w pozycji lotosu, oczy ma otwarte, ale wywrócone białkami do góry, a spomiędzy rozchylonych ust wysuwa czubek języka. Oddycha powoli i regularnie niczym w głębokim, spokojnym śnie.

Kiedy się przebudziła - choć „przebudzenie” nie jest tutaj najlepszym słowem - uśmiechnęła się i powitała mnie serdecznie, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie stało. Ale - jak zwykle w takiej sytuacji - sprawiała wrażenie osoby, która właśnie wyszła z ożywczej kąpieli. Jej oczy lśniły, twarz emanowała blaskiem. Przesunęła dłońmi po policzkach, jakby czuła na nich gorący rumieniec. Swego czasu mi powiedziała, że z początku miała duży problem z przychodzeniem od *samadhi* do codzienności, teraz jednak robi to bez najmniejszego wysiłku.

Gdy zrelacjonowałam jej tajemniczy incydent z nieznajomą kobietą, powiedziała: „A widzisz, już się zaczęło”. Według Maji nie kryła się za tym żadna tajemnica - kobieta była po prostu akuszerką polującą na klientkę. Zapewne zauważyła mnie już wcześniej, a dzisiaj postanowiła za mną podążyć, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Mój sposób poruszania się bez



wątpienia ją przekonał, że jestem w odmiennym stanie. Więc za dzień lub dwa zaoferuje mi swoje usługi. Maji tymczasem po raz kolejny zaproponowała swoją pomoc:

- To odpowiedni czas - stwierdziła. - Ósmy, dziewiąty tydzień... pójdzie gładko i bez problemów.

- Jak byś to zrobiła? - zapytałam niemal od niechcienia. Odparła, że sposobów jest wiele, ale na tak wczesnym etapie najpewniej wystarczyłby odpowiedni masaż.

- Chcesz, żebym spróbowała?

Przytaknęłam, kierowana czystą ciekawością. Wówczas zamknęła drzwi lepianki, a właściwie zastawiła otwór wejściowy szeroką deską, którą ktoś jej kiedyś podarował. Ja tymczasem położyłam się na ziemi, a Maji poluzowała tasiemkę moich pendzabskich spodni.

- Nie bój się - powiedziała, chociaż nie odczuwałam ani odrobiny lęku.

Leżąc, wodziłam wzrokiem po suficie - arkuszu ocynkowanej blachy - i glinianych ścianach poczerniałych od dymu z paleniska. Teraz, gdy jedyny otwór został zasłonięty, we wnętrzu lepianki zaległ mrok i zgęstniały wszystkie zapachy - wilgoci, krowiego łajna wykorzystywanego w charakterze opału oraz świeżo gotowanej soczewicy. A także samej Maji. Jej jedyna zmiana odzieży wisiała, dawno nieprana, na gwoździu wbitym w ścianę.

Usiadła na mnie okrakiem. Nie widziałam jej wyraźnie w ciemnościach, ale zdawała się teraz rosnąć w oczach i przemieniać się w jakąś mityczną postać - może jedną z tych potężnych hinduskich bogiń, które dzierżą w dłoni zarówno życie, jak i śmierć i zabawiają się nimi niczym jo-jo. Przesuwała powoli dłońmi po mojej macicy, od czasu do czasu uciskając niektóre jej miejsca. Nic mnie to nie bolało - wręcz przeciwnie, ręce Maji miały jakąś kojącą moc. Były bardzo gorące; w zasadzie zawsze są niezmiernie ciepłe, o czym miałam okazję niejednokrotnie się przekonać (Maji lubi dotykać ludzi, jakby chciała w ten sposób coś im przekazać). Ale dzisiaj zdawały się szczególnie rozpalone i pomyślałam, że może to efekt jej niedawnego *samadhi* - emanacja energii, która dotarła do niej z innego wymiaru. I po raz kolejny ogarnęło mnie uczucie, że Maji coś mi przekazuje - niczego nie pozbawia, tylko obdarza jakimś darem.

Mimo to wykrzyknęłam:

- Nie! Przestań, proszę!

Natychmiast usłuchała. Zeszła ze mnie i odsunęła deskę przesłaniającą wejście. Do lepianki wsączyło się światło. Podniosłam się i wyszłam na zewnątrz: świat zalewał słoneczny blask. Deszcz sprawił, że wszystko wokół się iskrzyło, a zieleń nabrała wyjątkowej soczystości. Mozaiki na królewskich grobowcach pobłyskiwały czystym błękitem, każdą najdrobniejszą

nierówność w ziemi wypełniała woda odbijająca promienie słońca, więc krajobraz zdawał się usiany drogocennymi kamieniami. Spomiędzy kłębiastych obłoków przebijało niebieskie niebo, ale na horyzoncie gromadziło się coraz więcej monsunowych chmur, ciemnych, prawie granatowych, które piętrzyły się jedna na drugiej niczym eteryczne góry.

- Nic złego się nie stanie, prawda? - spytałam, zdjeta nagłym niepokojem.

Maji wyszła za mną z lepianki i już w niczym nie przypominała uosobienia mrocznej, mitycznej mocy - teraz była na powrót niedomytą wieśniaczką o gołęsim sercu. W odpowiedzi na zadane pytanie zaśmiała się tylko i poklepała mnie uspokajająco po policzku. Nie bardzo wiedziałam, jak zinterpretować ten gest. Nabrałam natomiast przekonania, że nie chcę, aby jej działania przyniosły zamierzone rezultaty. Nagle stało się dla mnie absolutnie jasne, że pragnę utrzymać tę ciężę, bo dzięki niej doświadczam zupełnie nowego uczucia - niewysłowionej, niemal mistycznej ekstazy.

1923

W Satipurze też można było się natknąć na slumsy, jednak w Khatm nie było niczego innego. Miasteczko kuliło się w cieniu pałacu nababa, spętane płataniną brudnych, wąskich uliczek ocienionych rozpadającymi się rudarami. Wzdłuż ulic ciągnęły się otwarte rynsztoki, a płynące nimi nieczystości nierzadko się przelewały - szczególnie w deszczowej porze - co zapewne w znacznym stopniu przyczyniało się do wybuchów epidemii, bardzo częstych w Khatm. A jeżeli opady były obfite, starsze rudery waliły się w gruzy, grzebiąc żywcem znajdujących się w środku ludzi. Do takich katastrof dochodziło co roku, z przerażającą regularnością.

Zaledwie tydzień wcześniej podobny los spotkał dom stojący dokładnie naprzeciwko tego, do którego została wprowadzona Olivia. Kobiety, które się nią zajmowały, wciąż rozprawiły o niedawnej tragedii. Jedna z nich opowiadała, że akurat stała na balkonie, ponieważ dołem przesuwawa się ślubna procesja. Kiedy nadjechał pan młody, tłum rzucił się do przodu, żeby na niego popatrzeć. I nagle zrobił się niesłychany zgiełk, muzykanci zaczęli grać tak głośno, że kobieta stojąca na balkonie z początku nie zorientowała się w sytuacji, chociaż wszystko się rozgrywało tuż przed jej oczami. W jednej sekundzie dom, który znała od urodzenia, zapadł się do wewnątrz i niemal natychmiast eksplodował cegłami, dachówkami, ludzkimi ciałami, meblami i naczyniami kuchennymi. To było jak senny koszmar. Jak najgorsza mara.

Olivia także miała wrażenie, że śni. Chociaż trudno o bardziej rzeczowe osoby niż kobiety, które się nią zajmowały: dwie miejscowe akuszerki w średnim wieku, skoncentrowane na

pracy, jaką miały wykonać. Służąca, która przyszła tutaj z Olivią, również odznaczała się trzeźwym praktycyzmem. Ubrała Olivię w tradycyjną muzułmańską burkę i poprowadziła przez wąskie uliczki Khatm. Nikt nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi - ostatecznie takie „chodzące namioty” należały do trwałego elementu krajobrazu. Żeby się dostać do ulicy, przy której mieszkały akuszerki, trzeba było zejść po kilku śliskich stopniach (Olivia, nienawykła do poruszania się w burce, musiała w owym momencie wyjątkowo uważać). Sam dom tych kobiet przedstawiał opłakany widok, istniały więc niewielkie szanse na to, że przetrwa przyszłoroczne uderzenie monsunu. Szczególnie niebezpieczne zdawały się schody, na których panowały tak nieziemskie ciemności, że towarzyszka Olivii chwyciła ją za rękę; Olivia w pierwszej chwili się wzdrygnęła, ale szybko uświadomiła sobie, że wkrótce będzie dotykana w o wiele bardziej intymne miejsca.

Akuszerki położyły ją na macie rozciągniętej na podłodze. Ponieważ dom naprzeciwno przestał istnieć, Olivia widziała przed sobą skrawek czystego nieba. I starała się koncentrować właśnie na owym kawałku błękitu, a nie na tym, co robiły z nią te obce kobiety. Chociaż nie było to nic nieprzyjemnego. Z wielką wprawą masowały jej brzuch, uciskając jednocześnie odpowiednie miejsce. Jedna z nich siedziała na Olivii okrakiem, druga kuciała na podłodze. Prowadziły między sobą luźną rozmowę, ale ich ręce nieustannie pracowały. Kobiety zachowywały się więc swobodnie, niemniej z wysokim profesjonalizmem. Gdy jednak usłyszały odgłos kroków na schodach, spojrzały po sobie z wyraźną konsternacją. Jedna z nich podeszła do drzwi, druga ukryła Olivię pod prześcieradłem. Jakbym już umarła, pomyślała Olivia. Ciekawiło ją, kto przyszedł. Zastanawiała się również, co by się stało - co zrobiłyby akuszerki - gdyby skończyła tutaj podczas zabiegu. Musiałyby szybko i potajemnie pozbyć się jej ciała. Olivia doszła do wniosku, że nie miałyby z tym żadnych trudności. Z pewnością księżna by to załatwiła równie skutecznie, jak załatwiła ten zabieg. Niewykluczone nawet, że już się przygotowała na taką ewentualność i zawczasu poczyniła odpowiednie kroki.

Okazało się, że to właśnie *begum* weszła do pokoju w towarzystwie jednej tylko damy dworu. Obie kobiety były odziane w identyczne burki, ale Olivia doskonale wiedziała, która jest księżną, ponieważ akuszerki traktowały ją z niezwykłą uniżonością. Starsza dama zdawała się żywo zainteresowana zabiegiem (takie osobiste zaangażowanie powinno mi schlebiać, pomyślała ironicznie Olivia). Zza gęstej siatki burki matka nababa przyglądała się uważnie akuszerkom kontynuującym masaż. Po pewnym czasie jedna z nich się podniosła i przeszła w kąt pokoju, aby coś przygotować. *Begum*, powodowana ciekawością, przesunęła się w pobliże

owego kąta. Olivia też próbowała dojrzeć, co to takiego, i uniosła głowę, ale kucająca przy niej kobieta natychmiast przycisnęła ją z powrotem do ziemi. Olivia zdołała jednak zauważyć, że akuszerka pokazała księżnej patyk, w który teraz zaczęła wsmarowywać jakąś pastę. *Begum* była tak zaintrygowana, że nawet częściowo zdjęła burkę, żeby wszystko wyraźniej widzieć. I nagle Olivia bardzo zapragnęła zobaczyć twarz tej kobiety. Zupełnie nie pamiętała, jak ona wygląda - wydawało się, że od wyprawy z Beth Crawford do pałacu upłynęły wieki - a teraz była bardzo ciekawa, czy w rysach księżnej dojrzy podobieństwo do nababa.

Tymczasem podeszła do niej akuszerka z patykiem. Olivia zrozumiała, że zostanie on wsunięty do jej wnętrza. Kobiety rozchyliły jej nogi - potem jedna chwyciła ją za kostki, a druga wcisnęła patyk. *Begum* pochyliła się, aby popatrzeć. Chociaż akuszerka pracowała szybko i sprawnie, Olivia poczuła ostry ból i nie zdołała stłumić krzyku. A wówczas księżna podeszła od drugiej strony i nachyliła się nad twarzą Olivii. O, tak. Między *begum* a nababem widać było wyraźne podobieństwo. Przez chwilę obie kobiety spoglądały sobie w oczy, ale potem Olivia musiała zacisnąć powieki, bo ostry ból w podbrzuszu powrócił.

\*

Beth Crawford przez dziesięciolecia nie pozwalała sobie na żadne uwagi na temat Olivii. Czasami się zastanawiam, czy przez te wszystkie lata w ogóle wracała do niej we wspomnieniach. Podejrzewam, że nie. Moja cioteczna babka Beth doskonale wiedziała bowiem, jakiej granicy nie należy przekraczać - nie tylko w rozmowie czy zachowaniu, ale także w myślach. Na podobnej zasadzie nigdy nie zaprzętała sobie głowy *begum* i jej damami dworu: nie zastanawiała się, jakie sceny rozgrywają się w *purdah*, gdy po półgodzinnej kurtuazyjnej wizycie znikają europejskie krzesła, a pałacowe damy, rozciągnięte na otomanach, pozostają we własnym gronie. Beth uważała, że Orient ma swoje tajemnice, w które pod żadnym pozorem nie wolno wnikać - bez względu na to, czy kryją się w pałacu, na bazarze Satipuru czy też w zaułkach Khatm. Wszystkie te mroczne rejony znajdowały się poza sferą jej działania czy wyobraźni - i na podobną banicję Beth skazała Olivie, gdy ta przeszła na drugą stronę, do świata ciemności.

Jedyną osobą, która nie zachowała milczenia w sprawie Olivii, był doktor Saunders. Naturalnie to on odkrył jej sekret. Akuszerki z Khatm dobrze wykonały swoją pracę i tej samej nocy nastąpiło poronienie. Olivia natychmiast obudziła Douglasa, który zawiózł ją do szpitala, gdzie wczesnym rankiem doktor Saunders przeprowadził łyżeczkowanie. Oczywiście, wiedział wszystko, co trzeba wiedzieć, o hinduskich „poronieniach” i sposobach ich wywoływania. Naj-

powszechniejszym z nich było wsunięcie do macicy patyka nasączonego sokiem pewnej rośliny, znanej tylko hinduskim akuszerkom. Doktor Saunders wyjął już w swoim życiu wiele takich patyków Hinduskom przywożonym do niego z powodu „poronienia”. Gdy było po wszystkim, doktor bez ogródek mówił swoim pacjentkom, co o nich sądzi, a potem wyrzucał je ze szpitala. Niekiedy na dokładkę wymierzał siarczysty policzek - miał bowiem wysoce rozwinięte poczucie moralności i wiedział, jak stać na jej straży. Ale nawet on przyznawał, że trzeba okazać pewne zrozumienie tubylczym kobietom żyjącym w ignorancji i brudzie. Naturalnie w przypadku Olivii nie można było mówić o jakichkolwiek okolicznościach łagodzących.

- To niesłychane, młoda damo - oświadczył, stając do konfrontacji z Olivią. Zza jego ramienia wychylała się z ponurą miną przełożona sióstr, Szkotka urodzona w Indiach, która do spółki z doktorem Saundersem pilnowała w szpitalu porządku i moresu. Oboje kipieli świętym oburzeniem, a lekarz dodatkowo triumfował w duchu, ponieważ okazało się, że trafnie ocenił Olivie. Od początku wyczuwał w niej jakąś słabość i zepsucie, które nabab (sam zepsuty do szpiku kości) natychmiast wyczuł i wykorzystał do własnych niecznych celów.

W zasadzie nikt nie wątpił, że nabab posłużył się Olivią, aby dokonać zemsty na przedstawicielach brytyjskiej administracji. Nawet ktoś tak liberalny i dobrze usposobiony do Hindusów jak major Minnies był o tym święcie przekonany. I podobnie jak Crawfordowie oraz najprawdopodobniej sam Douglas (który skądinąd nigdy nie wypowiedział się w tej kwestii) major Minnies wyrzucił Olivie ze swoich myśli. Posunęła się bowiem zdecydowanie za daleko. A mimo to przez lata rozmyślał nad implikacjami owego incydentu. I ostatecznie doszedł do wniosku, że pokrywają się one idealnie z jego teoriami. Kiedy przeszedł na emeryturę, osiadł w Ooty i miał więcej czasu na filozoficzne rozważania, napisał, po czym na własny koszt opublikował monografię omawiającą wpływ Indii na europejską świadomość i morale. Porozysłał ją potem wszystkim swoim znajomym - między innymi jeden z egzemplarzy otrzymała moja cioteczna babka Beth, i to właśnie u niej miałam okazję zapoznać się z przemyśleniami majora.

Chociaż Crawford żywił wyjątkowo wiele sympatii dla Indii, jego dziełko sprawia wrażenie groźnej przestrogi. Major twierdzi w nim, że w zetknięciu z Indiami trzeba się wykazać wyjątkową siłą woli i determinacją, by nie ulec wpływom tego kraju. Wedle jego słów osobami najbardziej narażonymi na klęskę są te, które kochają Indie najbardziej. Jest wiele rodzajów miłości do Indii, a Indie mają do zaoferowania wiele rzeczy godnych najwyższego zachwyty - krajobraz, historię, poezję, muzykę, a także fizyczne piękno zamieszkujących tam ludzi, za-



również kobiet, jak i mężczyzn - jednak wszystkie one mogą stać się źródłem zguby dla tych Europejczyków, którzy nazbyt się w nich rozmiłują.

W swojej książce major stwierdza, że Indie zawsze wydobędą na wierzch ludzką słabość i bezlitośnie ją wykorzystają. Obaj mężczyźni żyjący przez lata w Indiach - i major Minnies, i doktor Saunders - kładli nacisk na element ludzkiej słabości. Ale podczas gdy dla doktora Saundersa ta słabość ściśle wiązała się z zepsuciem i zgnilizną moralną, według majora Minniesa objawiała się ona u najbardziej wrażliwych, niejednokrotnie najwartościowszych ludzi - i wiązała z najbardziej wzniosłymi, wysublimowanymi uczuciami. To właśnie na owych uczuciach żerowały Indie, wciągając nieszczęsne ofiary do - jak to nazywał major - innego wymiaru. Niekiedy określał ów inny wymiar mianem nieznanego żywiołu, w którym Europejczycy nie potrafili się odnaleźć, więc zanurzenie się w nim z reguły prowadzi do wykrzywienia osobowości czy wręcz (jak w przypadku Olivii) do całkowitego upadku. Owszem, uznał w konkluzji major, można podziwiać i kochać Indie - w aspekcie estetycznym, intelektualnym (nie wspomniał o erotycznym, ale z pewnością brał go również pod uwagę), jednak zawsze po męsku, z zachowaniem europejskiego dystansu. Pod żadnym pozorem nie wolno pozwolić sobie (jak to czynią Hindusi) na nadmiar uczuć i ich ekspresję - w takim wypadku można bowiem zostać wciągniętym w strefę mroku. Ta właśnie przestroga kończy wywody majora Minniesa - człowieka, który kochał Indie, znał je na wylot i postanowił dożyć tam końca swoich dni! To doprawdy zdumiewające, że pomimo tego silnego afektu major zawsze uważał ów kraj za swojego oponenta, niekiedy wręcz wroga, którego należy się strzec, a gdy trzeba - nawet z nim walczyć; i nie tylko z bronią w ręku, lecz przede wszystkim siłą własnej woli i rozumu.

Olivia nigdy nie powróciła do Douglasa - jeszcze tego samego dnia wymknęła się ze szpitala i udała wprost do pałacu. Ostatni wyraźny portret Olivii, jaki mam przed oczami, nie pochodzi jednak z lektury jej listów tylko opowieści Harry'ego, który na własne oczy widział, jak zjawiała się w pałacu po ucieczce ze szpitala. Wedle jego słów była bardzo blada, jakby nie miała już w sobie kropli krwi (naturalnie, straciła jej dużo w czasie poronienia). Khatm od Satipuru dzieliło dwadzieścia kilka kilometrów, które Olivia pokonywała codziennie w samochodzie nababa. Ale pod szpitalem nie czekało na nią żadne auto. Harry nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób dotarła na miejsce; założył, że za pomocą któregoś z - jak to ujął - „tubylczych środków transportu”. Tak czy inaczej

Olivia była ubrana w tradycyjny indyjski strój - zgrzebne sari noszone przez służące - i na ten widok Harry'emu przypomniała się pewna rycina zatytułowana *Pani Secombe, salwująca*



się ucieczką przed rebeliantami. Pani Secombe również miała na sobie strój prostej Hinduski, włosy w nieładzie i smugi brudu na twarzy. Znajdowała się przy tym w stanie silnego wzburzenia. To wszystko jednak wydawało się całkiem zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że umykała przed rebeliantami z Sikrory do rezydencji rządowej w Lucknow. Olivia również była zbiegiem, tyle że - jak zauważył Harry - droga jej ucieczki wiodła dokładnie w przeciwną stronę.

Wkrótce potem Harry opuścił Indie. Nigdy nie umiał zdecydować, czym tak naprawdę kierował się nabab, uwodząc Olivię. Niemniej ta kwestia - podobnie jak sam władca Khatm - na wiele lat zniknęła z życia Harry'ego. I był z tego powodu bardzo zadowolony. Kiedy cofał się myślami do lat spędzonych w pałacu, ogarniał go niesmak, a czasami wręcz odraza. A mimo to uważał, że był tam bardzo szczęśliwy. Po powrocie doszedł do wniosku, że to szczęście było po prostu zbyt wielkie, zbyt wszechogarniające. Teraz chciał jedynie wieść spokojne życie wraz z matką w przytulnym mieszkanku w Kensington. Kiedy matka zmarła, do Harry'ego wprowadził się jego przyjaciel, Ferdie, który porzucił pracę w pralni, aby na stałe nim się opiekować. Ferdie także poznał nababa, ale wiele lat później, gdy ten zjawił się u nich już bardzo odmieniony. Jego sytuacja życiowa także uległa zasadniczej zmianie, i podczas pobytów w Londynie nie zatrzymywał się już u Claridge'a, nie było go bowiem na to stać. Być może właśnie z powodu kłopotów finansowych nigdy nie przywiózł do Anglii Olivii; a może to ona sama nie chciała przyjechać. Tak czy inaczej nigdy już nie odwiedziła ojczyzny, a pozostałe lata życia spędziła w górach, w niedużym domu, który kupił dla niej nabab.

Kiedy powiedziałam Maji, że wyjeżdżam z Satipuru, zapytała: „Tak jak Chid?”. Jego powrót do Anglii bardzo ją rozbawił, i nic dziwnego, skoro zawsze bawiło ją wszystko, co w jakimkolwiek stopniu dotyczyło tego chłopaka. „Biedaczek” - stwierdziła. - Musiał umykać”. Jej szerokie ramiona trzęsły się przy tym ze śmiechu.

Zapewniłam Maji, że ja nie uciekam - wręcz przeciwnie, jadę dalej, w góry. Ta wiadomość bardzo ją uradowała. Wówczas zdobyłam się na odwagę i zapytałam o to, o co już od dawna chciałam zapytać: co tak naprawdę robiła wtedy, gdy mówiła, że przeprowadza aborcję? Ku mojej wielkiej uldze nic złego się nie stało - nie miałam jednak wątpliwości, że gdyby Maji chciała, abym poroniła, jej wysiłki przyniosłyby zamierzony skutek. Dopytywałam się, co więc zrobiła. Naturalnie nie chciała mi powiedzieć, ale patrząc na jej przebiegły uśmiezek doszłam do wniosku, że nie jest całkiem niewinna. Przypomniałam sobie, jak siedziała na mnie okrakiem - nadprzyrodzona istota o nadprzyrodzonej mocy, której - jak teraz wierzyłam - nie używała po to, by zakończyć moją ciążę, tylko by dać mi siłę do jej donoszenia.

Pora deszczowa to nie najlepszy moment na wyprawę w góry. W tym okresie nagminnie dochodzi do osunięć ziemi, przez co dużo dróg staje się nieprzejezdnych na wiele dni. Gór nie widać. Wiadomo, że tam są - monumentalne Himalaje ciągnące się na setki kilometrów, wznoszące na niebotyczne wysokości - wręcz fizycznie wyczuwa się obecność tych niezwykłych tworów natury, nie można ich jednak zobaczyć, ponieważ są całkowicie zasnuwane chmurami, mgłami i oparami. Na stromym zboczu wzgórza, które góruje nad miasteczkiem X, swego czasu wzniesiono kilkanaście domów. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach pogodowych niełatwo się tam dostać, a teraz, podczas deszczowej pory, są praktycznie niedostępne. Powiedziano mi, że jeszcze kilka lat temu w owych domach, oprócz Olivii, zamieszkiwali również inni Europejczycy. Na przykład pewna Norweżka, wdowa po indyjskim historyku, która resztę życia postanowiła poświęcić na porządkowanie jego spuścizny; jakaś Niemka, która przeszła na buddyzm; dwie były misjonarki, które próbowały zorganizować w X chrześcijański „aśram”, a także jeszcze parę innych osób. Teraz już nikt z nich nie pozostał przy życiu, a szczątki większości spoczywają na leżącym poniżej brytyjskim cmentarzu (brytyjskie cmentarze można znaleźć w niemal każdym zakątku Indii! To one się okazały najtrwalszymi pomnikami dawnego Imperium). Jedynie niemiecka buddystka i Olivia zostały skremowane według hinduskiego obrządku. Były misjonarki próbowały zapobiec kremacji ciała Olivii - upierały się, że jego miejsce jest na cmentarzu, ponieważ Olivia nigdy oficjalnie nie przeszła na żadną praktykowaną w Indiach wiarę, jednak bardzo wyraźnie wyraziła przed śmiercią swoją wolę i misjonarki nic nie wskórały. Przypuszczam, że jej prochy rozsypało wśród gór; ponieważ nabab zmarł kilka lat przed nią, nie było komu się o nie upomnieć.

Pozostał natomiast dom Olivii. Stoi na skalnej półce, w pewnym odosobnieniu, i zapewne z jego okien rozciąga się przepiękny widok - naturalnie nie o tej porze roku, gdy wszystkie góry (jak już wspominałam) zasnuwa mgła. Gdy tylko przejdą najgorsze ulewy, a więc za kilka dni, postaram się tam dostać. Dom Olivii, podobnie jak kilka innych nieruchomości nababa, jest przedmiotem sporu pomiędzy rządem Indii a Karimem i Kitty, którzy mają nadzieję odzyskać tytuł własności, zanim budynek zarekwiruje wojsko. Tak czy owak wydaje się, że już niedługo problem może rozwiązać się sam. W murach pojawiły się bowiem groźne pęknięcia, a wszystko, co znajduje się w środku, porosło pleśnią.

Niemniej wewnątrz zachowały to, co nazwałabym aurą Olivii. W saloniku stoi piękny instrument - nie pianino, na którym Olivia grała w Satipurze, tylko fortepian przysłany tutaj przez nababa z Khatm (wraz ze stroicielem sprowadzonym z Bombaju). Zasłony, poduszki i obicia -

teraz poprzecierane i wystrzępione - są żółtego koloru, a z abażurów zwisają frędzle; w rogu dojrzałam także gramofon. Przy oknie stoją fotel i rama do haftu - wizualnie okolone framugą niczym obraz. Nie wiem, czy mają stanowić dekoracyjne tableau, czy też Olivia rzeczywiście siadała w tym miejscu i haftując, spoglądała od czasu do czasu na góry (teraz niewidoczne). Za domem ciągną się stajnie, ale jedyne, co kiedykolwiek mieściły, to lektyka - zresztą nadal się tam znajduje, połamana i pokryta kurzem - w której wnoszono nababa na zbocze. Z wiekiem stał się zbyt otyły i leniwy, żeby wspinać się o własnych siłach.

Harry wyznał swego czasu, że przeżył szok, gdy nabab przybył do Londynu. Od pamiętnych wydarzeń upłynęło piętnaście lat, księciu właśnie stuknęła pięćdziesiątka i był tak otyły, że aż zniewieściały. Sposób, w jaki objął Harry'ego na powitanie, też był raczej kobiecy - przycisnął dawnego przyjaciela obiema rękami do miękkiej, pulchnej piersi i przez dłuższy czas nie chciał wypuścić z ramion. W tej jednej chwili do Harry'ego powróciły wszystkie dawne uczucia. Ale już moment później uświadomił sobie, że w istocie nie czuje już do nababa tego, co kiedyś - być może dlatego, że on tak bardzo się zmienił. Wydawał się złagodniały, zgnuśniały i do tego stropiony politycznymi uwarunkowaniami.

Dochodzenie zapoczątkowane w 1923 roku zakończyło się rozprawą sądową, przegraną przez nababa. W rezultacie w Khatm ustanowiono premiera, który od tej pory miał się zajmować najważniejszymi sprawami państwa. Nabab pozostał nominalnym władcą, a jednak w obecnym stanie rzeczy już nic go nie trzymało w małym księstewku. *Begum* też niechętnie przebywała w pałacu i w końcu przeniosła się wraz ze swoimi damami do obszernej willi w Bombaju. Nabab spędzał wiele czasu w domu matki, o ile akurat nie przebywał u Olivii w X. Od czasu do czasu zatrzymywał się też u swojej żony, ponieważ spory z rodziną Cabobpurów zostały jako tako zażegnane. Jednak stan zdrowia Sandy pozostawiał wiele do życzenia, i w tym czasie przebywała w klinice w Szwajcarii, lecząc tam zaburzenia psychiczne.

Problemy samego nababa sprowadzały się głównie do pieniędzy. Nie tylko musiał utrzymywać pałac oraz trzy inne nieruchomości - dom matki, żony oraz Olivii - ale i sporą liczbę członków dawnej świty. Musiał zapewnić byt tym wszystkim młodzieńcom - których młodość już przekwitła dawno temu - przez lata towarzyszącym mu w pałacowych rozrywkach i zabawach, tym bardziej że w większości byli to jego krewni lub potomkowie najwierniejszych dostojników dworu samego Amanullaha Khana. Nabab czuł się głęboko zawstydzony tym, że nie jest w stanie zapewnić im życia na poziomie, do jakiego przywykli. Przez lata handryczył się z brytyjskimi władzami o podniesienie mu procentu od dochodów Khatm, ale oczywiście

Brytyjczycy wykazali się głębokim niezrozumieniem problemu, zupełnie nie pojmowali, jakie obowiązki spoczywają na nim jako na władcy. Dlatego właśnie przybył do Londynu, by interweniować u wyższych władz. Bez przerwy umawiał się czy też próbował umówić na jakieś spotkania, wyciągał z kieszeni rozliczne świstki, na których widniały numery telefonów i nazwiska, jednak zazwyczaj nie pamiętał, o kogo w istocie chodzi.

Większość czasu spędzał w towarzystwie Harry'ego i Ferdiego, dla których było to ciężkie przeżycie. Na co dzień wiedli spokojne, nadzwyczaj uporządkowane życie, tymczasem nabab nie należał ani do spokojnych, ani do uporządkowanych ludzi. Poza tym zdawał się fizycznie zbyt potężny jak na gabaryty mieszkania - de facto pod jego ciężarem załamały się dwa krzesła w jadalni. Pojawiły się też problemy z wyżywieniem gościa, ponieważ nie odpowiadały mu posiłki przygotowywane przez Ferdiego, gdyż ten w swoim menu miał przede wszystkim wzgląd na dolegliwości gastryczne Harry'ego (którego system trawienny nigdy nie doszedł do normy po pobycie w Indiach). Nabab nabrał natomiast upodobania do słodczy i z braku indyjskich deserów w Londynie rozsmakował się w ciastkach z kremem. Popołudnia z reguły spędzał w pewnej popularnej restauracji mieszczącej się w rozległym holu z marmurowymi kolumnami, jako żywo przypominającym komnaty pałacu w Khatm. Trzykrotnie w ciągu popołudnia kobieta w długiej sukni zasiadała tam do barwnych organów i wygrywała wiązanki rozmaitych popularnych melodii. Nabab zdawał się słuchać tego z przyjemnością, po czym nachylał się ku Harry'emu i mawiał: „Bardzo ładnie gra - zupełnie jak Olivia”. Biedaczysko nigdy nie miał ucha do muzyki.

Natomiast podobnie jak wcześniej jego ojciec stał się miłośnikiem poezji i z upodobaniem recytował wiersze perskie oraz w urdu - w szczególności te, mówiące o ulotności doczesnej chwały. Wówczas też wskazywał palcem na siebie, dając do zrozumienia, że jest uosobieniem przewodniego wątku cytowanych poematów. Poza walką o procenty od dochodu w kontaktach nababa z administracją pojawiła się również kwestia zaginionych klejnotów koronnych. Rząd w Khatm oskarżył *begum* o ich zagrabienie, na co księżna odpisała śmiało, że nigdy nie tknęła niczego, co nie było jej prawowitą własnością. Ta sprawa miała się ciągnąć jeszcze przez długie lata i po odzyskaniu niepodległości stała się problemem nowego rządu Indii, który próbował pozwać *begum* przed trybunały. Ale w gruncie rzeczy były to nieznaczące pohukiwania, ponieważ w owym czasie zarówno księżna, jak i kosztowności znajdowały się już w Nowym Jorku.

Nabab niezwykle się zaperzał, gdy mówił o nękanii matki przez władze. W owym czasie cierpiał na nadciśnienie, więc kiedy za bardzo się podniecał, Harry starał się go uspokoić. „Dostaniesz apopleksji i zejdziesz z tego świata”, ostrzegał. (Prawdę powiedziawszy, w końcu do tego właśnie doszło - nabab zmarł na udar, jednak piętnaście lat później, przy Park Avenue, w nowojorskim mieszkaniu bardzo wiekowej *begum* i praktycznie w jej ramionach). Kiedy Harry tak mówił, nabab zawsze wybuchał śmiechem, ponieważ myśl o śmierci nie budziła w nim przerażenia. Z upodobaniem opowiadał o wydarzeniach, które rozegrały się w Khatm mniej więcej rok po wyjeździe Harry'ego. Szajka bandytów, którą wedle podejrzeń miał kierować nabab, została w końcu okrążona przez (wówczas już zreformowane) siły policyjne. Część przestępców poległa w bezpośredniej potyczce, innych pochwycono i postawiono przed sądem. Wszyscy, oczywiście, zostali skazani na śmierć za rozliczne mordy i rozboje popełnione w ciągu wielu lat. Nabab wielokrotnie odwiedzał ich w więzieniu, oni zaś pozostali pogodni i pogodzeni z losem aż do końca. De facto księżę spędził wśród nich ostatnią noc, patrzył, jak spożywają ostatni posiłek, rozegrał z nimi ostatnią partię w karty. Oni w końcu pograżyli się we śnie - a on jedyny nie mógł zasnąć. Nazajutrz rano towarzyszył im na miejsce kaźni i zmówił wraz z nimi ostatnią modlitwę. Patrzył, jak na ich szyjach zawisły pętle, trwał przy nich do ostatniej chwili. I właśnie wówczas jeden z bandytów - niejaki Tikku Ram, pochodzący z bardzo wysokiej kasty - odwrócił się do kata z pytaniem: „Czy jesteś...?”. Nie mógł skończyć, ponieważ kat zarzucił mu kaptur na głowę, ale brakującym słowem było zapewne *chamar*. A więc w ostatnich sekundach życia Tikku Ram przejmował się tylko tym, czy wykonujący egzekucję kat jest przedstawicielem odpowiedniej kasty. Nabab niezwykle podziwiał postawę Rama i wyrażał nadzieję, że będzie miał w sobie tyle samo siły ducha, gdy przyjdzie mu się żegnać z tym światem.

Nie istnieją żadne przekazy dające choćby drobny wgląd w życie Olivii po pamiętnym 1923 roku. Nabab rzadko o niej wspominał: stała się równie strzeżoną częścią jego prywatności, co *begum*. Nigdy nie wyjawiał, jak się czuje i czy odpowiada jej życie w miasteczku X. Może zresztą nigdy się nad tym nie zastanawiał - może uznał, że nie ma o czym mówić, skoro zapewnił jej wygodną egzystencję. Sama Olivia również nie pozostawiła tropów dla potomnych. Wciąż korespondowała z Marcją, ale w odróżnieniu od listów z Satipuru, wiadomości przesyłane z X, były krótkie, skąpe w treści i bardzo sporadyczne. Z początku Olivia pisywała dwa, trzy razy do roku, potem jeszcze rzadziej. Po śmierci nababa nie wysłała już ani jednego listu, mimo że przeżyła księcia o całe sześć lat.



Marcia powiedziała Harry'emu, że były z Olivią bardzo do siebie podobne. Harry pomyślał wówczas, że jeżeli zachodziło między nimi jakieś podobieństwo to najwyżej w latach młodości; Marcia również odznaczała się niskim wzrostem i delikatną budową, natomiast miała ciemne włosy, a Olivia jasne. Tak czy inaczej poza posturą Harry nie dostrzegł w Marcii żadnych cech wspólnych z Olivią. Marcia zbyt dużo piła i paliła, często się zanosila wulgarnym, jazgotliwym śmiechem; była nerwowa, nadmiernie gadatliwa i dwukrotnie przedawkowała środki nasenne. Utrzymywała, że miały z Olivią identyczny temperament - obie kierowały się w życiu namiętnością. Powtarzała, że w pełni rozumie siostrę. Naturalnie różniły się gustami - na przykład Marcia nigdy nie mogła pojąć, co Olivia widziała w Douglasie. W opinii Marcii szwagier był okropnym sztywniakiem, nic więc dziwnego, że jej siostra śmiertelnie się przy nim nudziła i przy pierwszej nadarżającej się okazji odeszła do bardziej interesującego mężczyzny. Jakiś czas później, gdy poznała w Londynie nababa, stwierdziła, że rzeczywiście jest o wiele ciekawszy od Douglasa, choć zupełnie nie w jej typie. Według Marcii rozbieżność w gustach nie zmieniała jednak faktu, że łączyła je wspólnota charakterów - obie w swoich działaniach i decyzjach powodowały się emocjami, nie bacząc na konsekwencje. Pewnego razu Harry więc zapytał nababa, czy Marcia jest podobna do Olivii, a on odparł bez wahania: „O nie, nie, nie, nie!”. Można było odnieść wrażenie, że podobna myśl wydała mu się tyle bzdurna, co i przerażająca.

Jaka więc była Olivia w tych późniejszych latach? Jak wyglądało jej życie? Rozglądając się po domu położonym nad X, doszłam do wniosku, że prawdopodobnie nie różniło się ono zasadniczo od tego, jakie prowadziła w Satipurze czy jakie mogłaby wieść w Londynie. Pokoje zostały urządzone zgodnie z jej gustem, nadal grała na fortepianie te same utwory co dawniej. Tyle i tylko tyle zdołałam stwierdzić na podstawie tego, co po niej pozostało. Wciąż nie umiem sobie wyobrazić, o czym rozmyślała przez te wszystkie lata i jaką ostatecznie stała się kobietą. Niestety, gdy zwiedzałam jej dom, nadal lało, więc nie mam pojęcia, jaki widok rozciągał się z okien, co miała przed oczami, kiedy siedziała przed ramą do haftu. Może gdybym to wiedziała, zdołałabym więcej zrozumieć.

Wynajęłam pokój w X i żyję tym samym rytmem co w Satipurze. Zresztą X niewiele się różni od Satipuru - w miasteczku są niemal identyczne rudery i równie zagmatwany układ wąskich uliczek; różnica polega tylko na tym, że wszystko tutaj zostało wzniesione na górskim zboczu i wygląda tak, jakby miało zaraz się z niego zsunąć. To i owo rzeczywiście czasami się zsuwa, szczególnie teraz, w porze monsunowej; niekiedy też z hukiem lecą w dół wielkie głązy,



które skutecznie blokują rozmokłe drogi. Z niecierpliwością wyczekuję końca deszczów, ponieważ zamierzam się przenieść w wyższe rejony. Nieustannie spoglądam w górę, ale nadal świat zasnuwają chmury. Odwołuję się więc do wyobraźni: wówczas widzę szczyty wyższe niż w najśmielszych marzeniach, a na owych szczytach śnieg bielszy od wszystkich innych śniegów, iskrzący się olśniewająco na tle nieba w kolorze tak głębokiego błękitu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałam. To właśnie spodziewam się w końcu zobaczyć. Niewykluczone, że coś podobnego oglądała też Olivia; może miała przed oczami właśnie taki widok - albo wizję - która przez te wszystkie lata syciła jej zmysły i duszę.

Rzadko natomiast spoglądam w dół. Od czasu do czasu, kiedy przestaje padać, nad doliną kłębią się mgły, a potem powietrze jest tak przesycone wilgocią, że ptaki zdają się pływać, a drzewa przywodzą na myśl wodorosty kołyszące się na falach. Sądzę, że upłynie dużo czasu, zanim znowu zejść na niziny. Najpierw, oczywiście, urodzę dziecko. Podobno w wyższej partii gór znajduje się aśram; dowiedziałam się, że może zgodzą się mnie tam przyjąć. Widziałam na bazarze kilku swamich z owego aśramu. Są bardzo poważani w miasteczku z racji świątobliwego życia, jakie wiodą. Całymi dniami studiują starodawne pisma objaśniające filozofię zrodzoną na szczytach tych gór, których wciąż nie mogę zobaczyć. Swami są radośni; śmieją się jowialnie i tubalnymi głosami żartują ze sprzedawcami na bazarze. Podobno ci, którzy są autentycznie spragnieni prawdy, mogą udać się do aśramu i przebywać tam, jak długo zechcą. Jednak większość chętnych szybko wraca w dolinę z powodu chłodu i ciężkich warunków bytowych.

Gdy następnym razem spotkam któregoś ze swamich, poproszę o pozwolenie dołączenia do wspólnoty. Nie wiem, ile czasu tam pozostanę. Ale ze względu na mój stan na pewno potrwa to dłużej; z dnia na dzień będzie mi trudniej zejść na niziny, nawet gdybym właśnie tego zapragnęła najbardziej.

